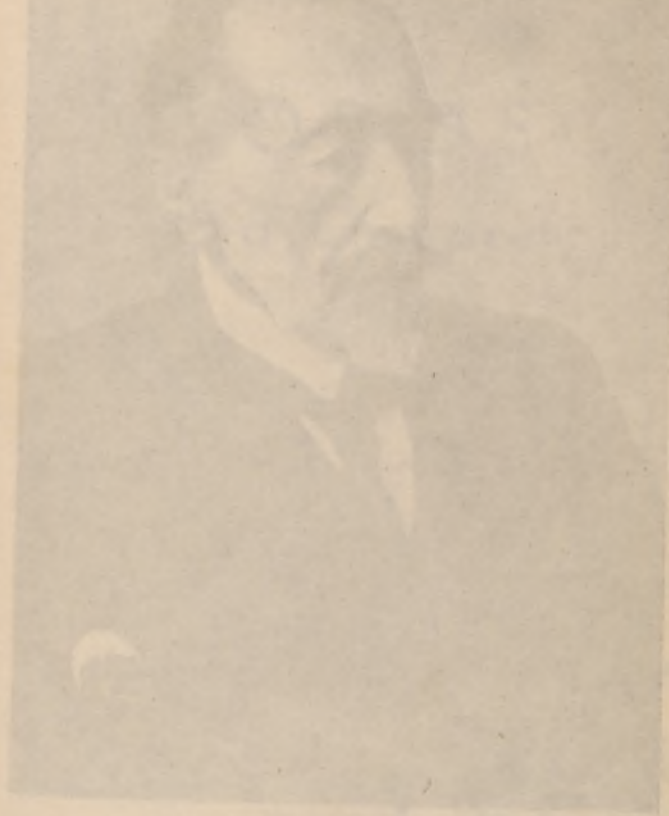


EX LIBRIS
LODA and EDWARD C. ROZANSKI

NAKŁADEM WYDZIAŁU KULTURY I PRASY
DTWA JEDNOSTEK WOJSKA NA ŚR. WSCHODZIE



WYKONANO STARANIEM SEKCJI WYDAWNICZEJ
JEDNOSTEK WOJSKA NA ŚR. WSCH.



Konrad Korzeniowski
(Joseph Conrad)

JOSEPH CONRAD

MŁODOŚĆ

JĄDRO CIEMNOŚCI

Tłumaczyła z angielskiego

ANIELA ZAGÓRSKA



STEFANA ŻEROMSKIEGO
JERUZALIMA 1946

Okladkę projektowała Janina Wolff-Bogucka

Przedruk z wydawnictwa:

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Warszawa 1930

Spółka Akcyjna



Z przedmową

STEFANA ŻEROMSKIEGO

Tom, z którego zostały wyjęte nowele: *Młodość i Jądro ciemności*, ukazał się w 1902 r. pod tytułem: *Youth: a narrative and two other stories* (William Blackwood and Sons. Edinburgh-London). Trzecia nowela zawarta w tym tomie, *The End of the Tether*, pojawił się w tomie oddzielnym:

Conrad napisał *Młodość* w ciągu maja 1898 r. i skończył ją 3 czerwca 1898; opowiadanie to ukazało się tegoż roku w Blackwood's Magazine, we wrześniu.

Jądro ciemności powstało przy końcu 1898 r. i zostało wydrukowane po raz pierwszy w tymże Blackwood's Magazine, w zeszytach z marca i kwietnia 1899 r.

Młodość była zatytułowana pierwotnie: *A Voyage (Podróż)*, jak to wskazuje rękopis. Nowela ta jest istotnie ścisłym opisem podróży, którą Conrad odbył jako drugi pomocnik kapitana na trzymasztowej barce *Palestine*. Załoga musiała porzucić na morzu palący się statek 14 marca 1883 r., w okolicznościach identycznych z tymi, które są opisane w opowiadaniu. Conrad zachował nawet nazwisko kapitana, który rzeczywiście nazywał się Beard.

Jądro ciemności powstało również ze wspomnień osobistych, dotyczących podróży odbytej przez Conrada do Belgijskiego Konga od czerwca do grudnia 1890 r.

Powyższe wiadomości podaje biograf Conrada, G. Jean-Aubry.

*

Dokonując przedruku z wydawnictwa „Domu Książki Polskiej” z 1930 r., zamieściliśmy przedmowę Stefana Żeromskiego, drukowaną we wstępie do powieści Józefa Conrada pt. „Szaleństwo Almayera”. Wydawnictwo „Dom Książki Polskiej”, Warszawa 1928.

zwerbowany do Warszawy przez ruchowców, udał się tam. pozornie dla zajęć literackich, ogłosiwszy nawet prenumeratę na pismo miesięczne „Słowo“ w rodzaju „Revue des deux mondes“, wybitnie w ruchu warszawskim zajął stanowisko, lecz wkrótce, bo w październiku 1861 roku aresztowany został, a trzymany w cytadeli i sądzony był przez komisję, której prezesem był pułkownik Roźnow, niegdyś kolega mego brata Stanisława z pułku huzarów grodzieńskiego, a następnie gubernator warszawski. Ten specjalnym względem koleżeńska z naszym bratem przypisywał, że Korzeniowski osądzony został „tylko“ na mieszkanie w oddalonych guberniach. Prosił on sam o zesłanie do Permu, gdzie gubernatorem był szkolny jego kolega i przyjaciel szkolny Łaszkarow, lecz ten, dowiedziawszy się o wysłaniu Korzeniowskiego do zarządzanej przez się guberni, prosił, aby go od niego uwolniono. Dojeżdżających więc już prawie do Permu Korzeniowskich (bo mu żona z czteroletnim synkiem towarzyszyła) zwrócono i posłano do Wołogdy, gdzie gubernatorem był zacy Białorusin Chomiński (były marszałek szlachty jednego z powiatów guberni mohylowskiej), który obowiązki stanowiska z ludzkością godzić umiał. W drodze, na przedostatniej przed Moskwą stacji, rozchorował się Korzeniowskim synek, a gdy eskortujący ich żandarmi zatrzymania się odmówili, zrozpaczeni rodzice oświadczyli, że chyba siłą zmuszą ich do dalszej podróży. Jakiś ludzki podróżny, jadący do Moskwy, przyrzekł im posłać lekarza, a Korzeniowski przypomniawszy sobie, że ma w Moskwie znajomego dra Młodzianowskiego, profesora uniwersytetu, który był kiedyś jego korepetytorem w Winnicy, wezwał go za pośrednictwem owego czynnego podróżnego. Jakoż wkrótce nadjechał zacy eskulap i odratował dziecko z ciężkiego zapalenia mózgu, a posiadając rozległe w Moskwie stosunki wyrobił kilkodniowe powstrzymanie podróży, zanim dziecko znieść ją mogło. Dalej znowu, dojeżdżając do Niżnego Nowgorodu, siostra moja tak z sił spadła, że żandarmi ją z powozu wynosili i wnosili, a jednak koniecznego odpoczynku odmawiali uparcie. Na stacji pocztowej w Niżnym jakiś przejeżdżający oficer gwardii, oburzony bezwzględnością żandarmów i grubiaństwem ich obchodzenia się z eskortowanymi, jak również nieuwzględnieniem własnych jego uwag, zawrócił do miasta i dał znać miejscowemu gubernatorowi i pułkownikowi żandarmów o tym, czego



Apollo Korzeniowski

(1861)

był świadkiem. Pulkownik żandarmów, jako bezpośredni naczelnik eskortujących, niezwłocznie przybył na stację i dalszą podróż powstrzymał... W Wołogdzie zastali 21 mężczyzn, przeważnie księży z Królestwa i Litwy, siostra moja była 22, a ich synek 23 osobą, składającą ówczesną kolonię polską w Wołogdzie, a jakkolwiek pobyt tam był zupełnie znośny pod względem obchodzenia się władz, klimat brał swoje. Prawie wszyscy mężczyźni chorowali na szkorbut, siostra moja i jej synek, acz wolni od niego, w upadku sił wpływ niezdrowego klimatu i odmiennego sposobu życia odczuwali“.

Należałoby tutaj przytoczyć cały szereg szczegółów o p. Ewie z Bobrowskich Korzeniowskiej, które widnieją na stronicach „Pamiętników“ jej brata, gdyż te uwagi i wzmianki wysuwają przed nasze oczy postać wysokiej wartości moralnej, wyraźny w swym dostojeństwie typ owoczesnej kultury narodowej — lecz szczupłość miejsca na to nie pozwala. Należałoby również podać podobiznę dobrowolnej wygnanki, reprodukcję jednej z tych przedziwnie wyraźnych, starych fotografii powstańczych, która przechodzić musiała przez setki rąk żandarmskich, obraz uroczej postaci, w której wszystko jest samym pięknem, ocienionym aureolą gorzkiego losu. Z miłości oddawszy rękę poecie, „wieloletniemu wielbicielowi Apollonowi Korzeniowskiemu, dla którego wszelkie starania innych od pierwszego kroku odsuwała“, poszła za nim na kraj świata i aż do owego dołu wygnańczego w ziemi dalekiej. Zabila Moskwa tego barwistego motyla. Że Apollo Korzeniowski zasługiwał na miłość, wiemy to dziś z jego pism i z jego życia. Oto w przygodnym wierszu na ślub szwagra, Tadeusza Bobrowskiego, za czasów jeszcze złotej i bujnej wokół wolności, taki dźwięk w czasie uczt weselnej daje się słyszeć:

„Za wasze szczęście płacić Bogu trzeba!
Myślcie w swym domu, że tyłu bez domu,
I łamiąc chleb wasz, że tyłu bez chleba..“

Przykuty do swego miejsca wygnania, z dala od krwawej tragedii roku 1863, po latach, w których ciągu utracił żonę, pisał w roku 1866 do krewnych w kraju te słowa tak proste i pokorne, jakby były dalszym ciągiem Księgi Pielgrzymstwa Pols-

kiego, brzmiące w naszym uchu, jako najistotniejszy wyraz i najgłębszy ton tego przekłętego czasu:

„Jeżeli gdzie jest uśmiech u nas, niech wam zabłyśnie; niech tży nie wypalają wam serc, lecz ulgą bolejącym duszom się staną. Niech ten rok nowy, nie wiem już który, niewymownych smutków i boleści — nowych wam nie przynosi i pozwoli przynajmniej w świętym utęsknieniu i ciszy miłować czynnie tych, co dalecy i tych, co śpią po grobach, a żyją w miłosierdziu bożym. Przebyłem te ciężkie, okropne dni najlepszych, najświętszych wspomnień, przeżyłem nie moją, lecz bożą siłą. Zapewne nigdy nie cierpiałem ani mogę tyle cierpieć, co cierpiał Zbawiciel nasz, ale też człowiek tylko. Patrzyłem bez przerwy na krzyż i tym kzepilem omdlewającą duszę, męcące się myśli. Przyszły dni święte katuszy i wstałem do codziennego życia trochę więcej złamany, ale dyszący, żywy. A i sierota za poję mię trzymają, uciec od troski o niego nie podobna. Toteż żyję, moi drodzy, i kocham, co mi pozostało do kochania, także silnie, jak dawniej, tylko że dawniej dla przedmiotów mej miłości mogłem coś dać, poświęcić, a dziś nic już nie mam. Co bym uczynił już w życiu, ani poświęcenia, ani ofiary być w tym nie może, bo nie mam co poświęcać i w ofierze złożyć. Smutny to los człowieka, dla którego zamykają się te dwie jedyne drogi, godności obrazu i podobieństwa Boga, ale taka jest wola Opatrzności. Drogi wasz list odczytuję sobie, gdy mię dławią gorycze i posmutnieję nie dumną rozpaczą, a jakimś bożym smutkiem — lzy popłyną, na ich zdroju myśl — i spokojniejszy trochę znów biorę się do tego życia, które, jak na dziś, zasklepione w jednym Konradku. Uczę go, co sam umiem — niestety, to niewiele, strzegę go od wpływów tutejszej atmosfery i malec wychowuje się, jak w celi klasztornej; grób naszej Niezapomnianej zastępuje nam zakonnicze memento mori, a posty, włosiennice i smagania przychodzą ku nam z każdym listem od Wschodu i Zachodu, od Północy i Południa. Trzęsiemy się zimnem, mrzemy głodem, targamy się w nędzy bliźnich — braci, a modlitwa, Bóg widzi, ledwo parę słów o nas zawiera. Położenie miejsca mego pobytu jest jakby z jednej strony pod zaryglowanymi drzwiami, za którymi najdroższa istota kona, a my nawet śmiertelnego potu z jej czoła otrzeć nie możemy; z drugiej strony otwarte podwoje, w które wejść nie można, ale przez które patrzeć możemy na to, co Dante — nie

opisał, bo w przerażonej we wszelkie grozy, ale chrześcijańskiej duszy nie mógł mieć widzeń nieludzkich. To nasze życie“ („Tygodnik Ilustrowany“ z dn. 15 maja 1920).

Dno bytu. Samotny palacz sprawy przegranej, arki, skazanej na zagładę, nie wie nawet, czy statek stacza jeszcze bitwę, czy już dostał cios ostateczny, czy już tonie.

A gdy spoglądamy dziś na szeregi znakomitych pism małego ongiś „Konradka“ z Wołogdy, dziecięcia nie tylko cieleśnie wyhodowanego, lecz płodu duszy, w którym „zasklepilo się życie“ idei umiłowanej, który kolysały wiersze wygnańczej poezji, siostry jedynej — na powodzenie tych obrazów wolnego świata, gdzie widać lądy i morza kuli ziemskiej, typy wszelakich człowieczych ras, splecione w przygody, dokonane z tej i tamtej strony równika w poszukiwaniu po tajemniczych szlakach oceanu myśli istotnej o rodzaju ludzkim — pism, czytanych z upodobaniem przez wszystkie inteligencje cywilizacji — to w istocie te dzieje przypominają cudowną przygodę francuskiego marynarza z noweli Farréra.

Richard Curle w obszernej pracy biograficznej pt. „Joseph Conrad, a study“ (London 1914), korzystając z informacji samego autora, taki podaje życiorys, którego w żadnym źródle polskim nie podobna znaleźć: „Teodor Józef Konrad Korzeniowski urodził się na Ukrainie dnia 6 grudnia 1857 roku“ (zapewne w Łuczyncu na Podolu, gdzie Apollo Korzeniowski zarządzał majątkiem Melanii z Uruskich Sobańskiej, matki jego przyjaciela, Aleksandra Sobańskiego). „W roku 1861 wywieziony został do Warszawy przez rodziców, którzy się tam udali. Ojciec, zamieszany w sprawy powstańcze, wygnany został do Wołogdy, a żona i syn podążyli za nim. W roku 1865 matka Conrada umarła, a ojciec wysłał dziecko do wuja (Tadeusza Bobrowskiego), o którym świetny pisarz wspomina w „Some Reminiscences“. Był to szczęśliwy okres dzieciństwa“ (w Kizimierówce, której życie z całą plastyką odmalowane zostało w „Pamiętnikach“ T. Bobrowskiego). „W roku 1868 ojciec Conrada uwolniony został z zesłania i podążył do Krakowa, zabierając syna ze sobą. W roku 1870 Apollo Korzeniowski umarł w Krakowie“. Tutaj biografa angielskiego wyręcza sam autor, dając opis śmierci ojca. We wspomnieniu wycieczki do Polski, odbytej w roku 1914 pt. „Poland revisited“, drukowanym



Ewelina z Bobrowskich Korzeniowska

(1861)

najprzód w „Daily News“ (1914), a następnie umieszczonym w zbiorze ogólnym „Notes on Life and Letters by Joseph Conrad“ (London 1921) znajdujemy szczegóły, które tu podaję w przekładzie:

„Kraków — to miasto, gdzie spędziłem z ojcem ostatnie osiem miesięcy jego życia. Tam, w tym starym królewskim i akademickim grodzie, przestałem być dzieckiem i przedzierzgałem się w młodzieńca, zawarłem przyjazne związki, powziąłem pierwsze uwielbienia, myśli i oburzenia tego wieku. Wśród tych historycznych murów zacząłem rozumieć istotę spraw, kształtować swe uczucia, gromadzić obfitość wspomnień i zapas wrażeń, z których pomocą przedsięwziąłem gwałtowne zerwanie, rzucając się w byt zgoła niezależny“ (str. 195).

Przybywszy do Krakowa w lecie 1914 roku, po czterdziestu latach niebytności, autor w towarzystwie swego starszego syna późno w nocy, natychmiast po przyjeździe wychodzi na miasto. Stary gród, opustoszały o tej porze, zalany jest światłem księżyca. Same nogi niosą przychodnia w wąskie zaułki, znajome z lat dzieciństwa. Tam oto, w trzecim domu od Bramy Floriańskiej, wstępował na schody szkoły początkowej, tam kroczył z książkami pod pachą. Suną wspomnienia:

„Było to w ciągu miesięcy zimowych 1868 roku. Co dnia o godzinie ósmej rano, w pogodę czy śnieżycę, kroczyłem wzdłuż ulicy Floriańskiej. Tę moją pierwszą szkołę bardzo słabo pamiętam. Jeden z moich współcierpiętników owoczesnych w tejże uczelni jest dziś wysoce cenionym wydawcą dokumentów historycznych. Co do mnie, nie martwiłem się zbytnio z racji rozmaitych niedomagań mej szkoły. Byłem raczej obojętnym wobec wynikających stamtąd kłopotów. Miałem wówczas własnego czerwia, przegryzającego me wewnątrz. Co dzień wieczorem, o godzinie siódmej, opuściwszy też ulicę Floriańską, kierowałem swe kroki w stronę starego i ciężkiego domu w zacisznej, ciasnej ulicy, po drugiej stronie i w znacznej już odległości od Mariackiego Placu. Tam, w dużym, pustym salonie z ciężkimi gzymzami i wysokim sufitem, wśród małej oazy światła, rzuconej przez dwie świece w pustyni mroku, zasiadałem przy małym stoliku, ażeby zamęczać się odrabianiem zadań i mazać atramentem. Stolik moich znojów stał na wprost wysokich białych drzwi, stale zamkniętych; czasami te drzwi półluchylały się i

wówczas zakonnica w białym kornecie ukazywała się wraz z ich skrzypnięciem, sunęła w poprzek sali i znikła. Były takie dwie pielęgniarki. Głosy ich rzadko można było słyszeć. Ale o czymże to, w istocie, miały mówić? Jeżeli zwracały się do mnie, to z ich ledwo poruszających się warg splywał klasztorny, wyraźny szept. Nasze sprawy domowe prowadziła podstarzała gospodyni sąsiada z drugiego piętra, kanonika katedralnego, użyczona nam w nagłej potrzebie. Ta także mówiła bardzo rzadko. Ubierała się w czarne suknie, a krzyż na łańcuchu zwiślał z jej sutego lona. A chociaż, gdy przemawiała, wargi jej poruszały się nieco żywiej niż u zakonnicy, nigdy jednak nie podnosiła skali głosu ponad nuty brzmiące, niby spokojny szept. Powietrze dookoła mnie pełne było nabożeństwa, rezygnacji i milczenia. Nie wiem, co by się było ze mną stało, gdyby nie to, że byłem chłopcem lubiącym czytać. Po skończeniu zadań nie miałbym nic a nic do robienia, tylko siedzieć i wsłuchiwać się w ciszę, która budziła grozę, wynikając z pokoju chorego, poprzez zamknięte drzwi, i zinnem przejmowała me przerażone serce. Przypuszczam, że na tej jałowej drodze udręczenia doszedłbym był do pomieszczenia zmysłów. Ale byłem chłopcem lubiącym czytać. Dookoła było mnóstwo książek, leżących na konsolach, na stołach, a nawet na ziemi, gdyż nie mieliśmy czasu na ich uprzątnięcie. Czytałem! I czegoż to nie wchłonąłem wówczas! Kiedy niekiedy starsza z zakonnicy, przemykając się obok i rzuciwszy nieufne spojrzenie na rozłożone stronicę, kładzie, bywało, z lekka ręką na mej głowie i poszeptem z powątpiewającym szemraniem: — Czy to dobrze, żebyś ty czytał te książki!... Spoglądałem w milczeniu na jej oblicze, dopóki z nieokreślonym gestem poniechania tej sprawy nie przesunęła się dalej. Późnym wieczorem pozwalano mi — ale nie zawsze — wejść na palcach do pokoju chorego, ażeby powiedzieć dobranoc złożonej na pościeli postaci, która częstokroć świadomość o mej obecności mogła zaznaczyć jedynie przez powolne skinienie oczyma — złożyć powinny pocałunek na ręce bezsilnej, leżącej na koldrze, i znowu na palcach co prędzej wychodzić. Wówczas mogłem już udać się do łóżka w pokoju położonym na końcu korytarza i często — choć nie zawsze — samotnie szlochać wśród dobrych i głębokich snów. Spoglądałem na to, co nadchodziło, z niewiarogodnym przerażeniem. Nieraz udawa-

ło mi się odwracać oczy od tej zgrozy, ale na ogół w tym czasie miałem pełnię uczucia o nadciągającej katastrofie. Przeżywałem również godziny buntu, które wydierały ze mnie prostą ufność w zarządzenia Opatrzności. Ale gdy nieunikniona godzina nadeszła, białe drzwi rozwarło i pustką na mnie zionął pokój chorego, nie znalazłem w sobie ani jednej lzy do wylania. Mam podejrzenie, że gospodyni kanonika patrzyła wiedzą na mnie, jako na najbardziej nieczulą zakalę tej ziemi. Dzień pogrzebu nadszedł we właściwym terminie i oto wszystka szlachetna „Młódz szkolna“, uroczysty senat uniwersytecki, delegacje cechów mogły być ustalić (gdymby tego zechciały) de visu oczywistość zatwardziałości małego zbrodniarza. W mej bolesnej głowie zostało nieco głupich sentencji, jak ta: „Stało się!“ albo — „Dokonało się!“ (po polsku brzmi to krócej niż po angielsku), czy coś jeszcze w tym rodzaju, powtarzane bez końca. Długa procesja wysunęła się z wąskiej uliczki, szła wzdłuż innej, długiej i szerokiej, kierując się ku gotyckiemu frontowi kościoła Panny Marii, popod nierówne jego wieże i ku Floriańskiej Bramie. W ciszy i w świetle księżycy, zalewającym stary gród sławnych grobów i tragicznych wspomnień, mogłem również ujrzeć małego chłopczynę z tamtego dnia, jak kroczy za karawanem; otwarła się znowu przede mną ta przestrzeń czysta, w której szedłem sam jeden, świadomy niezmierności następstw wahania się tej przede mną czarnej maszyny, kleru w komzach, wznoszącego pienia na przedzie pochodu, płomieni świec, przeciągających pod niskim łukiem bramy, szeregów obnażonych głów z oczyma utkwionymi w ziemi. Połowe ludności miasta wyciągnęło było to piękne popołudnie majowe. Ci nie przyszli, aby uczcić to wielkie dopełnienie powinności, ani nawet to dostojne bankructwo. Zmarły i świadomi z tłumy były to dwie ofiary losu, jednakowo nieugiętego. Tylko że jego los ściał i odrzucił, gdy o kilka stał kroków od sławy i uznania zasługi. Oni zaś przyszli oddać honory jedynie płomiennej wierności człowieka, którego życie było nieustraszonym wyznaniem w słowie i czynie wiary, dostępnej do pojęcia i odczucia dla najprostszej duszy w tej ciżbie. Wydawało mi się, że gdybym dłużej pozostał tam, w tej wąskiej ulicy, mógłbym się stać bezradnym lupem cieniów, które wywołałem. Nawisły nade mną tajemnicze i natarczywe w tym lepkiem powietrzu grobów, o posmaku prochu,

goryczy i nicości starych nadziei“. (Str. 227).

Opuszczając liczne a niezmiernie charakterystyczne uwagi i wyznania autora, rozrzucone w wymienionym artykule, należy wrócić do głównej linii życiorysu, uwidocznionej w pracy Richarda Curle'a. Powiada on, iż po śmierci ojca mały sierota uczęszczał w Krakowie do gimnazjum świętej Anny w ciągu lat czterech, czyli do roku 1874. Pozostawał wówczas pod opieką przewodnika, który nań dość głęboko oddziaływał, a według zaświadczenia w „Some Reminiscences“ był człowiekiem wybitnej wartości. Kierownik ów był przeciwnikiem stanowczej decyzji wychowawca poświęcenia się służbie marynarskiej, staczał z nim dyskusje, lecz przekonawszy się, że postanowienie młodzieńca jest niezłomne, zaniechał sprzeciwu. „Joseph Conrad — mówi Richard Curle — wychowany w kraju bez pobrzeża morskiego, nie umiejąc języka angielskiego (aczkolwiek czytał sporo co znamienitszych utworów literackich angielskich w przekładzie swego ojca), postanowił nieodwołalnie, iż musi być angielskim marynarzem na statku handlowym. Od tej myśli nic go odwieść nie mogło. W roku 1874 wyruszył ku morzu. Marsylia stała się jego „j u m p i n g o f f g r o u n d“. W ciągu trzech lat pływał na rozmaitych statkach po Morzu Śródziemnym, doznając wielorakich przygód; dwukrotnie był w Indiach. Dopiero w roku 1878 po raz pierwszy wylądował w porcie Lowestoft i stanął na ziemi angielskiej. Do tego czasu nie władał językiem angielskim, chociaż uczył się tego języka, gdzie tylko mógł, nawet od budowniczych statków i cieśli, umiejących nieco po francusku. W ciągu pięciu miesięcy służył na pokładzie pobrzeżnego statku „The Skimmer of the Sea“, który krążył między portem Lowestoft i Newcastle. W październiku 1878 roku przystał do załogi statku „Duke of Sutherland“, płynącego do Australii, jako zwyczajny majtek. Wszyscy marynarze tego parowca byli Anglikami z wyjątkiem Josepha Conrada, jednego Norwega, dwu Amerykanów i Murzyna Kittsa, zwanego James Wait, którego imię w dwanaście lat później nosić będzie Murzyn z załogi „Narcissus“. W ciągu dwudziestu lat, to znaczy do roku 1894, gdy ostatecznie na wybrzeża powrócił, życie Josepha Conrada było normalną karierą angielskiego marynarza. W roku 1879 jest on już *second mate*, a w roku 1884 przyjmuje poddaństwo angielskie, naturalizuje się i otrzymuje stopień *Master in the English*

Merchant Service. W roku 1890 jeździł na Ukrainę do wuja Tadeusza Bobrowskiego, a w roku 1894, roku śmierci tego krewnego, udał się tam powtórnie. Po powrocie na ląd i ożenieniu się z Angielką mieszka pod Londynem, zajęty pracami literackimi i wychowaniem dwu synów. W ciągu swego życia na morzu pływał na rozmaitych statkach, jako to — „Loch-Etive“, „Palestine“, „Riversdale“, „Narcissus“, „John P. Best“, „Tilkhurst“, „Falkonhurst“, „Highland Forest“, „Vidar“, „Otago“, „Roi de Belges“, „Torrens“, „Adowa“. Każdy z tych statków, a raczej żywot każdego z nich — jego dzieje, przeżycia, niszczące burze i dni radości — ma swój udział w twórczości pisarza, widnieje w jego utworach. Niektóre, jak „Narcissus“, widnieją w całej swej pełni.

II

Po opuszczeniu morza na zawsze w roku 1894, „Master“, który w ciągu okrągłych dwudziestu lat kołysał się na fali, nie wiedział, co ma począć ze sobą na lądzie. Miał napisaną dawniej, bo jeszcze w roku 1889, powieść pt. „Almayer's Folly“. Posłał tedy ów utwór na ręce Edwarda Garnetta. Po kilku miesiącach wyczekiwania rzecz została przyjęta do druku. I oto, wraz z ogłoszeniem tego utworu w roku 1895, na targowisku literackim angielskim zjawiał się nowy pisarz, który zajął wkrótce jedno z najwybitniejszych stanowisk. Ukazują się tedy kolejno „An Outcast of the Islands“ (w r. 1896), sprawa, poprzedzająca właściwie „Almayera“, gdyż dokonywuje się na wiele lat przed tamtą historią w tejże okolicy nad rzeką Pantai i wśród tej samej czeredy osób. Wkrótce potem, w roku 1898 wyszedł sławny „The Nigger of the „Narcissus“ oraz w tymże roku zbiór nowel pt. „Tales of Unrest“, zawierający następujące utwory: „Karain“, „The Idiots“, „An Outpost of Progress“, „The Return“ i „The Lagoon“. W roku 1900 wyszedł „Lord Jim“, w roku 1902 zbiór pt. „Youth“, zawierający trzy nowele: „Youth“, „Heart of Darkness“ i „The End of the Tether“. W roku 1903 ukazał się świetny utwór pt.

„Nostromo“, zbiór nowel pt. „Typhoon“, złożony z utworów — „Typhoon“, „Amy Foster“, „Falk“ i „To-morrow“ oraz „Romance“, pisany do spółki z Ford Huefferem. Potem następują „The Secret Agent“ (1907), „A Set of Six“ (1908), złożone ze sześciu nowel — „Gaspar Ruiz“, „The Informer“, „The Brute“, „An Anarchist“, „The Duel“, „Il Conde“, w roku 1911 „Under Western Eyes“, w roku 1912 „Twixt Land and Sea“, zawierające nowele — „A Smile of Fortune“, „The Secret Sharer“ i „Freya of the Seven Islands“, wreszcie w r. 1914 powieść pt. „Chance“. W czasie wojny wyszły niesłychanie poczytne utwory: „Victory“, „Shadow Line“, „The Arrow of Gold“ i „Rescue“. Poza tę kolekcję beletrystyczną ukazały się nadto dwa zbiory niejako autobiograficzne: w roku 1906 „The Mirror of the Sea“ a w roku 1912 „Some Reminiscences“, wreszcie w roku 1921 zbiór artykułów, wspomnień i ocen pt. „Notes on Life and Letters“.

Ktokolwiek pragnie zapoznać się z twórczością tego pisarza, winien, według mnie, zacząć od „The Mirror of the Sea“. Jest to w istocie zwierciadło morza, podobne w swej dokładności, w niezrównanej precyzji odtworzenia wszystkiego, co na morzu postrzec się daje, do lustra, umieszczonego na dnie tuby peryskopu łodzi podwodnej. Widać w nim cały widnokrąg tak dalece, iż oko spokojnie obserwując może mieć w sobie wszystek ocean, a nawet te jego części, które leżą poza oczami, bo w tyle głowy obserwatora. Joseph Conrad nade wszystko kocha statek, ów doskonały produkt cywilizacji, wymysł i dzieło pracownego człowieka, który na nieobeszłym oceanie i wśród najstraszliwszej burzy, gdy niszcząca moc żywiołów przechodzi wszystko, co o nich wyrzec by można, założył sobie jak gdyby bezpieczny dom i spokojnie nad przepaścią zasypia. Tyle statków mając w życiu pod stopą, zna on je na wskroś, starych przyjaciół, i odróżnia jeden od drugiego, jakoby istoty żywe, mające w sobie duszę. — „Określi!“ — woła stary oficer marynarki, ujrawszy szereg parowców w głębi portu. W tym okrzyku maluje się i streszcza całe marynarskie życie. Monstra te są istotami na polu żyjącymi, mają swe indywidualne cechy niemal, jak ludzie. Jedne z nich noszą nad niezmiernymi głębiami potęgę, bohaterstwo, szlachetność i zdolność do męczeństwa, inne — są to komiczne figury, blaznujące na wodach, inne wreszcie — to zwyczajne ryfy, jak ludzie, obdarzeni sprytem i uporem. Od niezrównanych opi-

sów portów, ładowania towarów, od opisu perypetii z kotwicą, która tak płomienną ciekawością zapala umysły chłopięce, poprzez tysiączne szczegóły, zawarte w relacji „In captivity“ — w doku — wpływamy na ocean. Ta książka, na podstawie dwudziestoletnich przeżyć autora, opowiada o wszystkim, co jako młodzieniec, stęskniony do „świata“, musiał widzieć żądzami wyobraźni. Jest to jak gdyby konspekt wszystkich wymienionych powyżej utworów, które morze mają za treść, a zdarzenia na morzu dokonane za fabulę. Najcharakterystyczniejszą cechą zwierzeń tutaj wyrażonych jest przeżycie. Każde wrażenie, nawet opis każdego pejzażu, ma swą trwałą i mocną podstawę w wieloletnim nieraz doświadczeniu, wypływa z prawdy wydarzeń. Nie jest to wizja morska poety, jak u Artura Rimbaud, który z wybrzeża opiewa niewiadomy ogrom, czerpiąc obrazy z fantazji, mniemań i przypuszczeń, lecz niewzruszone sylogizmy, wylamane ze zmagania się z ogromem żywiołu lub osiągnięte w długim baczeniu jego bytu, gdy spoczywa w stanie beczynności lub omdlenia. Joseph Conrad nie inaczej nazywa ocean, tylko słowem — wróg — the *Foe*. Marynarz „krzyżuje z tym wrogiem miecz“ w bohaterskim sam na sam spotkaniu. Za pomocą nierównanych, przepysśnie trafnych określeń pisarz bada charakter swego wroga, mierzy i oddaje siłę jego potęg, czyli wichrów, których rozmaite rodzaje, a raczej osobistości — *personalties* — klasyfikuje szczegółowo. Naocznie widzimy, jak jedne z tych podmuchów kędyś w okręgach Przylądka Dobrej Nadziei, kędyś w okręgach samotnych Oceanu Indyjskiego, kędyś w stronach wyspy Świętej Heleny, osaczają wędrowny statek, niczym myśliwcy, spuszczający ze smyczy szare chmury — ścigają go w szale, wzburzającym do głębi pienisty ocean. Inne — wypadają z ciszy tak niespodziewanie, chyżo i nagle, iż statek zмага się i miota, przewala z boku na bok lub wylatuje jedną połową swoją w powietrze, a drugą zanurza się w przepaść wodną. Połowa załogi pływa, a druga zawisa w przestworze. Z niewymownym zainteresowaniem czytamy opowieść o cichych i pogodnych nocach na wodach Wysp Azorskich podczas „babiego lata“. Statek na równej płaszczyźnie przymierza dalekość w nieprzerwanej ciszy, przemawiając jednostajnym głosem swych doskonałych maszyn, tworząc w przestworze bezsłowną pieśń siły, sprzymierzonej z człowiekiem, posłusznej mu a groźnej w swojej samoistnej po-

tędze, mowę duszy zbudzonej do jego duszy. Na wiele lat przed futurystami włoskimi Joseph Conrad posłyszał tę mowę silników i umiał wyrazić jej brzmienie. Gdy opisuje osadzenie się statku na mieliźnie lub rafie podwodnej i sensacje przez ten wypadek wywołane — jak on to określa — niby nagłego popadnięcia stóp w niepochwytą pułapkę, w nieważkie sidła — wskutek przewartowania balansów poziomu i nagłego zniweczenia w mózgu stałej wagi, utrzymującej od tak długiego czasu wszystko w ryzach nadrumochością powierzchni — mamy zupełnie nowe, nieznanne nam i niemożliwe do osiągnięcia relacje. Nie są to bowiem spostrzeżenia obserwatora, noty podróżnika, poczynione dla ich osiągnięcia, które mogą być zawodne, a nawet chybione, lecz fakty, ujęte niegdyś sposobem podświadomego wiedzenia i czucia przez czynnego marynarza w wypadku owego „taking the ground“ szukającego nie wrażeń i uogólnień bynajmniej, lecz sposobów wydobywania nawy z lawicy czy zepchnięcia jej z rafy podwodnej. Są to więc przypomnienia, wyłowione później z głębin pamięci, zważone wielokroć w spokoju świadomości, formuły uczuć prawdziwe, dane psychologiczne wydarzeń pewne w relacji. Nic tu nie ma dla polysku; dla samego brzmienia czczego literackiego słowa. Można by powiedzieć, iż ta sztuka jest pragmatyczną, to znaczy, iż o tyle podnosi brzmienie i ton, natęża moc słowa, o ile treść podspodnia zmusi ją do tego. Toteż gdy słowo podnosi się w istocie, staje się formalną potęgą, skoro sama wewnętrzna treść w górę je wydzwignęła. Czynny marynarz nie mógł się kontemplacyjnie zachwycać pięknnością morza — nią tylko samą. Czyhające niebezpieczeństwo straciłoby było wnet zamarzenie się i zaślepienie w żywiole. Ale nadchodziły chwile wielkich niebezpieczeństw, momenty grozy i przetrwania, kiedy dusza otchłaniał swą potęgą obejmowała morze we władzę. I wtedy słowo dosięgało najwyższej granicy swojej. Marynarz stał się głosi-cielem niedostępnego dla innych piękna żywiołu w furii. Krytyka angielska nie waha się zestawić tych kart jego książki ze stronicami Miltona w „Raju utraconym“. W rozdziale pt. „Initiation“ Joseph Conrad mówi o oceanie samym w sobie, o „nieskazitelnym“: „Wszystkie zapalczywe pasje młodości rodu ludzkiego, żądza walki i głód sławy, łaknienie przygód i pragnienie niebezpieczeństw, po społu z wielką ponętą, jaką w sobie kryje tajemnica, rozległe sny o władzy i panowaniu przesuwają się, niczym wi-

dziadła w zwierciadle odbite, poprzez tajemnicze oblicze morza". Nie będziemy dalecy od prawdy, jeśli powiemy, iż takie zapewne uczucia przepływały przez duszę młodzieńca, który opuszczał stary Kraków, zapadły w stary kontynent, w poszukiwaniu strawy dla swojej młodej, wewnętrznej pasji. Dusza jego pożądała morza, a znalazłszy je, pokochała się w nim na śmierć i życie. Młody poszukiwacz przygód nie doszedł drogą łatwą zapisania się w szeregi oficerów floty Jego Cesarsko-Królewskiej Mości cesarza Franciszka Józefa, lecz wybrał drogę trudną, samotną. Żelazna wola niosła go tymi szlakami, które są, jak mówi Pismo, „skryte“, szlakami „okrętu pośród morza“. Przepływały przed oczyma lądy kuli ziemskiej, góry i pustynie, odludne przylądki z ich ostatnimi diunami, cuchnące zatoki, gdzie interes swarzy się o rzeczy i zyski, wolne otchłanie same jedne pod niebem, gdzie wichry przechadza się samowładny i pali słońce, nieczące barwy czarodziejskie. Jak sny przechodziły przed oczyma warstwy starych cywilizacji — Indie, Chiny, Egipt, Arabia — wielkie kontynenty i wyspy, pełne dzikich szczepów o włosach, wysmarowanych nawozem i gliną. Przesuwali się przed jego oczyma ludzie czarni i ludzie żółci, a wszędzie wynurzał się przed oczyma ów szczep biały, który swe panowanie, swój cywilizacyjny despotyzm szerzył wciąż i niepostrzeżenie, gdziekolwiek można było władzę rozpostrzeć: Gibraltar, Malta, Suez, Malakka, Indie, Nowa Zelandia, Australia, Afryka. Wyobrażenia napełniła się zjawiskami po brzegi, kipiała od nadmiaru wiadomości, od przeladowania faktami, od przepychu obrazów, wspomnień, figur, typów, barw świetnych postaci, lakonicznych słów, w których zawarte leży pokonanie olbrzymich i długotrwałych niebezpieczeństw — albo ujęte w świetny dowcip, w którym tkwią sytuacje niezmiernie skomplikowane. Nadto — w długich służbach prostego majtka a przychodnia z głębi najbardziej lądowego zaświececia podczas slot i burz nasuwały się przed oczy figury przepotężne, rzeźbione przez wichry, jak ów Singleton, Craig, zwany „Belfast“, Murzyn Wait, Donkin, jak Captain Mac-Whirr, stary Francuz na statku Patna, Falk-Norweg, bracia Jacobus i mnóstwo innych. Oczy przybysza wpijały się w te figury, wchłaniały każdy ich ruch, gest i słowo. Przyszła z czasem chęć odtworzenia tego wielorakiego przepychu rzeczy i spraw widzianych. Tak zaczęły powstawać owe świetne książki, które dziś

należą już do dorobku cywilizacji. Lecz ubliżylibyśmy temu pisarzowi twierdząc, iż jego dzieła są tylko wspomnieniami podróżnika i obrazami malarza osobliwych na kuli ziemskiej typów i wydarzeń. W wypadku „Lorda Jima“ mamy rzucone przed oczy zagadnienie bohaterstwa i tchórzostwa, graniczącego z lotrostwem, które się tłucze zarówno po lądzie, jak po Morzu Czerwonym i Indyjskich Zatokach. Ręką niezrównanego rzeźbiarza postawione są figury tak plastycznie, iż można je porównać z pewnymi typami Tolstoja i Sienkiewicza. Ów kapitan statku Francuz, pijanica i walkoń, który spełnia czyn najbezwzględniejszego bohaterstwa, a gdy mu to przed oczy wynoszą, śmiejąc się w kułak, powiada, że przecie takie rzeczy robi się z tchórzostwa — jakąż to niezrównana postać! W powieści pt. „Nostromo“ (przez wisko Włocha, przybysza do rzeczypospolitej południowo-amerykańskiej Costaguana) — mamy olbrzymie mrowisko, gdzie się przesuwają obrazy gromadzenia niezmiernych bogactw, szaleją najbardziej rozkiełznane pasje, uwidoczniła jest chciwość, oszukująca w sposób najbardziej podstępny czyste zamysły patrioty, przewala się istic zwierzęce okrucieństwo, działają instynkty najpodlejsze i pracują najszlachetniejsze pobudki marzycieli. Mamy tam typy przepyszne, jak owego milczącego fanatyka Goulda, dyktatora Ribieri, młodego dziennikarza Decouda, a przede wszystkim samego „Nostromo“ — które stawiają to dzieło w rzędzie pierwszorzędných kreacyj artystycznych.

Opowieść, w której główne światło skierowane jest na postać Włocha Nostromo, wskutek wciągnięcia w akcję szeregu figur świetnie narysowanych, przemienia się ostatecznie na historię nie tylko awantur i zaburzeń w jakiejś mieścinie Sulaco czy w południowo-amerykańskich kopalniach srebra San Tomé, lecz na dzieje rewolucji w ogóle. Innymi przeprowadzone środkami i inne malujące strony kuli ziemskiej, dzieło to staje obok „The Revolt of Islam“ Percy Byshe Shelley'a.

Niewątpliwie najwspanialszymi kreacjami Josepha Conrada są jego epejeje morskie — rzecz o Murzynie z „Narcyza“ i burza morska, wyrażona w Tajfunie. Wichry, o których czytaliśmy w „The Mirror of the Sea“, tutaj pokazane są w ich rozpętaniu. Gdy przewalały fal poprzez pokład „Narcyza“ zmiatają męzną załogę, jak śmiecie i ciskają w drugi koniec tej arki zbiorowisko rąk, nóg, głów, kadłubów, gdy okręt trzeszczy, a cały jego

25. luty 93.

Kochany i ciekawy Panie.

Przeżyłam Panu miłą książkę
 Nylesa o Ję i Słotach. Miły był mi
 i mielił byćby mi to że
 w książce pisał mi nie dowarto
 że Pan zgrał ja, uciec i widzieć ora
 że o Kawałku dnia i nie miał wa
 — w każdym razie z kontybioci
 do trzmiennikow, przez drugi ciąg

Lat Daria podczytania Kochanego
 Pana wspaniałej przemyślenia do
 Amayno boby prosiem mieć żeby
 Pan napisał książeczki ułty
 ko, sprowadzić mi Słoty. Cało mi się.

W tym miejscu mam wrażenie, że
 ten mój tydzień byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny

W tym miejscu mam wrażenie, że
 ten mój tydzień byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny

W tym miejscu mam wrażenie, że
 ten mój tydzień byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny

Kochany i ciekawy Panie.

W tym miejscu mam wrażenie, że
 ten mój tydzień byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny
 ten, który byłby miły i przyjemny

List Josepha Conrada do Stefana Żeromskiego z podziękowaniem za przedmowę.

takiel szarpie się i skręca jak kupa lachmanów, mamy fizyczne jasnowidzenie istoty zjawiska. W Tajfunie patrzymy na człowieka, kapitana Mac-Whirr, i rozumiemy, iż marynarz krzyżuje miecz z wrogiem. Gdy odziany w skórzaną kاپice, ni to w helm wikingów, w skórzanym kostium i buty długie po pachwiny, walczy w ciągu dwudziestu godzin, ażeby uratować życie nie tylko swoje, lecz tłumy kulisów i załogi, mamy wydobyłą z niewiadomości wizję oczywistą, czym jest morze. Czym jest morze w jego grozie i w jego piękności, powiedział Anglikom, odwiecznym żeglarzom i zwycięzcom morza, dopiero ten ze wschodu przychodzi. Sami to przyznają, iż najdobitniej, najplastyczniej przedstawił im w ich mowie to, na co patrząc przez stulecia, nie mieli wyrazu o takiej doskonałości i sile. Doskonałość, obfitość, muzyczność prozy Conrada uderza angielskiego czytelnika. Krytyk zadaje sobie pytanie: „jakimże to się dzieje sposobem, żeby Polak mógł tak pisać po angielsku?” Rozważając dwa okresy w kształtowaniu się prozy Josepha Conrada, drugiemu okresowi przypisując takie znaczenie w rozwoju stylu angielskiego, jakie we Francji posiada praca Gustawa Flauberta, Richard Curle zaznacza: „Muzykalność prozy Conrada nie jest to już jedynie rozwój i rozszerzenie angielskich usiłowań, to jest w ogóle nowa melodyjność — romantyczna, tajemnicza, przejmująca muzyczność innej rasy”. Zdaje się, że w tym musi być nieco prawdy. Gdy w roku 1914 miałem zaszczyt poznać w Zakopanem Josepha Conrada, przekonałem się z pewnym zdziwieniem, jak doskonale włada on naszym językiem. W ciągu czterdziestu lat parę razy zapewne tylko mając możność rozmawiania po polsku, nie zatracił ani jednego wyrazu, nie zgubił akcentu krakowskiej wymowy. Wnoszę z tego — dość może ryzykownie — iż ten znakomity autor angielski myśli po polsku, zwłaszcza w chwilach trudnych albo podniosłych, a więc w dobie tworzenia. Nie przemawia tu przeze mnie bynajmniej nacjonalistyczna chętka akapowania tej twórczości na naszą korzyść, gdyż ani jednym włókniem dorobek czysto artystyczny Josepha Conrada nie jest z literaturą polską złączony. Chodzi jedynie o zjawisko psychologicznej natury. Gdyby tak było, jak myślę, to mielibyśmy wypadek urabiania zdań we dwu mowach. Mówiąc i pisząc jedynie we własnym języku, nie zwracamy żadnej uwagi na nazwę przedmiotów, na historię rzeczowników, która niejednokrotnie

sięga zamierzchłych czasów, na dostojność i, niejako, moc tajemniczą wyrazów. Są one dla nas powszednie i zdeptane, jak bruk i piasek drogi. Skoro zaś zajdzie potrzeba myślenia w jednej, a pisanie w innej mowie, wyrazy dźwigają się ze swego podniżenia, mienia się, wiążą i, niejako, przechwalają, pokazując swą dostojność. Stąd wypływa konieczność szukania synonimów, dobierania nazw i strojenia inaczej wyrazów. Język zaharwia się i łni niepowszednio, niezwykle, zgoła inaczej. W wypadku Josepha Conrada ta jeszcze zachodzi okoliczność, iż swój język angielski zdobywał on najprzód od marynarzy, synów ludu — poznaj w toku twardych, żeglarskich prac przede wszystkim gwargę angielską. Stamtąd dopiero szedł coraz wyżej i wyżej, wciągając w siebie coraz więcej wyrazów literackiego języka. Muzyczność naszej mowy słowiańskiej musiała mu pozostać w uchu: przecież do siedemnastego roku życia uczył się tylko po polsku, w Krakowie, w siedlisku, skąd na Polskę sphywał jej język literacki przez wieki. W dzieciństwie czytał mnóstwo po polsku — „I read!“ — pisze we wspomnieniu o Krakowie. Nawet utwory literatury angielskiej czytał w tłumaczeniach ojca jedynie po polsku. Została tedy w jego uchu ta podświadoma, niejasna nuta, polski sposób łączenia wyrazów, polski entuzjazm dziwienia się na widok rzeczy nieznanych, tajemniczych, straszliwych i wzniosłych. Goniąc światami i z mórz przepływając w morza, nieraz, zapewne, wśród niebezpieczeństw czy w chwili zachwyty, zaklął z cicha po polsku lub ujął obraz w najprostsze, najpierwsze z brzegu wyrazy swej dawnej mowy. Później, gdy przyszło stwarzać na nowo te obrazy widziane i przeżyte, wynurzyły się one w pamięci wraz z pierwotnymi ich polskimi nazwami. Nazwy, zepchnięte w inny język, szukały dla siebie odpowiednich form i znajdowały może najlepsze, a jednak niezwykle, nie takie, jakich zazwyczaj Anglik używa. I oto w przebogatej literaturze angielskiej zabrzmiał ton zgoła nowy i tak niezwykle, iż ten z Polski przychodzień zajął miejsce jednego z najpierwszych, a jak mówią niektórzy, najpierwszego angielskiego stylisty.

III

Niezależnie od wspomnień osobistych Joseph Conrad dwukrotnie zabierał głos podczas wojny w sprawie polskiej. W roku 1916 pomieścił w „Fortnightly Review“ artykuł pt. „A Note on the Polish Problem“, a w roku 1919 w tymże piśmie — „The Crime of Partition“. Obadwa te artykuły, które można znaleźć w zbiorze ogólnym pt. „Notes on Life and Letters“ — w sposób szlachetny ujmują się za nami, za naszą nieprzedawnioną sprawą, za złączeniem rozerwanych części narodu. Znakomity autor czynił wówczas, co mógł: rzucał na szalę ważących się losów naszych swe nazwisko. Jesteśmy mu wdzięczni za to przyczynienie się za nami w chwilach stanowczych i decydujących. Lecz — niezależnie od wszelkiej polityki — pragnęlibyśmy dziś z bogacić literaturę polską, ładową od początku do końca, tłumaczeniem świetnych jego pism w tak doskonałych przekładach, ażeby w jego oczach mogły uchodzić za oddające dokładnie ducha i siłę oryginału. Polska, jak dotąd, wydała po prawdzie dwu żeglarzy. Jednym był Jan z Kolna — postać na polu mityczna — tu, u nas, pono, urodzony, lecz pod obcą banderą wędrujący po morzach odkrywca Labradoru. — Drugim jest Józef Konrad Korzeniowski, niewątpliwie wśród nas urodzony, lecz również pod obcą banderą w ciągu tylu lat wędrowiec i piewca mórz. Można poczytywać za przypadek, iż tutaj stała jego kolyska, wszystko bowiem zawdzięcza sobie samemu, swej pasji, sile woli, wytrwaniu, pracy. Nikt nie ma prawa wtrącać się do jego postanowień. Ale jak z dorobku innych znakomitych pisarzy na świecie, tak samo z tego specjalnie dorobku, pragniemy skorzystać w sposób jak najgodniejszy. Już dziś młodzi chłopcy w Polsce nie potrzebują uciekać z kraju, stęsknieni za wodami mórz i żądzą przygód. Działa już szkoła morską w Tczewie i rozwija się zwolna polska marynarka. Piszący te słowa miał szczęście uczestniczyć w poświęceniu statku szkolnego „Lwów“ i słyszeć komendę: — Patrz na banderę! —

na Orła Białego w czerwonym polu ponad Bałtykiem. Statek ten popłynie wkrótce do Południowej Ameryki, przesunie się poprzez ocean i równik. Uczniowie szkoły morskiej, oficerowie na statkach i jak najszerszy ogół młodzieży potrzebuje literatury morskiej. Jakaż jest najznakomitsza? Oto ta: Pisma Josepha Conrada. Od dawna nawolywałem prywatnie i publicznie do tłumaczenia tych pism. I oto, za zgodą autora, a dzięki usiłowaniu p. Anieli Zagórskiej, która część tłumaczenia wzięła na siebie oraz przeprowadziła do końca sprawę wydania — rzecz dochodzi do skutku. Znakomici znawcy języka polskiego i wybitni pisarze — Jan Lemański, Stanisław Wyrzykowski i Wilam Horzyca podjęli się dokonania przekładów najświetniejszych utworów — „Murzyna“, „Tajfunu“ i „Nostromo“. Obecnie ukazuje się „Almayer“ w przekładzie Anieli Zagórskiej.

Przekłady te stoją na wyżynie oryginału. Należy dolożyć wszelkich starań, ażeby wszystkie pisma w ich całości stały się polskimi oryginałami angielskich pism Josepha Conrada. Należy dolożyć wszelkich starań, ażeby to zbiorowe wydanie było godnym nas, literatów polskich, pozdrowieniem wielkiego twórcy z tej ziemi, gdzie stała jego kołyska. Polska dzisiejsza zaczyna gromadzić, zbierać, zgarniać do kupy rzeczy swe i sprawy rozproszone, pokradzione, pogubione, wydarte. W tej pracy, w tej pasji staje się lakomą, łapczywą, natarczywą, nieustępliwą, żarliwą. To jej prawo. Zbyt długo ją obdzierano. Przede wszystkim musi podnosić i ku czci powszechnej ukazywać to, co jest najbezczenniejsze w jej dziejach: zapomniane trudy i znoje swych męczenników.

Kołyskę wielkiego pisarza Anglii i świata, Josepha Conrada, poruszała najszlachetniejsza, najdostojniejsza dłoń kobiety naszego rodu, gdy zbójcecka pięść wroga kolatała we drzwi domu. Postać ta poszła za miłością swoją i prawdą swoją aż do ostatniego tchu, podobnie, jak tysiące innych ze dworów, z chat, z izb robotniczych.

„Patrzyłem bez przerwy na krzyż i tym krzepilem omdlewającą duszę, mącaące się myśli“ — mówi ojciec wielkiego pisarza.

Zważone zostały kędyś na szali niewiadomej spojrzenia takie: Polska wolna, potężna i nieśmiertelna zajaśniała pod słońcem. — Należy rozradować dwa bohaterskie cienie, co nie

tylko „żyją w miłosierdziu bożym“, lecz żyją i żyć będą w wiecznej, wdzięcznej pamięci pokoleń, najgłębszą i ostatnią radością, iż doskonale pisma ich umiłowanego dziecięcia, jaśniejące w hezcennym dorobku świata, stanowią także klejnot tej mowy, która była głosem ich cierpień, wyrazem ich cnoty i zawarła w sobie westchnienia ich świętej nadziei.

STEFAN ŻEROMSKI

PRZEDMOWA AUTORA

Trzy opowieści zawarte w tej książce nie mają pretensji do jedności artystycznego celu. Jedyną łączącą je więzią jest czas ich powstania. Należą do okresu następującego bezpośrednio po wydaniu „Murzyna z załogi Narcyza“, a poprzedzającego pierwszy pomysł „Nostroma“, dwóch książek, które, jak mi się zdaje, wyodrębniają się wśród całości mego dzieła. Jest to zarazem okres mego współpracownictwa z Blackwood's Magazine, okres, w którym dominuje „Lord Jim“; owe czasy wiążą się w mej wdzięcznej pamięci z krzepiącą, uczynną dobrocią nieżyjącego już Williama Blackwooda.

„Młodość“ nie była pierwszą pracą, jaką dałem do Blackwood's Magazine. Była już drugą. Ale w tej noweli pojawia się na świecie po raz pierwszy człowiek nazwiskiem Marlow, z którym moje stosunki zacieśniły się bardzo z biegiem lat. Pochodzenie tego dżentelmena (o ile wiem, nikt nigdy nie wątpił o jego dżentelmemstwie) było przedmiotem pewnych literackich domysłów przyjaznej natury, co miło mi stwierdzić.

Zdawałoby się, że moja osoba jest powołana, by rzucić światło na ową kwestię, ale, mówiąc szczerze, nie uważam tego wcale za takie łatwe. Przyjemnie mi wspomnieć, że nikt nigdy nie posądził Marlowa o szalbiercze zamiary ani nie uważał go za szarlatana; poza tym jednak ludzie pomawiali go o najprzeróżniejsze rzeczy; przypuszczano, że jest zręcznym parawanem, zwykłym pretekstem, czymś sobowtórem, opiekuńczym duchem, podszeptującym „demonem“. Na mnie zaś padło podejrzenie, iż obmyśliłem plan, aby nim zawładnąć.

Tak nie było. Nic sobie z góry nie układałem. Z człowiekiem nazwiskiem Marlow zeszedliśmy się zupełnie przypadkowo, tak jak się zawiera znajomości w miejscach kuracyjnych — znajomości, które czasem dojrzewają do przyjaźni. I tak się też stało w tym wypadku. Pomimo stanowczości, z jaką Marlow wypowiada zazwyczaj swe

zdanie, nie jest bynajmniej natrętem. Nawiedza mię w godzinach samotności, gdy milcząc rozmyślamy nad czymś wspólnie w przytulnym, harmonijnym nastroju; lecz rozstając się z nim przy końcu opowieści, nie jestem nigdy pewien, czy to nie po raz ostatni. Nie myślę jednak, aby który z nas miał ochotę przeżyć drugiego. Co się tyczy Marlowa, jego funkcja skończyłaby się w każdym razie z moją śmiercią i cierpiałby nad swym zatraceniem, gdyż podejrzewam go o pewną próżność. Nie mam tu na myśli próżności w znaczeniu Salomonowym. Ze wszystkich moich postaci on jeden nie drażnił mnie nigdy. To człowiek na wskroś dyskretny i wyrozumiały.

„Młodość“ została bardzo dobrze przyjęta nawet jeszcze przed ukazaniem się w książce. Muszę wyznać narazie — a to miejsce równie dobrze się do tego nadaje jak każde inne — że byłem przez całe życie — przez całe dwa moje życia — zepsutym przybranym dzieckiem Wielkiej Brytanii, a nawet wielkobrytańskiego cesarstwa, gdyż pierwsze dowództwo dała mi Australia. Wygłaszam to oświadczenie nie z powodu utajonej skłonności do megalomanii, lecz przeciwnie jako człowiek, który nie ma co do siebie wielkich złudzeń. Podlegam uczuciom chępliwości i pokory, wrodzonym każdemu. Trudno bowiem zaprzeczyć, że ludzie się pyszną przeważnie nie swymi zasługami, lecz raczej niezwykłym swym szczęściem, zdumiewającym powodzeniem: tym, za co dziękczynienia i ofiary należy składać na ołtarzach nieprzeniknionych bogów.

„Jądro ciemności“ również zwróciło na siebie od razu dość znaczną uwagę, a o jego pochodzeniu tyle mogę powiedzieć: wiadomo ogólnie, że ludzie ciekawi wścibiają nos w najprzeróżniejsze miejsca (gdzie nie mają nic do roboty) i wynoszą stamtąd zdobycz najrozmaitszą. To opowiadanie i jeszcze jedno, nie zamieszczone w niniejszym tomie, jest całym łupem, jaki wyniosłem ze środka Afryki, gdzie doprawdy nie miałem nic do roboty. „Jądro ciemności“, opowieść o bardziej ambitnym założeniu, a przy tym dłuższa, jest w zasadniczych rysach równie autentyczna jak „Młodość“. Pisałem ją w innym usposobieniu, co

jest zresztą widoczne. Nie chcę tego usposobienia ściśle określać, ale każdy może stwierdzić, że nie był to bynajmniej nastrój tęsknego żalu lub wspomnień pełnych czułości.

Można tu dodać jeszcze jedną uwagę. „Młodość“ jest popisem pamięci. Jej treść, to wspomnienie pewnego mego przeżycia; lecz całe to przeżycie i w treści wewnętrznej i w zewnętrznym swym zabarwieniu zaczyna się i kończy we mnie. „Jądro ciemności“ jest również przeżyciem, ale przesuniętym trochę (choć bardzo nieznacznie) poza fakty, które zaszły istotnie, dla celu najzupełniej usprawiedliwionego, jak sądzę; chciałem uczynić owo przeżycie bliższym umysłom i sercom czytelników. Nie chodziło mi tu już specjalnie o ścisłość kolorytu. Był to jak gdyby zupełnie inny rodzaj sztuki. Musiałem nadać ponuremu tematowi złowrogi rezonans, ton bardzo swoisty i przeciągłą wibrację, które — miałem nadzieję — zostaną w powietrzu i będą dźwięczały w uszach, gdy ostatnia nuta już przebrzmi.

Omówiwszy to wszystko, muszę jeszcze wspomnieć o ostatnim opowiadaniu tej książki. „U kresu sił“ jest opowieścią z życia morskiego, ujętą w sposób dosyć szczególny, a oto najbardziej poufna rzecz, jaką mogę o niej powiedzieć: żyjąc długie lata tym życiem w całej pełni, wśród jego ludzi, jego pojęć, jego wrażeń, uznałem bez wahania — z zupełną szczerością i spokojnym sumieniem — że mogę wysnuć dzieje kapitana Whalley i opowiedzieć, jaki był jego koniec. Ta moja deklaracja zyskuje na sile z następującego powodu: oto kartki tej opowieści, stanowiące dokładnie połowę książki, są również wynikiem doświadczenia. Owo doświadczenie (zarówno jak i przeżycia opisane w „Młodości“) odnosi się do czasu, gdy jeszcze w głowie mi nie powstało, że będę kiedykolwiek pisał. Co zaś do „realności“ opowiadania, muszą już o niej zdecydować czytelnicy. Wypadło mi zbierać tu i ówdzie potrzebne fakty. Więcej wprawy byłoby je uczyniło prawdziwymi, a cały utwór bardziej zajmującym. Ale tu już zbliżamy się do mglistej krainy artystycznych wartości, gdzie wchodzić mi nie wypada i gdzie zaiste groziłoby mi

niebezpieczeństwo. Przejrzałem korekty, poprawiłem parę błędów drukarskich, zmieniłem parę słów — i to wszystko. Nie bardzo jest prawdopodobne, abym przeczytał jeszcze kiedykolwiek „U kresu sił“. Nic więcej mówić nie trzeba. Najbardziej mi odpowiada właśnie takie rozstanie z kapitanem Whalley — wśród serdecznego milczenia.

J.C.

MŁODOŚĆ

Mogło to się wydarzyć tylko w Anglii, gdzie ludzie i morze niejako się wzajemnie przenikają: morze wchodzi w życie większości ludzi, a ludzie wiedzą o morzu coś niecoś lub też wszystko, czy to jako o rozrywce, czy terenie podróży, czy wreszcie warsztacie pracy.

Siedzieliśmy wokoło mahoniowego stołu, wsparci na łokciach; gładki blat odbijał butelkę, kieliszki z czerwonym winem i nasze twarze. Był tam dyrektor różnych towarzystw, buchalter, prawnik, Marlow i ja. Dyrektor przeszedł ongi szkołę na *Conway*, buchalter służył przez cztery lata na morzu, prawnik — wspaniały okaz omszałego torysa, anglikanin, najmilszy towarzysz, wcielenie honoru — pełnił służbę pierwszego oficera na linii Śródziemnomorsko-Wschodniej w dobrych, dawnych czasach, gdy pocztowe statki miały żagle na rejach przynajmniej u dwóch masztów i wjeżdżały na Morze Chińskie — pod krzepkim mussonem — z dodatkowymi bocznymi żaglami, rozpiętymi w dole i w górze. Każdy z nas rozpoczął życie w marynarce handlowej. Jednoczyła nas wszystkich pięciu siła więzi morza, a także i koleżeństwo w rzemiośle, którego nie może zastąpić choćby i największe zamiłowanie do jachtowania, żeglowania i tym podobnych sportów, ponieważ są to tylko przyjemności życia, gdy tamto jest samym życiem.

Marlow (mam wrażenie, że tak się pisze jego nazwisko) opowiedział nam historię, a raczej kronikę pewnej podróży:

— Tak, widziałem coś niecoś ze wschodnich mórz; ale najlepiej pamiętam pierwszą podróż w tamte strony. Wy wiecie, koledzy, że zdarzają się podróże, które są jakby umyślnie zamówione dla zobrazowania życia — które mogą służyć za symbol istnienia. Człowiek walczy, pracuje, oblewa się potem, zamięcza się prawie na śmierć, czasem istotnie daje życie, ażeby czegoś dokonać — i ani rusz mu nie idzie. Nie z jego winy, po prostu nie może nic zro-

bić — ani wielkiego, ani małego — nic a nic — nie może się nawet ożenić ze starą panną lub dobić z nędznym, sześćsettonowym ładunkiem węgla do wyznaczonego portu.

— Ta historia zasługiwała, aby ją zapamiętać. Była to pierwsza moja podróż na Wschód, i to pierwsza podróż jako drugiego oficera: było to także pierwsze dowództwo mojego szypra. Przyznacie mi, że czas już nagiął. Przynajmniej sześćdziesiąt lat miał ten mały, przygarbiony człowieczek o szerokich, niezupełnie prostych plecach i jednej nodze bardziej kablakowatej niż druga, o dziwacznej, koślawej postaci, jaką widuje się często u ludzi pracujących w polu. Nos jego usiłował zetknąć się z brodą nad zapadniętymi ustami, a twarz przypominała dziadka od orzechów; okalał ją siwy jak stal, puszysty zarost, podobny do podpinki od hełmu zrobionej z waty i posypanej sadzami. A w tej starej twarzy tkwiły błękitne oczy, dziwne podobne do oczu chłopięcych o niewinnym wyrazie, który czasem zupełnie przeciwni ludzie zachowują do końca życia, dzięki rzadkiemu darowi prostoty serca i prawości ducha. Zachodziłem w głowę, co go skłoniło do przyjęcia mnie na statek. Rozstałem się właśnie z szykownym kliprem australijskim, gdzie byłem trzecim oficerem, a mój nowy szyper zdawał się mieć uprzedzenie do szykownych kliprów, jako arystokratycznych i zadzierających nosa. Powiedział mi: „Proszę pana, na tym statku będzie pan musiał pracować“. Odrzekłem, że musiałem pracować na wszystkich statkach — gdzie tylko służyłem. „O, to jest zupełnie co innego — wy, paniczycy z tych wielkich okrętów... ale co tam! Sądzę, że pan się tu nada. Proszę stawić się jutro“.

Stawiłem się nazajutrz. Działo się to przed dwudziestu dwu laty; i miałem okrągłe lat dwadzieścia. Jak ten czas leci! Był to jeden z najszczęśliwszych dni w moim życiu. Pomyślcie tylko! Zostałem po raz pierwszy drugim oficerem — oficerem prawdziwie odpowiedzialnym! Nie byłbym oddał swego nowego stanowiska za żadne skarby świata. Pierwszy oficer obejrzał mię starannie. Był to także że gomość stary, ale innego pokroju. Miał rzymski nos

śnieżnobiałą, długą brodę, a nazwisko jego brzmiało Mahon, lecz kładł nacisk na to, aby wymawiać je Mann. Był z dobrej rodziny, tylko szczęście mu jakoś nie dopisało i kariery nie zrobił.

Co się tyczy kapitana, żeglował całe lata na statkach nadbrzeżnych, potem po Morzu Śródziemnym, a wreszcie dostał się do wschodnio-indyjskiego handlu. Nie objechał nigdy przyłądków*. Charakter pisma miał niepewny, koślawy, i bynajmniej pisać nie lubił. Obaj byli oczywiście żeglarzami co się zowie, a ja czułem się między tymi starymi ludźmi jak mały chłopczyk między dwoma dziadkami.

— Okręt był także stary. Nazywał się *Judea*. Dziwaczna nazwa, prawda? Właściciel jego — nazwiskiem Wilmer, Wilcox, czy coś w tym rodzaju, zbankrutował i umarł przed jakimiś dwudziestu laty — mniejsza o to, jak się nazywał. *Judea* stała w basenie w Shadwell przez całe wieki. Możecie sobie wyobrazić, w jakim była stanie. Cała w kurzu, rdzy, plugastwie — u góry sadza, brud na pokładzie. Wydało mi się, że opuszczam pałac dla zrujnowanego dworku. Miała około 400 ton pojemności, prymitywną windę kotwiczną, drewniane klamki u drzwi i wielką kwadratową rufę; nigdzie nie było na niej ani żdźbła mosiądzu. U rufy widniała nazwa okrętu wypisana wielkimi literami, a pod nią ozdoby z drzewa o starzej pozłocie — wycinane laubzegą — z czymś w rodzaju tarczy herbowej i wypisanym poniżej mottem: „Czyń lub giń“. Pamiętam, że podziałało mi to niezmiernie na wyobraźnię. Był w tym jakiś powiew romantyzmu, coś, co sprawiło, że pokochałem ten stary grat — coś, co przemówiło do mojej młodości!

Opuściliśmy Londyn z piaskiem jako balastem, udając się do jednego z północnych portów po węgiel dla Bangkoku. Bangkok! Zadrzałem z radości. Spędziłem był na morzu już sześć lat, lecz widziałem tylko Melbourne i

* Mowa tu o Przyładku Dobrej Nadziei i Przyładku Horn, w pobliżu których żegluga jest szczególnie trudna.

Sydney — bardzo porządne miasta, zachwycające miasta w swoim rodzaju — ale Bangkok!

Wyszliśmy z Tamizy pod żaglami, mając na pokładzie pilota z Morza Północnego. Nazywał się Jermyn i płał się cały dzień po kambuzie, susząc przy piecu swoją chustkę do nosa. Widocznie nigdy nie sypiał. Ten ponury człowiek, z wieczną kapką świecąca u nosa, albo uporał się dopiero co z jakimś kłopotem, albo był w kłopotcie, albo spodziewał się, że wpadnie w kłopot — i czuł się dobrze jedynie, gdy coś szło nie tak, jak trzeba. Nie dowierzał mojej młodości, mojemu rozsądkowi, mojej żeglarskiej wiedzy i postawił sobie za zadanie, aby mi to okazywać w najprzeróżniejszy sposób. Zdaje mi się, że miał słusność. Sądzę, że umiałem wówczas bardzo mało, a i teraz umiem niewiele więcej; ale żywię nienawiść względem tego Jermyna aż do dnia dzisiejszego.

Po tygodniowej żegludze dotarliśmy do Yarmouth Roads, a potem dostaliśmy się w burzę — słynną paźdzernikową burzę sprzed dwudziestu dwóch lat. Wichery, błyskawice, deszcz ze śniegiem, śnieżycy i straszliwe morze. Lecieliśmy niby na skrzydłach; zrozumiecie, jak złe było z nami, kiedy wam powiem, że mieliśmy strzaskane nadburcie i zalany pokład. W ciągu drugiej nocy balast przesunął się na stronę podwietrzną, a jednocześnie zapęzdziło nas gdzieś w okolice Dogger Bank. Nie było innej rady, tylko zejść na dół z szuflami i starać się doprowadzić statek do porządku — i oto staliśmy w tej przestronnej ładowni, ponurej jak jaskinia; łojowe świece migotały przytwierdzone do belek, burza wyła w górze, okręt rzucał się na boku jak szalony; byliśmy tam wszyscy co do jednego, Jermyn, kapitan, pochłonięci tą pracą grabarzy i ledwie się mogliśmy utrzymać na nogach, usiłując rzucać szufle mokrego piasku ku stronie nawietrznej. Przy każdym zatoczeniu się statku widać było niewyraźne w mętym świetle, jak ludzie się przewracają zakreślając wielkie łuki szuflami. Jeden z naszych chłopców okrętowych (było ich dwóch) płakał rozdzierająco pod wrażeniem tej niesamowitej sceny. Słyszeliśmy, jak szlochał gdzieś w ciemnościach.

— Trzeciego dnia burza ucichła i jakiś północny holownik zabrał nas wkrótce. Tylko szesnaście dni zużyliśmy na przejazd z Londynu do Tyne! Kiedyśmy weszli do doku, okazało się, że straciliśmy naszą kolejkę do ładowania i wycofano nas do dalszego rzędu, gdzie pozostaliśmy przez miesiąc. Pani Beard (kapitan nazywał się Beard) przyjechała z Colchester, aby się zobaczyć ze starym. Mieszkała na statku. Załoga opuściła okręt; pozostali tylko oficerowie, jeden z chłopców okrętowych i steward, mullat, którego wołano Abraham. Pani Beard była też stara, miała twarz pomarszczoną i rumianą jak zimowe jabłko, a figurę młodej panny. Zobaczyła raz, że przyszywam sobie guzik i wymogła na mnie, abym jej dał koszulę do naprawy. To było coś zupełnie różnego od zachowania żon kapitanów, które znałem na szykownych klipkach. Gdy jej przyniosłem koszulę, zapytała: „A skarpetki? Jestem pewna, że potrzebują naprawy; rzeczy Jana — to jest kapitana Bearda — są już wszystkie w porządku. Miło mi będzie mieć coś do roboty“. Kochana staruszka. Przepatrzyła wszystkie moje rzeczy, a ja tymczasem czytałem po raz pierwszy *Sartora Resartusa* i Burnaby'ego *Wyprawę na Chiwę*. Niewiele wówczas rozumiałem z pierwszej książki; pamiętam jednak, że przekładałem żołnierza nad filozofa — a życie mię jeszcze w tym utwierdziło. Jeden był człowiekiem, drugi zaś może czymś więcej — a może i mniej? Tak czy owak, obydwaj już nie żyją, i pani Beard nie żyje, i młodość, siła, geniusz, myśli, czyny, proste serca — wszystko umiera... Mniejsza o to.

Przyjeliśmy wreszcie ładunek. Zaciągnęliśmy załogę. Ośmiu wykwalifikowanych marynarzy i dwóch chłopców. Odholowano nas pewnego wieczoru do boju u wrót doku; byliśmy gotowi do odjazdu i spodziewaliśmy się doprawdy, że nazajutrz puścimy się w drogę. Pani Beard zamierzała wrócić do domu pociągiem odchodzącym późno w noc. Gdy statek został zacumowany, udaliśmy się na herbatę. Siedzieliśmy dość milcząco u stołu — Mahon, starzy małżonkowie i ja. Wypilem herbatę pierwszy i wymknąłem się na papierosa do swojej kajuty w domku na pokładzie, tuż przy rufie. Był przypływ, chłodny wiatr

zaczynał kapuśniaczką; podwójne wrota doku stały otworem, a parowce węglowe wjeżdżały i wyjeżdżały w ciemności z palącymi się jasno światłami, wśród głośniego chłopotu śrub, zgrzytu bloków i nawoływań rozlegających się u cyplów mola. Przypatrywałem się procesji świateł dziobowych, sunących wysoko i zielonych świateł, sunących nisko w mroku, gdy nagle czerwony błysk zajął mi w oczy, znikł, ukazał się znów i pozostał. Dziób parowca zamajaczył blisko. Krzyknąłem w dół do kabiny: „Chodźcie tu prędko!” i usłyszałem przestraszony głos daleko w ciemnościach: „Zatrzymać maszyny, panie kapitanie!” Zabrzmiał dzwon. Inny głos krzyknął ostrzegawczo: „Wjeżdżamy wprost na tę barcę, panie kapitanie!” Odpowiedzią na to było szorstkie: „Aha” — i zaraz potem rozległ się potężny trzask: parowiec ugodził na ukos zaokrąglonym dziobem w takielunek przedniego masztu. Nastąpiła chwila zamieszania, wrzasków i bieganiny. Para huczała. Usłyszałem czyjeś słowa: „Już dobrze, panie kapitanie”. „Czy u was wszystko w porządku?” zapytał szorstki głos. Skoczyłem na dół, aby obejrzeć szkodę i odkrzyknąłem: „Zdaje się, że tak”. „Powoli w tył” — rzekł szorstki głos. Rozległ się dzwon. „Co to za parowiec?” krzyknął Mahon. W owej chwili statek był dla nas już tylko masywnym cieniem manewrującym opodał. Odkrzyknęli nam jakąś nazwę — Miranda czy Melissa, czy coś w tym rodzaju. „Z tego wszystkiego posiedzimy jeszcze miesiąc w tej przeklętej dziurze”, rzekł do mnie Mahon, gdyśmy rozpatrywali przy świetle latarni strzaskane nadburcie i poszarpane brasy. „Ale gdzie kapitan?”

— Nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy go wcale przez cały ten czas. Poszliśmy go szukać na rufę. Żalony głos zaczął nas okrzykiwać skądś ze środka doku: „Hej, na Judei!”... Jak on się u diabła tam dostał?... „Hej, hej!” odkrzyknęliśmy. „Zniosło mnie w naszej łódce, jestem bez wiosła!” krzyknął. Jakiś zapóźniony cumownik ofiarował się z pomocą, Mahon dobił z nim targu: za pół korony miał być nasz szyper przyholowany do statku; tymczasem nie kapitan, ale pani Beard ukazała się pierwsza u trupu. Pływali oboje po doku w tym mżącym kapuśniaczką przez

blisko godzinę. Nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony. — Okazało się, że gdy kapitan usłyszał mój krzyk: „Chodźcie tu!” zrozumiał w lot, co się dzieje, porwał żonę, wypadł na pokład, przebiegł go i dostał się do łodzi, która była przymocowana u trupu. To niezłe, jak na sześćdziesięcioletniego człowieka. Wyobraźcie sobie staruszka unoszącego po bohatersku w ramionach tę starą kobietę — kobietę swego życia. Usadowił ją w łodzi na ławce i już miał się wdrapać z powrotem na pokład, gdy lina się jakoś odcepiała i zaczęli oboje odpływać. W tym zamieszaniu nie słyszeliśmy naturalnie jego nawoływań. Wyglądał na zawstydzonego. Pani Beard rzekła wesoło: „Przypuszczam, że teraz już wszystko jedno, czy się spóźnię na pociąg?” „Tak, Jenny — idź na dół i rozgrzej się” — mruknął. Potem zwrócił się do nas: Żona, to żaden interes dla marynarza. Byłem tam — poza okrętem. No, tym razem nic się złego nie stało. Chodźmy i popatrzmy, co nam ten głupi parowiec potrzaskał”.

— Szkody były niewielkie, ale opóźniło nas to o trzy tygodnie. Pod koniec tego czasu kapitan był zajęty ze swymi agentami, więc zaniósłem podróżną torbę pani Beard na stację i umieściłem staruszkę wygodnie w przedziale trzeciej klasy. Spuściwszy okno, rzekła do mnie: „Pan jest zacnym młodzieńcem. Jeśli pan kiedy zobaczy, że Jan — to jest kapitan Beard — wychodzi w nocy bez szalika na pokład, niechże mu pan w moim imieniu przypomni, żeby dobrze ochraniał szyję.” „Dobrze, proszę pani” — odpowiedziałem. „Pan jest zacnym młodzieńcem, zauważyłam, jak pan się opiekuje Janem — to jest kapitanem —”. Pociąg nagle ruszył; zdjąłem czapkę; nie zobaczyłem staruszki już nigdy... Dajcie butelkę.

— Wyszliśmy z portu nazajutrz. W chwili naszego wyjazdu miały już trzy miesiące od czasu, gdy opuściliśmy Londyn. A spodziewaliśmy się, że to będzie trwało najwyżej dwa tygodnie.

— Był styczeń i cudowna pogoda — taka piękna, słoneczna, zimowa pogoda, która ma więcej uroku niż letnia, ponieważ jest niespodziana i rześka, i wiemy, że nie będzie, że nie może trwać długo. Jest jak pomyślny traf,

jak dar zesłany z nieba, jak nieoczekiwane szczęście.

— Było wiaź pogodnie przez cały czas, gdyśmy płynęli przez Morze Północne, potem przez Kanał Angielski i trwało to, dopóki nie odsadziliśmy się z trzysta mil na zachód od przylądka Lizards; wtedy wiatr obrócił się na południo-zachód i zaczął gwizdać. We dwa dni nawiał nam burzę. Judea dryfowała, tarzając się po Atlantyku jak stare pudło od świec. Wiatr dał dzień po dniu; dał ze złością, bez przerwy, bez miłosierdzia, bez odpoczynku. Świat był ogromem spienionych fal, rzucających się na nas pod niebem tak niskim, że prawie było można dotknąć go ręką — a brudnym jak zadymiony sufit. W burzliwej przestrzeni, która nas otaczała, unosiło się tyleż lotnych bryzgów co i powietrza. Dzień w dzień i noc po nocy nie było wkoło okrętu nic poza wyciem wichru, zgiełkiem morza, łoskotem wody przelewającej się przez pokład. Żadnego wytchnienia dla statku i żadnego wytchnienia dla nas. Ciskał się, miotał, stawał na głowie, siadał na ogonie, przewalał się i stękał, a my musieliśmy przetrwać to wszystko na pokładzie albo też w dole trzymać się koj w nieustannym wysiłku ciała i udręce duszy.

— Pewnej nocy Mahon odezwał się do mnie przez okienko kajuty. Otworzyło się tuż nad łóżkiem, na którym leżałem w butach, czuwając; miałem wrażenie, iż nie zmrużyłem oka już od lat i że nie podobna byłoby mi zasnąć. Rzekł w podnieceniu:

— „Marlow, nie ma tu pan prętu do mierzenia wody? Pompy ani rusz nie chcą ssać. Wielki Boże, to nie są żarty!“

— Dałem mu pręt i położyłem się znowu, usiłując myśleć o przeróżnych rzeczach — ale myślałem tylko o pompach. Kiedy wyszedłem na pokład, ciągle jeszcze pracowano u pomp i moja wachta zastąpiła poprzednią. W świetle latarni, którą przyniesiono na pokład, aby obejrzeć pręt, mignęły mi zmęczone, poważne twarze majątków. Pompowaliśmy przez całe te cztery godziny. Pompowaliśmy całą noc, cały dzień, cały tydzień — wachta po wachcie. Okręt się rozlatywał i przeciekał szpetnie — nie dosyć, aby nas od razu zatopić, ale dość, by na-

zabić pracą przy pompach. A w ciągu naszego pompowania statek opuszczał nas po kawałku; poszło nadburcie, stojaki poręczy zostały wyrwane, wietrzniki zdruzgotane, drzwi od kabiny wgniecione. Nie było nigdzie suchego miejsca. Odbywało się zwolna patroszenie okrętu. Szalupa — jakby pod wpływem czarów — rozpadła się w drzazgi stojąc w miejscu na legarach. Sam ją przymocowałem i pyszniłem się poniekąd swym dziełem, które opierało się tak długo złościwości morza. Pompowaliśmy w dalszym ciągu. Niepogoda nie ustawała ani na chwilę. Morze było białe jak olbrzymi płat piany, jak kocioł gotującego się mleka; nie dostrzegało się żadnej luki w chmurach — choćby na szerokość dłoni — choćby na przeciąg dziesięciu sekund. Nie istniało dla nas niebo, nie istniały dla nas gwiazdy ani słońce, ani wszechświat — nie poza gniewnymi chmurami i rozwścieczonym morzem. Pompowaliśmy wachta za wachtą, pompowaliśmy walcząc o życie; i zdawało się, że to trwa już miesiące, lata, całą wieczność, jakbyśmy byli umarli i znaleźli się w piekle dla żeglarzy. Zapomnieliśmy, jaki to dzień w tygodniu, miesiąc, rok — zapomnieliśmy, że byliśmy kiedykolwiek na lądzie. Żagle zostały zerwane, statek leżał na boku pod płócienną zasłoną od wiatru, ocean przelewał się przez niego, a nam to było obojętne. Kręciliśmy tymi korbami i mieliśmy oczy idiotów. Z chwilą gdy się wyczołgiwaliśmy na pokład, opasywałem liną ludzi, pompy i maszt główny, po czym kręciliśmy, kręciliśmy bez ustanku, a woda sięgała nam po pas, po szyję, wyżej głowy. Nic to nie pomagało. Zapomnieliśmy, jakie to uczucie, kiedy się jest suchym.

— A we mnie tkwiła gdzieś myśl: No, no! To ci dopiero morowa awantura — jak w jakiej książce — a ja jadę po raz pierwszy jako drugi oficer — i mam dopiero dwadzieścia lat — i oto wytrzymuję wszystko równie dobrze jak każdy z tych ludzi — i podnoszę moich chłopców na duchu. Cieszyłem się. Nie byłbym się wyrzekł swych przeżyć za nic w świecie. Miałem chwile radosnego uniesienia. Gdy stary, ogołocony statek przechylał się ciężale, wznosząc konchę rufy wysoko w powietrze, zda-

wało mi się, że rzuca ku bezlitosnym chmurom — jak apel, jak wyzwanie, jak okrzyk — słowa wypisane na rufie: „*Judea*, Londyn. Czyń lub gin”.

— O młodości! O młoda siło, o młoda wiaro, o młoda wyobraźni! *Judea*, to nie był dla mnie stary gruchot wiozący przez świat za opłatą ładunek węgla — był to dla mnie wysiłek, próba, probierz życia. Myślę o niej z upodobaniem, z miłością, z żalem — jak się myśli o kimś zmarłym, kogo się kochało. Nie zapomnę jej nigdy... Dajcie butelkę.

— Pewnej nocy, gdy przywiązani do masztu — jak już mówiłem — pompowaliśmy ogłuszeni przez wiatr i tak upadli na duchu, że nawet nie pragnęliśmy śmierci, potężny bałwan gruchnął o pokład i przejechał się po nas. Złapawszy oddech, krzyknąłem natychmiast, jak nakazuje służba: „Trzymajcie się chłopcy!” — i nagle poczułem, że jakiś twardy przedmiot pływający po pokładzie uderzył mnie w łydkę. Chciałem go pochwycić, ale nie natrafiłem na niego. Było tak ciemno, uważacie, że na odległość stopy nie mogliśmy dojrzeć swych twarzy.

— Po tym ciosie statek trwał chwilę w spokoju i ten jakiś przedmiot znów mnie uderzył w nogę. Tym razem złapałem go — a był to rondel. Z początku, ogłupiały ze zmęczenia, myśląc tylko o pompach, nie zrozumiałem, co mam w ręku. Nagle rozświetliło mi się w głowie i krzyknąłem: „Chłopcy, zniosło domek z pokładu. Rzućcie to, poszukamy kucharza”.

— Na baku była nadbudówka, w której znajdował się kambuz, koja kucharza i kwatery załogi. Ponieważ spodziewaliśmy się już od dawna, że nadbudówka zostanie zniesiona, kazano majtkom spać w kabinie — jedynym bezpiecznym miejscu na okręcie. Tymczasem steward, Abraham, trzymał się z osłim uporem swej koi — przypuszczam, że wprost ze strachu, jak zwierzę, które nie chce opuścić stajni walącej się podczas trzęsienia ziemi. Poszliśmy więc go szukać. Naraziliśmy się na śmierć, ponieważ — pozbywszy się więzów — byliśmy bez żadnej ochrony, jak na tratwie. Ale poszliśmy. Nadbudówkę rozwalilo, jakby granat w środku wybuchnął. Większa jej

część poszła za burtę — piec, kwatery majtków, ich rzeczy — wszystko poszło; ale dwa słupy podtrzymujące część grodzi, do której była przytwierdzona koja Abrahama, ocalały jakby cudem. Natrafiłszy na nie, szukając po omacku między zwaliskami, i oto kucharz tam tkwił; siedział na swojej koi wśród piany i szczątków papląc do siebie wesoło. Utracił rozum; zwariował raz na zawsze wskutek tego nagłego wstrząsu, który zmiotł resztę jego wytrzymałości. Chwyciliśmy go, zawlekliśmy na rufę i rzuciliśmy na łeb na szyję w kajutową schodnię. Rozumiecie, że nie było czasu znosić go na dół z wszelkimi ostrożnościami i czekać, póki się nie przekonamy, jak mu tam jest. Wiedzieliśmy, że ci w dole podniosą go z dna schodów — i koniec. Pilno nam było wrócić jak najprędzej do pomp. One czekać nie mogły. Taki szpetny przeciek, to nieludzka bestia.

— Można by pomyśleć, że jedynym celem piekielnej burzy było pomieszenie w głowie nieborakowi mulatowi. Nad ranem wiatr ustał, nazajutrz zaś niebo było pogodne, a gdy się morze uspokoiło, woda zaczęła znów przeciekać. Gdy doszło ponownie do częściowego zwinięcia żagli, załoga zażądała powrotu — i rzeczywiście nic nam innego nie pozostawało. Łodzie przepadły, pokład był wymięciony na czysto, kajuta wypatroszona, ludziom zostało się tylko to, co mieli na sobie — poza tym nic — zapasy były zepsute, okręt przemęczony. Obróciliśmy go dziobem ku Anglii i — czy dacie wiarę? Pojawił się wiatr od wschodu, prosto nam w oczy. Dał, zimny, dał bez ustanku. Musieliśmy wywalczyć sobie każdy cal drogi, lecz statek nie ciekł tak bardzo, gdyż morze było stosunkowo gładkie. Pompować dwie godziny na cztery, to nie zabawka — ale trzymało nas to na powierzchni aż do Falmouth.

— Poczcivi ludzie tamtejsi żyli ze szkód wyrządzonych przez morze i widok nasz ucieszył ich z pewnością. Zgłodniała rzesza cieśli okrętowych wzięła się do ostrzenia dłut, spostrzegłszy ten szkielet okrętu. I, dalibóg, musieli się porządnie obłowić, zanim z nami skończyli. Zdaje mi się, że właściciel statku był już wówczas w opałach.

Zwlekano z decyzją. Wreszcie postanowiono, że ładunek zostanie częściowo wyjęty, a burty uszczelnione powyżej linii wodnej. Załatwiwszy się z tym, dokończono naprawy i załadowano węgiel z powrotem; nowa załoga zjawiała się na pokładzie, po czym wyruszyliśmy — do Bangkoku. Po upływie tygodnia byliśmy znów z powrotem. Załoga oświadczyła, że nie pojedzie do Bangkoku — sto pięćdziesiąt dni podróży — na gruchoście, który wymaga, aby pompować osiem godzin na dwadzieścia cztery; a do rejestrów okrętowych wciągnięto znów krótką notatkę: „*Judea*. Barka. Z Tyne do Bangkoku; węgiel; powróciła do Falmouth z przeciekami i załogą odmawiającą posłuszeństwa“.

— Potem nastąpiła znów zwłoka — latano w dalszym ciągu. Właściciel przyjechał na jeden dzień i orzekł, że statek jest bez zarzutu. Biedny stary kapitan Beard wyglądał jak duch wskutek tych wszystkich trosk i upokorzeń. Nie zapominajcie, że miał już sześćdziesiątkę i że to było pierwsze jego dowództwo. Mahon powiedział: „To głupi interes, który się źle skończy“. Kochałem statek więcej niż kiedykolwiek i strasznie mi się chciało dostać do Bangkoku. Bangkok! Czarodziejska nazwa, błogosławiona nazwa. Gdzie tam do niej Mezopotamii. Pamiętajcie, że miałem dwadzieścia lat, że jechałem pierwszy raz jako drugi oficer, że Wschód czekał na mnie.

— Wyszliśmy i stanęliśmy na kotwicy po zewnętrznej stronie portu ze świeżą załogą — trzecią z rządu. Statek przeciekał gorzej niż kiedykolwiek. Zdawało się, że ci przekłęci cieśle doprawdy zrobili w nim dziurę. Tym razem nie opuściliśmy nawet portu. Załoga odmówiła po prostu pracy przy windzie kotwicznej.

— Odholowano nas z powrotem do wewnętrznego portu i staliśmy się miejscową przynależnością, cechą, instytucją. Ludzie pokazywali nas przyjezdnym: „O, to ta barka, co ma jechać do Bangkoku — jest tu już od pół roku — trzy razy wracała z drogi“. W dni świąteczne mali chłopcy, kręcący się w łódkach, okrzykiwali nas: „Hej, hej, na *Judei!*“ — a gdy czyjaś głowa pojawiała się nad burta, wołali: „Dokąd jedziecie? do Bangkoku?“ i

drwili z nas. Byliśmy tylko we trzech na statku. Biedny stary kapitan gryzł się w kajucie. Mahon zajął się kuchnią i nadspodziewanie rozwinął talent iście francuski w przyrządzaniu doskonałych skromnych potraw. A ja zajmowałem się od niechcienia takielunkiem. Staliśmy się obywatelami Falmouth. Znał nas każdy sklepikarz. U golarza czy w składzie tytoniu zapytywano poufnie: „Czy pan myśli, że dojedziecie do Bangkoku?“ Tymczasem właściciel, akcjonariusze i dzierżawcy statku swarzyli się między sobą w Londynie, a pensje nam wciąż wypłacano.. Dajcie butelkę.

— To było okropne. Moralnie było gorzej niż wówczas, gdy pompowaliśmy, aby ująć z życiem. Zdawało się, że świat o nas zapomniał, że nie należymy do nikogo, że nie pojedziemy już nigdzie; zdawało się, że — niby czarowani — będziemy musieli żyć na wieki wieczne w tym wewnętrznym porcie — jako pośmiewisko, jako legenda dla całych pokoleń żeglarzy z wybrzeża i nieuczciwych przewoźników. Dostałem pensję za trzy miesiące, urlop pięciodniowy — i machnąłem się do Londynu. Podróż w jedną stronę zajęła mi dzień, powrót — drugi, ale tak czy siak, trzymiesięczna pensja poszła. Nie wiem, co z nią zrobiłem. Byłem, zdaje się, w music-hallu, jadłem śniadania, obiady i kolacje w szykownej restauracji na Regent Street i wróciłem na oznaczony czas, mając do pokazania — jako owoc trzymiesięcznej pracy — komplet dzieł Byrona i nowy pled podróżny. Przewoźnik, który wiozł mię na statek, rzekł: „No, no! myślałem, że pan już rzucił ten stary grat. *Ona* nigdy nie dojedzie do Bangkoku“. „Powiedział, co wiedział“ — odparłem pogardliwie — ale wcale mi się to proroctwo nie podobało.

— Nagle zjawił się jakiś osobnik — coś w rodzaju czyjegoś agenta — wyposażony w zupełne pełnomocnictwa. Miał twarz pokrytą wyrzutami od picia grogu, nieposkromioną energią, wesoły był i dobroduszny. Zbudziłem się znów do życia. Podjechał do nas hulk i zabrał ładunek, po czym przenieśliśmy się do suchego doku, gdzie mieli zdjąć miedziane poszycie z dna statku. Nie dziwota, że okręt przeciekał. Udręczony przez burzę do

ostatecznych granic wytrzymałości, wypuł nieborak — wieści; a czyż przyjaciel świeciłby wam w oczy waszymi jakby ze wstrętu — wszystkie pakuły ze swoich niższych atami i waszym znużeniem? Nie szemraliśmy na *Judeę*. szwów. Zapchano na nowo szpary, obito kadłub miedzią. Przynajmniej jeśli chodzi o nas, tych z rufy — zdawało — okręt stał się szczelnym jak butelka. Podjechaliśmy do się nam, żeśmy się na niej urodzili, wychowali, żeśmy hulka i przeladowaliśmy znów towar.

— Wówczas — pewnej pięknej księżycowej nocy — żyli na niej przez całe wieki, nie znając nigdy żadnego wszystkie szcjury opuściły okręt. — innego statku. Byłbym mógł równie dobrze zwymyślać w kraju stary wiejski kościółek za to, że nie jest katedrą.

— Wydręczyły nas niemożliwie. Zniszczyły nam A ja miałem za sobą jeszcze i młodość, która dodawała mi cierpliwości. Cały Wschód był przede mną, i zagle, pochłonęły więcej żywności niż załoga, uprzejmie całe życie, i myśl, że na tym statku zostałem poddany dzieliły z nami łózka i niebezpieczeństwa, a teraz, gdy próbie i wcale dobrze z niej wyszedłem. Myślałem także okręt nadawał się znów do podróży, postanowiły się wy o ludziach, którzy przed wiekami dążyli tym samym szla- nieść. Zawołałem Mahona, aby się cieszył tym widokiem. kiem — na okrętach nie lepiej żeglujących — do kraju Szczur za szczurem zjawiał się na naszym nadburciu, o palm i korzeni, i żółtych piasków, i brunatnych ludów, oglądał się po raz ostatni i skakał z głuchym łoskotem w rządzonych przez królów okrutniejszych od rzymskiego pusty kadłub hulka. Usiłowaliśmy je policzyć, ale wkrót- Nerona — i wspanialszych niż żydowski Salomon. Stara ce straciliśmy rachubę. Mahon rzekł: „No, no! Nie mów- barka wlokła się, ociążała od wieku i brzemienia swego ładunku, ja zaś żyłem życiem młodości, nieświadom nic- cie mi o inteligencji szczurów. Powinny były opuścić nas czego i pełen nadziei. Statek sunął powoli przez nieskoń- przedtem, kiedyśmy o włos nie zatonęli. Ma pan tu do- czoną procesję dni; a świeża pożyta odbijała zachodzące wód, jaki niemądry jest przesąd co do szczurów. Porzu- słońce i zdawała się rzucać nad ciemniejące morze słowa cając dobry statek dla starego, zbutwiałego pudła, gdzie wymalowane na rufie: „*Judea*. Londyn. Czyń lub giń“.

Nie wierzę, aby wiedziały, co dla nich jest dobre lub złe, lepiej od pana albo ode mnie.“

— Wyjechaliśmy na Ocean Indyjski, sterując na północ ku Jawajskiemu Przylądkowi. Wiatry były słabe. Mijały tygodnie. *Judea* pełzła naprzód — „czyń lub giń“ — a ludzie w kraju zaczęli nas uważać za opóźnionych.

— I, porozmawiawszy czas jakiś, zgodziliśmy się na to, że mądrość szczurów grubo jest przeceniona, gdyż w gruncie rzeczy nie przewyższa ludzkiej mądrości.

— Raz w sobotę wieczorem nie miałem służby i Historia statku była już wówczas znana wzdłuż ludzie poprosili, abym im wydał nadetatowy kubek wody kanału — w górę od Lands End aż do Forelands, i nie mogliśmy dostać załogi na południowym wybrzeżu. Przy- — do prania. Ponieważ nie chciałem pompować słodkiej słaano nam całą, skompletowaną, z Liverpoolu i wyruszy- wody tak późno, poszedłem, pogwizdując, na bak z klu- liśmy jeszcze raz — do Bangkoku.

— Mielśmy pomyslnie wiatry i gładkie morze aż do czem w rękę, aby otworzyć małą przednią lukę, gdyż zamierzałem wydać wodę z zapasowego zbiornika, któ- zwrotników, a stara *Judea* sunęła ociążała w słońcu. Gdy ryśmy tam trzymali.

Zapach w dole był równie nieoczekiwany jak okrop- ny. Można było pomyśleć, że setki lamp naftowych pałą się i kopcą w tej dziurze całymi dniami. Byłem rad, kie- dym się stamtąd wydostał. Majtek, który był ze mną, zakaszlał i rzekł: „Dziwny zapach, proszę pana“. Odpo- wiedziałem niedbale: „To podobno dobrze robi na zdro-

wie“ — i poszedłem w stronę rufy.

Przed wszystkim wetknąłem głowę w kwadratowy otwór wentylatora na śródookręciu. Gdy podnosiłem wieko, powiew widzialny dla oka, coś jakby wątpa mgła, kłęb leciutkiego oparu podniósł się nad otworem. Wznoszące się powietrze było rozgrzane, duszne, czuć je było kopciem i naftą. Pociągnąłem raz nosem i zamknąłem delikatnie pokrywę. Nie warto było się dusić. Ładunek się palił.

— Nazajutrz okręt zaczął już dymić na dobre. Wiedzicie, należało się tego spodziewać, bo choć węgiel był w dobrym gatunku, przesypywano go tyle razy i tak go przy tym pokruszono, że wyglądał po prostu jak węgiel do kuźni. A przy tym zmókł — i to nieraz. Padało przez cały czas, gdyśmy go przeladowywali z hulka, teraz zaś rozgrzał się podczas tego długiego przejazdu — i oto zaszedł wypadek samorodnego ognia.

— Kapitan wezwał nas do kajuty. Wyglądał na zgnębionego; na stole rozłożona była mapa. Rzekł: „Wybrzeże zachodniej Australii jest blisko, ale zamierzam zdążyć w dalszym ciągu do wyznaczonego nam portu. Mamy teraz w dodatku miesiąc huraganów; zachowamy jednak kierunek na Bangkok i będziemy walczyli z ogniem. Żadnego wracania się już nie będzie, choćbyśmy się mieli upiec. Spróbujemy najpierw zdusić ten przeklęty pożar przez brak powietrza“.

— Spróbowaliśmy. Pozatykaliśmy wszystkie szpary, a jednak wciąż dymiło. Dym wydobywał się przez nieostrzegalne szczeliny, przeciskał się przez grodzie i pokrywę, wypływał i tu, i tam, i wszędzie, cienkimi nitkami, niewidzialną mgłą, w niepojęty sposób. Przedostał się do kajuty, do kasztelu; pozatruwał osłonięte miejsca na pokładzie, czuło się go aż na głównej rei środkowego masztu. Jasnym było, że jeśli dym wychodził, to powietrze wchodziło. Działo to na nas zniechęcająco. Ten pożar nie dawał się zdusić.

— Postanowiliśmy uciec się do wody i zdjęliśmy z luk pokrywę. Olbrzymie masy dymu, białawe, żółtawe, gęste, tłuste, mgliste, duszące, wzniosły się aż na wyso-

kość masztów. Wszyscy ludzie wycofali się na rufę. Zatruta chmura odpłynęła i wróciliśmy do pracy wśród dymu, który już nie był gęściejszy od zwykłego dymu z fabrycznego komina.

— Przygotowaliśmy pompę tłoczącą i wydobyliśmy gumową kiszkę, która pękła wkrótce. Była równie stara jak statek — po prostu przedhistoryczna kiszka nie nadająca się już do naprawy. Wprawiliśmy w ruch słabą pompę dziobową, czerpiąc przy tym wodę wiadrami i tym sposobem zdołaliśmy wkrótce wlać do głównej luki całe masy Indyjskiego Oceanu. Jasny strumień błyszczał w słońcu, wpadał w cienką warstwę białego, czołgającego się dymu i znikał na czarnej powierzchni węgla. Podnosiła się para zmieszana z dymem. Leliśmy słońca wodę jak w beczkę bez dna. Pompowanie było naszym losem na tym okręcie, wylewanie z niego wody i wlewanie jej z powrotem; usunąwszy ze statku wodę, aby ocalić się od zatonięcia, leliśmy w niego wodę jak najęci, aby się ocalić od spalenia.

— A *Judea* pęzła naprzód — „czyń lub giń“ — wśród pięknej pogody. Niebo było cudem czystości, lazurowym cudem. Morze było gładkie, było błękitne, było przejrzyste, było wyiskrzone, jak drogocenny kamień otaczający nas na wszystkie strony aż do widnokregu — jakby cały glob ziemski był jednym klejnotem, jednym, olbrzymim szafirem — drogim kamieniem przetworzonym w planetę. A po blasku wielkich, spokojnych wód sunęła nieznacznie *Judea*, spowita w leniwe i nieczyste opary, w ociężałą chmurę spływającą ku stronie podwietrznej — jasną i powolną; w cuchnącą chmurę, która kalała wspaniałość morza i niebios.

— Przez cały czas, oczywiście, nie widzieliśmy wcale ognia. Ładunek tlił się gdzieś od spodu. Raz, gdyśmy pracowali ramie w ramie, Mahon rzekł do mnie ze szczególnym uśmiechem: „No, gdyby tak teraz zrobiła się porządna szpara w kadłubie — jak wtedy gdyśmy pierwszy raz wypłynęli z kanału — to by zaszpurowała ten ogień. Prawda?“ Zauważyłem bez związku: „Pamięta pan szczury?“

— Walczyliśmy z ogniem, a zarazem pełniliśmy służbę na statku tak starannie, jakby wszystko było w porządku. Steward gotował i obsługiwał nas. Z pozostałych dwunastu ludzi ośmiu pracowało, podczas gdy czterej wypoczywali. Na każdego przychodziła kolej nie wyłączając kapitana. Równość była zupełna, a jeśli nie dosłowne braterstwo, to w każdym razie wiele wzajemnej życzliwości. Czasem który z majtków, śmignąwszy wiadro wody w lukę, wykrzykiwał: „Niech żyje Bangkok!“ — a reszta się śmiała. Ale na ogół byliśmy milczący i poważni — i spragnieni. Ach, jacy spragnieni! A z wodą trzeba było się obchodzić ostrożnie. Wydzielano ściśle porcje. Statek dymił, słońce jaśniało... Dajcie butelkę.

— Próbowaliśmy wszystkiego. Usiłowaliśmy nawet dokopać się do ognia. Oczywiście było to na nic. Nikt nie mógł wytrzymać w dole więcej niż minutę. Mahon zeskoczył pierwszy i zemdlął tam; to samo stało się z majtkiem, który się spuścił po niego. Wyciągnęliśmy ich na pokład. Potem znów ja zeskoczyłem, aby pokazać, jak to się łatwo da zrobić. Mieli już wówczas doświadczenie i poprzestali na tym, że wyłowili mnie za pomocą haka na łańcuchu, przymocowanym, zdaje się, do kija od szczotki. Nie zaproponowałem, że wrócę po szufłę, którą zostawiłem tam w dole.

— Zaczęło to brzydko wyglądać. Spuściliśmy na morze szalupę. Druga łódź była gotowa do spuszczenia. Mieliśmy też jeszcze jedną, czternastostopową łódkę wiszącą na żurawikach z tyłu, gdzie była zupełnie bezpieczna.

— I oto — wyobraźcie sobie — dym zaczął się nagle zmniejszać. Podwoiliśmy wysiłki, aby zalać całe dno okrętu. Po dwóch dniach wcale już dymu nie było. Każdy z nas uśmiechał się od ucha do ucha. To było w piątek. W sobotę nie mieliśmy już żadnej pracy, oczywiście poza obsługą statku. Ludzie uprali sobie ubrania, umyli twarze pierwszy raz od dwóch tygodni i dostali specjalny obiad. Mówili z pogardą o samorodnym ogniu, dając do zrozumienia, że kto jak kto, ale oni to już umieją dać sobie z tym radę. Czuliśmy się tak, jakby każdy z nas odziedzi-

czył duży majątek. Ale paskudny zapach spalenizny wałęsał się wciąż po okręcie. Kapitan Beard miał wpadnięte oczy i zakłęśle policzki. Nigdy przedtem nie zauważyłem, jaki jest koślawy i pochylony. Obaj z Mahonem krążyli spokojnie — węsząc — u luk i wentylatorów. Uderzyło mnie nagle, że biedny Mahon jest bardzo, bardzo starym jego mościem. Co do mnie, byłem taki uradowany i dumny, jakbym był pomógł do wygrania wielkiej morskiej bitwy. O młodości!

— Noc była piękna. Rano minął nas za rufą statek dążący do kraju — pierwszy, jaki widzieliśmy od miesiący; ale zbliżaliśmy się już na koniec do lądu, Przylądek Jawajski był oddalony o jakieś sto dziewięćdziesiąt mil prawie w prostej linii na północ.

— Nazajutrz wypadała mi od ósmej do dwunastej wachta na pokładzie. Przy śniadaniu kapitan zauważył: „To dziwne, jak ten zapach wciąż się trzyma kajuty“. Około dziesiątej, gdy pierwszy oficer był na tylnym pomoście, zeszedłem na chwilę na główny pokład. Za głównym masztem stał warsztat ciesielski; oparłem się o niego, pykając fajkę, a cieśla, młody chłopak, zbliżył się, aby ze mną pogawędzić. Zagadnął: „Tak mi się widzi, że sprawiliśmy się bardzo porządnie, no nie?“ — i w tej samej chwili spostrzegłem z rozdrażnieniem, że ten balwan usiłuje przechylić warsztat. Rzekłem sucho: „Przestań, Chips“ i natychmiast zdałem sobie sprawę z dziwaczного uczucia, z idiotycznego złudzenia — wydało mi się mianowicie, że jestem w powietrzu. Naokoło siebie słyszałem jakby jakiś potężny, długo powstrzymywany oddech — jakby z tysiąc olbrzymów rzekło jednocześnie: „Phuu“ — i poczułem tępe wstrząśnienie, od którego zaboląły mię nagle żebra. Nie ulegało wątpliwości — znajdowałem się w powietrzu; ciało moje zakreślało krótką parabolę. Ale choć była krótka, zdążyłem sformułować przez ten czas kilka myśli i o ile pamiętam, w następującym porządku: „Tego nie zrobił cieśla — Co to takiego? — Jakiś wypadek — Wulkan podwodny? — Węgle, gaz! Boże wielki! wylatujemy w powietrze — Wszyscy zginęli — wpadam do tylnej luki — widzę, że się tam pali“.

— Pył węglowy, zawieszony w powietrzu ładowni, zapalał ciemną czerwienią w chwili wybuchu. W mgnieniu oka, po upływie minimalnej części sekundy od pierwszego przechylenia się warsztatu, leżałem jak długi na ładunku. Podniosłem się i wygramoliłem. Stało się to szybko, jak gdybym się odbił. Pokład był gąszczem strzaskanych drewn, krzyżujących się jak drzewa w lesie po przejściu huraganu; olbrzymia zasłona z ciężkich łachmanów powiewała zwolna przede mną — główny żagiel poszarpany na strzępy. Pomyślałem: „Maszty runą natychmiast“ — i aby usunąć się na bok, popędziłem na czworakach ku trapowi na rufie. Pierwszą osobą, którą zobaczyłem, był Mahon z oczyma jak spodki i otwartymi ustami; długie białe włosy stały wokoło jego głowy jak srebrna aureola. Miał właśnie zejść na dół, gdy skamieniał u szczytu schodów na widok głównego pokładu, który się poruszył, podniósł i zmienił w drzazgi w jego oczach. Gapiłem się na Mahona nie wierząc własnym oczom, a on patrzył we mnie z jakąś dziwną, zgorzsną ciekawością. Nie wiedziałem, że nie mam włosów, brwi, rzęs, że moje młodociane wąsiki są spalone, twarz czarna, policzek rozcięty, nos skałeczony i broda we krwi. Zgubiłem czapkę, jeden trzewik, a koszulę miałem poszarpaną na łachmany. O tym wszystkim nie miałem pojęcia. Byłem zdumiony, że statek trzyma się jeszcze na wodzie, że tylny pomost jest cały — a najbardziej mię zdumiewał widok kogoś żywego. Spokój nieba i pogodne morze dziwiły mnie też niezmiernie. Widocznie się spodziewałem, że będą się wić ze zgrozy... Dajcie butelkę.

— Jakiś głos obwoływał skądś statek — z powietrza, z nieba — nie umiałem zdać sobie sprawy. Wkrótce zobaczyłem kapitana — a kapitan miał bzika. Zapytał mnie skwapliwie: „Gdzie jest stół z kajuty?“ To pytanie wstrząsnęło mną strasznie. Zrozumcie, dopiero co wyleciałem w powietrze i dygotałem po tym przeżyciu — nie byłem zupełnie pewien, czy żyję. Mahon zaczął tupać obiema nogami i wrzasnął do kapitana: „Boże święty, czy pan nie widzi, że pokład wyleciał w powietrze?“ Otrzymałem głos i wyjąkałem, jakbym się poczuwał do zanied-

bania jakiegoś ważnego obowiązku: „Nie wiem, gdzie jest stół z kajuty“. To wszystko było jak jakiś idiotyczny sen.

— Czy wiecie, czego potem zażądał? Zażądał, żeby zbrasować reje. Z wielkim spokojem, jakby był zatopiony w myślach, nalegał, aby obrócić przednią reję na trawers. „Ja nie wiem, czy kto jeszcze żyje“ — rzekł Mahon prawie z płaczem. „Z pewnością zostało ich dość“, odpowiedział kapitan łagodnie — „żeby obrócić przednią reję na trawers“.

— W chwili wybuchu starszek był, jak się zdaje, w swojej kabine i nakręcał właśnie chronometry, gdy się zatoczył od wstrząsu. Natychmiast przyszło mu na myśl — jak później opowiadał — iż barka o coś uderzyła — i wybiegł do kajuty. Tam spostrzegł, że stół gdzieś zniknął. Gdy pokład wyleciał w powietrze, stół spadł oczywiście do magazynu. Na miejscu gdzie tego dnia rano jedliśmy śniadanie, kapitan zobaczył tylko wielką dziurę w podłodze. To mu się wydało tak strasznie tajemniczym i zrobiło na nim tak olbrzymie wrażenie, że wszystko co widział i słyszał, wydostawszy się na pokład, było już dla niego drobnostką. A pomyślcie, że spostrzegł natychmiast porzucone koło od steru, spostrzegł, że barka zboczyła z drogi — i jedyną jego myśl stanowiło skierować tę nędzną, obdartą, pozbawioną pokładu, tlejącą łupinę dziobem ku wyznaczonemu portowi. Bangkok! szło mu tylko o to. Mówię wam, że ten spokojny, pochylony, prawie ułomny człowiek o pałakowatych nogach był olbrzymem w prostocie swego zamysłu, w spokojnej niewiedzy o naszym wzburzeniu. Skierował nas ku przodowi rozkazującym gestem i poszedł sam ująć koło.

— Tak, to była pierwsza rzecz, którą zrobiliśmy — zbrasowaliśmy reje na tym wraku! Nikt nie zginął ani nie stał się niezdolny do pracy, ale każdy z nas był ciężiej lub lżej ranny. Trzeba wam było ich widzieć! Niektórzy byli w łachmanach, z czarnymi twarzami — jak węglarze, jak kominiarze — a głowy ich, gładkie jak kule, wyglądały niby krótko ostrzyżone, ale w rzeczywistości osmalone były do skóry. Inni, ci z dolnej wachty, którzy podczas snu zostali wysadzeni z zapadających się koj, trzęśli się bez

ustanku i jęczeli, nawet krzając się przy pracy. Ale pracowali wszyscy. Ta liverpoolska załoga, załoga od ciężkich wypadków, miała w sobie odpowiedni materiał. Wiem z doświadczenia, że marynarze mają go zawsze. To morze go daje — obszar, samotność otaczająca ciemne, tępe dusze. No, więc — potykaliśmy się, czołgali, padali, zdzieraliśmy sobie skórę o te szczątki — i zmieniliśmy kurs statku w kierunku wiatru. Maszty stały, ale nie wiedzieliśmy, na ile są zwęglone od dołu. Było prawie zupełnie spokojnie, lecz długa fala nadbiegła od zachodu i rozkołysała statek. Maszty mogły runąć lada chwila. Popatrywaliśmy na nie z lękiem. Nie podobna było przewidzieć, w którą stronę upadną.

— Potem cofnęliśmy się na rufę i rozejrzeliśmy się. Pokład był płataniną desek leżących bokiem i stojących na sztorc, szczap, zdruzgotanych sprzętów z drzewa. Maszty wznosiły się z tego chaosu jak wielkie drzewa nad skłębionym poszyciem lasu. Puste miejsca wśród masy szczątków były wypełnione czymś białawym, poruszającym się ślimaczo, podobnym do tłustej mgły. Dym z niewidzialnego ognia znów się pokazał, siał się jak trujący, gęsty opar w jakiejś dolinie zawalonej martwymi drewnami. Ospale kosmyki zaczynały się już kłębić ku górze wśród masy szczap. Gdzieś kawał drewna tkwił prostopadle, podobny do słupa. Pół kołkownicy przymasztowej przebito przedni żagiel, a niebo kładło plamę wspaniałego błękitu na ohydne, zszargane płótno. Kilka desek, trzymających się razem, upadło w poprzek poręczy i jedna deska wystawała za burtę niby kładka nie prowadząca nigdzie, niby kładka prowadząca nad głębokie morze, prowadząca w śmierć — jakby nas zapraszała, aby wejść na nią od razu i skończyć z naszymi śmiesznymi troskami. A powietrze, niebo — duch jakiś, coś niewidzialnego — obwoływało wciąż okręt.

— Któryś z nas był na tyle rozsądny, że spojrzał za burtę — i okazało się, iż tam jest sternik, który skoczył instynktownie w morze, a teraz chciał się dostać z powrotem. Krzyczał i płynął gwałtownie jak tryton, trzymając się na jednej linii z okrętem. Rzuciliśmy mu linę; stanął

wkrótce między nami, ociekający wodą i wielce zgnębiony. Kapitan oddał mu koło i usunął się na bok; z łokciem wspartym o poręcz i brodą w dłoni patrzył zamyślony na morze. Pytaliśmy się siebie: co teraz będzie? A ja myślałem: No, to jest coś porządnego. To doprawdy jest wielkie. Ciekawym, co się też stanie... O młodości!

— Nagle Mahon dojrzał parowiec daleko za rufą. Kapitan Beard rzekł: „Możemy jeszcze coś z nim zrobić“. Wywiesiliśmy dwie flagi, które znaczą w międzynarodowym morskim języku: „Pożar. Potrzebna natychmiastowa pomoc“. Parowiec powiększył się szybko i wkrótce przemówił dwiema flagami na przednim maszcie: „Idę na ratunek“.

— W pół godziny znalazł się na jednej linii z nami po stronie nawietrznej, na odległość głosu, kołysząc się z lekka z zatrzymanymi maszynami. Straciliśmy panowanie nad sobą i wrzasnęliśmy wszyscy razem w podnieceniu: „Wysadziło nas w powietrze!“ Jakiś człowiek w białym hełmie, stojący na mostku, odrzyknął: „Aha! Dobrze, dobrze!“ — i kiwał głową, i uśmiechał się, i machał ku nam ręką łagodnie, jakbyśmy byli gromadą przerażonych dzieci. Jedna z łodzi opadła na wodę i szła ku nam po morzu długimi wiosłami. Czterej kalasze wiosłowali, rozkołysani miarowo. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy malarjskich żeglarzy. Poznałem ich później dobrze, ale wówczas uderzyła mnie ich obojętność: podjechali tuż pod burtę i nawet dziobowy, trzymający się bosakiem naszych cum, nie raczył podnieść głowy i spojrzeć w górę. Pomyślałem, że ludzie, którzy wylecieli w powietrze, zasługują na więcej uwagi.

— Mały człowieczek, suchy jak wiór i zreżny jak małpa, wspiał się na górę. Był to pierwszy oficer z parowca. Rzucił okiem i zawołał: „Oj, chłopcy — opuśćcie wy lepiej okręt“.

— Milczeliśmy. Rozmawiał z kapitanem czas jakiś na osobności — zdawał się coś mu przekładać. Potem pojechali razem na parowiec.

— Kiedy nasz szyper wrócił, dowiedzieliśmy się, że parowiec nazywa się *Somerville*, a kapitan Nash i że wio-

zają poczętę z zachodniej Australii do Singapuru przez Batawję. Kapitan zgodził się holować nas do Andżeru albo Batawii — jeśli to będzie możliwe — gdzie ugasimy ogień, zrobiwszy dziurę w dnie statku, po czym puścimy się znowu w drogę — do Bangkoku! Nasz stary wyglądał na podnieconego. „Jeszcze tam zajedziemy“ — rzekł z zawziętością do Mahona. Pogroził pięścią niebu. Nikt się już nie odezwał.

— O dwunastej parowiec zaczął nas holować. Jechał naprzód, smukły i wysoki, a to co pozostało z *Judei* dążyło za nim szybko na końcu siedemdziesięciosążniowej liny holowniczej, jak obłok dymu ze sterczącymi w górę masztami. Wspięliśmy się na maszty, aby zwinąć żagle. Kaszłaliśmy na rejach, układając starannie buchty. Czy sobie wyobrażacie tę naszą gromadkę tam w górze, zwijając porządnie żagle okrętu, któremu było sądzone nigdzie już nie dojechać? Nie znalazł się między nami ani jeden, który by nie pomyślał, że maszty runą lada chwila. Dym nie pozwalał nam dojrzeć z góry pokładu, a ludzie pracowali starannie, okręcając sejzyngi w równych odstępach.

— „Zwijać mi żagle po portowemu — tam w górze!“ — krzyknął z dołu Mahon.

— Czy wy to rozumiecie? Nie zdaje mi się, aby którykolwiek z tych chłopców sądził, że się dostanie na dół zwyczajnym sposobem. Kiedyśmy zeszli, słyszałem, jak mówili między sobą: „No, byłem pewien, że się zwalimy za burtę — wszystko w kupie — i patyki, i my — żebyśmy skisli, jeśli tak nie myślał“. „A jakże, i ja też tak myślałem“ — odrzekło znużonym głosem inne poharatane i obandażowane czupiradło. I pomyślcie — przecie ci ludzie nie mieli za sobą karności wdrożonej przez musztrę. Dla postronnego widza wyglądałoby jak zbiorowisko skończonych urwipółciów, nie mających żadnej jaśniejszej strony. Co ich skłoniło do wykonania tego rozkazu, co sprawiło, że byli mi posłuszni, gdy — myśląc z całą świadomością, jakie to piękne — kazałem im dwa razy opuścić bant przedniego żagla i lepiej go złożyć? Co tu wchodziło w grę? Ci majtkowie nie mieli zawodowej ambicji ani wzo-

row, nie oczekiwali pochwał. Nie przemawiało przez nich poczucie obowiązku; wszyscy umieli się doskonale wymawiać, wykręcać i wałkonić — kiedy mieli ochotę — a przeważnie ją mieli. Czy odgrywały tu rolę te dwa funty dziesięć szylingów na miesiąc? Uważali, że powinni mieć przynajmniej dwa razy tyle. Nie; przyczyną ich zachowania było coś, co tkwiło w nich samych, co jest wrodzone, i subtelne, i wieczne. Nie twierdzę stanowczo, że żałoga francuskiego lub niemieckiego okrętu nie byłaby mogła tego zrobić, ale wątpię, czy zrobiłaby to w ten sposób. Była w tym jakaś skończoność, coś co równie jest mocne jak zasada i równie potężne jak instynkt — ujawnienie czegoś tajnego, ukrytego — tego daru dobra czy zła, który stanowi o rasie, który kształtuje los narodów.

— Właśnie tej nocy o dziesiątej ujrzelśmy po raz pierwszy ogień, któryśmy zwalczali. Znaczna szybkość, jaką rozwinął statek podczas holowania, rozdmuchała tlejące zarzewie. Niebieskie światło ukazało się na przodzie, błyszcząc pod wrakiem pokładu. Chwiało się płatami, zdawało się poruszać i pełzać jak światło świętojańskiego robaczka. Spozrzegłem je pierwszy i powiedziałem o tym Mahonowi. „No, to już wszystko skończone“, rzekł. „Dajmy lepiej pokój temu holowaniu, bo inaczej statek wybuchnie nagle z tyłu i z przodu, zanim zdążymy uciec“. Okrzyknęliśmy się głośno; zaczęliśmy dzwonić, aby zwrócić uwagę ludzi z parowca; nic z tego, holowali nas w dalszym ciągu. Wreszcie Mahon i ja musieliśmy popęznąć na bak i przeciąć linę toporem. Nie było czasu na odwiązywanie postronków. Pokazywały się już czerwone języki, liżące gąszcz szczap pod naszymi nogami, gdyśmy wracali na rufę.

Oczywiście na parowcu spostrzeżono prędko, że lina znikła. Rozległ się głośny gwizd, światła parowca zatoczyły rozległe półkole, statek zbliżył się do nas i zatrzymał burta w burtę. Staliśmy wszyscy zbitą gromadką na rufie i patrzyliśmy na niego. Każdy majtek wyratował niewielkie zawiniątko lub torbę. Nagle stożkowy płomień o skręconym czubie strzelił w górę nad bakiem i rzucił na czarne morze krąg światła naokoło tych dwóch

statków, kołyszących się z lekka obok siebie. Kapitan Beard siedział od wielu godzin na okrętowaniu, milczący i nieruchomy; teraz dźwignął się powoli i wysunął na czoło naszej gromadki aż do want masztu tylnego. Kapitan Nash zawołał:

— „Chodźcie do nas! Spieście się. Mam na statku worki z pocztą. Zabiorę was i wasze łodzie do Singapuru“.

— „Nie, dziękuję panu — rzekł nasz szyper. — Musimy dotrzeć aż do końca“.

— „Nie mogę zostać z wami ani chwili dłużej — krzyknął tamten. Poczta — pan rozumie“.

— „Tak, naturalnie. Nic nam nie trzeba“.

— „Doskonale! Doniosę o was w Singapurze... Do widzenia!“

Skinął ręką na pożegnanie. Nasi ludzie położyli spokojnie węzłki. Parowiec posunął się naprzód i, wyszedłszy z kręgu światła, znikł natychmiast z naszych oczu, olśnionych przez ogień palący się gwałtownie. I wówczas już wiedziałem, że ujrzę Wschód po raz pierwszy jako dowódca małej łódki. Wydało mi się to pięknym i wietną dla starego statku była też piękna. Obowiązek wymagał, aby dotrzeć na nim do końca. O blasku młodości! O młodzieńcy ogniu, który olśniewasz bardziej niż płomień palącego się statku i rzucasz czarodziejską jasność na szeroką ziemię, i skaczesz zuchwale w niebo — póki wnet ciebie nie stłumi czas, bardziej okrutny i bezlitosny, bardziej gorzki niż morze — młody ogień, jak płomień palącego się statku otoczony nieprzeniknioną nocą.

* * *

Stary upominał nas w swój łagodny i nieugięty sposób, że obowiązek wymaga, aby ocalić ze sprzętów okrętowych, ile tylko się da — dla akcjonariuszów. Tedy poszliśmy pracować na rufę, a okręt palił się od przodu, aby dostarczyć nam światła pod dostatkiem. Powyciągaliśmy mnóstwo rupieci. Czego tam nie było! Stary barometr przymocowany idiotyczną ilością śrubek, kosztował mi prawie życie: dym ogarnął mnie nagle i ledwie zdążyłem uciec. Były tam różne zapasy, bale żaglowego płótna, zwoje lin: rufa wyglądała jak jaki bazar morski, a łódki

były zapchane aż po burty. Mogło się zdawać, że stary chciał zabrać, ile tylko się dało, ze swego pierwszego dowództwa. Był bardzo, bardzo spokojny, tylko najwidoczniej stracił równowagę. Czy uwierzycie? Chciał zabrać do szalupy kawał łańcucha od zapasowej kotwicy i kotwicę zawozową. Odpowiadaliśmy z szacunkiem: „Dobrze, dobrze, panie kapitanie“ — i po cichu spuszczałyśmy różne przedmioty za burtę. Ciężka skrzynia z lekarstwami poszła tą drogą, dwa worki zielonej kawy, puszki z farbą — wyobraźcie sobie, puszki z farbą! — całe mnóstwo rzeczy. Potem dostałem rozkaz, aby z dwoma ludźmi wsiąść do łodzi, wszystko uporządkować i trzymać się w pogotowiu, czekając na chwilę, gdy trzeba będzie statek opuścić.

Doprowadziliśmy wszystko do ładu, ustawiliśmy w szalupie maszt naszego szypra, który miał objąć nad nią komendę, i z przyjemnością usiadłem sobie na chwilę. Nie miałem naskórka na twarzy, członki bolały mię jak połamane, czułem wszystkie żebra, i byłbym przysięgł, że mam przetrącony krzyż. Łódki, tuż za rufą, leżały w głębokim cieniu, a naokoło widziałem krąg morza oświetlony przez ogień. Olbrzymi płomień wznosił się nad bakiem, prosty i jasny. Płonął gwałtownie wśród szmerów podobnych do trzepotu skrzydeł, wśród dudnienia, podobnego do grzmotów. Rozlegały się trzaski, huki, ze stożkowego ognia leciały w górę iskry — jako że człowiek rodzi się dla trosk, dla borykania się z ciekącymi statkami i ze statkami, które się palą.

— Okręt leżał bokiem do fali i do wiatru — który ledwie, ledwie że dmuchał — a najwięcej niepokoiło mnie to, że łódki nie chciały się trzymać za rufą, gdzie były bezpieczne, ale z bezmyślnym uporem, właściwym łódkom, pchały się pod konchę, aby się potem kołysać wzdłuż burty. Płatały się niebezpiecznie to tu, to tam, zbliżając się do ognia, a okręt najeżdżał na nie i oczywiście groziło wciąż, że maszty zwałą się lada chwila za burtę. Ja i dwóch moich majtków odpychaliśmy łódki w miarę sił wiosłami i bosakami, ale zaczęło mnie to wreszcie złościć, tym bardziej że nic nie stało na przeszkodzie natych-

miastowemu odjazdowi. Nie mogliśmy dojrzeć ludzi na pokładzie ani odgadnąć, co było przyczyną zwłoki. Majtkowie kleli pod nosem, a ja nie tylko musiałem odrabiać swoją część pracy, ale i przynaglać do niej dwóch ludzi, którzy zdradzali nieustanną skłonność do położenia się i machnięcia ręką na wszystko.

— Wreszcie zawołałem: „Hej tam na pokładzie!“ Ktoś wyrzwał zza burty. „Jesteśmy gotowi“ — rzekłem. Głowa znikła i bardzo prędko wysunęła się znowu. „Pan kapitan mówi, że to bardzo dobrze i żeby trzymać łódki z daleka od statku“.

— Minęło pół godziny. Nagle rozległ się straszny hałas, grzechot, brzęk łańcuchów, syk wody i miliony iskier wleciały w chybliwą kolumnę dymu, która stała z lekka pochyłona nad okrętem. Żurawiki kotwiczne spłonęły i dwie rozpalone do czerwoności kotwice poszły na dno wyszarpując za sobą dwieście sążni rozpalonego do czerwoności łańcucha. Okręt zadrżał, masa płomieni zakolysała się, jakby miała się zapaść i szczyt masztu przedniego runął. Poleciał w dół jak ognista strzała, zanurzył się w wodzie i wyskoczywszy natychmiast na powierzchnię o długość wiosła od łódek, płynął spokojnie, bardzo czarny na jaśniejącym morzu. Okrzyknąłem znów pokład. Po pewnym czasie jeden z ludzi na statku oznajmił mi nadspodziewanie wesółym a zarazem stłumionym głosem, jakby usiłował mówić z zamkniętymi ustami: „Zaraz zejdziemy, panie poruczniku“ — po czym znikł. Przez długi czas nie dochodziło nic do moich uszu prócz łopotu i huku ognia. Słychać było także poświsty. Łodzie podskakiwały, targając linami, wjeżdżały na siebie żartobliwie, zderzały się bokiem lub, wbrew wszystkim naszym wysiłkom, kołysały się gromadką pod burta okrętu. Nie mogłem już dłużej tego wytrzymać i wdrapawszy się po linie, dostałem się na rufę.

— Było jasno jak w dzień. Wszedłem na pokład; ściana ognia naprzeciw mnie wydała mi się czymś przerażającym, a gorąco z początku było prawie nie do zniesienia. Na poduszce przywleczonej z kanapy w kajucie spał kapitan Beard ze skulonymi nogami, podłożywszy

ramię pod głowę, a światło igrało po nim. Czy wiecie, czym reszta ludzi była zajęta? Siedzieli na pokładzie na samej rufie, wkoło otwartej paki, i jedli chleb z serem, popijając porter z butelek.

— Na tle płomieni, wijących się we wściekłych językach nad głowami, zdawali się czuć u siebie jak salamandry i wyglądali na bandę desperackich korsarzy. Ogień iskrzył się w białkach ich oczu, połyskiwał na płatkach białej skóry wyglądającej przez podarte koszule. Każdy miał na sobie ślady jak gdyby bitwy — głowy były obandażowane, ramiona podwiązane, kolana obwiniete w brudne szmaty — i każdy trzymał między nogami butelkę, a w garści pajdę sera. Mahon podniósł się. Ze swą piękną, awanturniczą głową, profilem o garbatym nosie, długą, białą brodą i odkorkowaną butelką w rękę, podobny był do jakiegoś zuchwałego korsarza z dawnych czasów, weselącego się wśród gwałtów i zniszczenia. „Ostatni posiłek na pokładzie“, wyjaśnił uroczyście. „Nie mieliśmy nic w ustach przez cały dzień — i po co tu to wszystko zostawiać“. Machnął butelką, wskazując na śpiącego szypra. „Powiedział, że nie może nic przełknąć, więc namówiłem go, żeby się położył“ — ciągnął dalej; a widząc, że się w niego wpatruje, dodał: „Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, mój młody panie, że ten człowiek nie spał już co się zowie od wielu dni, a w łodziach diabelnie trudno będzie o sen“. „Wkrótce już wcale łodzi nie stanie, jeśli będziecie tu jeszcze dłużej błaznować“ — rzekłem z oburzeniem. Zbliżyłem się do szypra i potrząsnąłem go za ramię. Otworzył w końcu oczy, ale się nie poruszył. „Czas opuścić statek, panie kapitanie“, powiedziałem spokojnie.

— Dźwignął się z trudnością, spojrzął na płomienie, na morze, iskrzące się wokoło statku a dalej czarne, czarne jak atrament; spojrzął na gwiazdy świecące niewyraźnie przez cienką zasłonę dymu — na niebie czarnym, czarnym jak Ereb.

— „Najpierw najmłodszy“ — rzekł.

— Zwyczajny majtek, obtarłszy usta wierzchem dłoni, wstał, przelazł przez burta i zniknął. Inni poszli jego

śladem. Jeden zatrzymał się u burty, wysączył do dna butelkę i rzucił ją w ogień z wielkim rozmachem. „Weź to!” — krzyknął.

— Kapitan ociągał się, niepokieszony; zostawiliśmy go, aby obcował przez chwilę sam na sam z pierwszym swoim dowództwem. Potem wspiałem się znów na pokład i uprowadziłem go wreszcie. Czas naglił. Żelastwo na rufie było gorące przy dotknięciu.

— Potem lina szalupy została odcięta i wszystkie trzy łódki, związane razem, oddaliły się z prądem od statku. W chwili gdy opuszczaliśmy okręt, upłynęło dokładnie szesnaście godzin od wybuchu. Mahon objął komendę nad drugą łodzią, a ja miałem najmniejszą — czternastostopową. Szalupa byłaby pomieściła nas wszystkich, ale szypier powiedział, że musimy uratować z okrętowego dobra ile tylko się da — dla akcjonariuszy — i w taki to sposób objąłem swoje pierwsze dowództwo. Miałem z sobą dwóch ludzi, worek sucharów, kilka puszek z mięsem i beczkę wody. Rozkazano mi trzymać się blisko szalupy, aby w razie niepogody mogła nas zabrać.

— I wiecie, co pomyślałem? Pomyślałem, że odłączę się od kompanii możliwie najprędzej. Chciałem zachować swoje pierwsze dowództwo wyłącznie dla siebie. Nie śniło mi się żeglować z całym oddziałem, jeśli mi się nadarzy sposobność do samodzielnej przeprawy. Wyląduję sam. Pobiję inne łodzie. Młodości! Wszystko to była młodość! Niemądra, czarowna, wspaniała młodość.

— Ale nie wyruszyliśmy od razu. Musieliśmy być obecni przy ostatnich chwilach okrętu. Więc łódki dryfowały tu i tam w ciągu tej nocy, wznosząc się i opadając na falach. Ludzie drzemali, budzili się, wzdychali, jęczeli. Patrzyłem na palący się okręt.

— Między ciemnością nieba i ziemi płonął burzliwie na tarczy purpurowego morza, pocentkowanej grą krwawych błysków — na wodnej tarczy połyskliwej i ponurej. Wysoki, jasny płomień, olbrzymi i samotny, wznosił się nad oceanem, a z wierzchołka tego płomienia czarny dym płynął wciąż w niebo. Statek palił się gwałtownie, ponury i imponujący, jak pogrzebowy stos zażegniety wśród no-

cy, otoczony morzem, strzeżony przez gwiazdy. Wspaniała śmierć spłynęła jak łaska, jak dar, jak nagroda na ten stary okręt u kresu jego pracowitych dni. Poddanie się jego znużonego ducha opiece morza i gwiazd było wzruszające, niby widok wspaniałego tryumfu. Maszty zwały się tuż przed świtem, buchnęła zamieć iskier i przez chwilę wypełniła jak gdyby lotnym ogniem noc cierpliwą i czujną, rozległą noc leżącą cicho na morzu. O brzasku statek był już tylko zwęgloną skorupą, która płynęła spokojnie pod chmurą dymu, z rozżarzoną masą węgla w swym wnętrzu.

— Wtedy wyjęliśmy wiosła i łódki ustawiły się szeregiem, okrążając szczątki statku jakby w uroczystym pochodzie, z szalupą na czele. Gdy mijaliśmy rufę, smukły grot ognia strzelił gniewnie w naszą stronę — i nagle okręt poszedł na dno, dziobem naprzód, wśród rozgłosnego syku pary. Niedopalona rufa zanurzyła się na ostatku, lecz farba opadła już z niej, popękała, złuszczyła się; znikły litery, i słowa, i uparta dewiza, która była niejako duszą, i mogła błysnąć ku wschodzącemu słońcu hasłem statku i jego imieniem.

— Skierowaliśmy się na północ. Podniosła się bryza i około dwunastej wszystkie łodzie zeszły się po raz ostatni. Nie miałem w swojej łódce ani masztu, ani żagla, ale zrobiłem maszt ze zbywającego wiosła i zawiesiłem zamiast żagla pokrowiec od szalupy z bosakiem jako reją. Takielunek łodzi był bezsprzecznie za ciężki, lecz cieszyła mnie pewność, że przy pełnym wietrze mogę pobić obie pozostałe łódki. Musiałem na nie poczekać. Potem przyrzeliśmy się wszyscy mapie kapitana i po wspólnym posiłku z twardego chleba i wody odebraliśmy ostatnie rozkazy. Były bardzo proste: sterować na północ i trzymać się możliwie najbliżej jeden drugiego.

— „Ostrożnie z tym prowizorycznym takielunkiem, Marlow” — rzekł kapitan, a Mahon — gdy przejeżdżałem dumnie koło jego łodzi — zmarszczył garbaty nos i zawołał:

— „Mój panie młody, zajedziesz z tym swoim okrętem na dno, jeśli nie będziesz uważał”. Był to złośliwy

starzec — i oby głębokie morze, gdzie śpi teraz — kołysało go łagodnie, kołysało go kłiwie aż po kres wieków!

— Przed zachodem ulewny szkwał przeszedł nad dwiema tamtymi łodziami, które zostały daleko za rufą, i wtedy straciłem je z oczu na pewien okres czasu. Następnego dnia siedziałem, sterując swoją łupinką — pierwszym swoim dowództwem — a naokoło mnie było tylko niebo i woda. Dostrzegłem po południu górne żagle okrętu w oddali, ale nie powiedziałem nic, a moi ludzie go nie zauważyli. Widzicie, bałem się, że to może być okręt w drodze do kraju, a nie śniło mi się zawracać od samych wrót Wschodu. Sterowałem w kierunku Jawy — druga błogosławiona nazwa, uważacie — podobnie jak Bangkok. Sterowałem przez wiele dni.

— Nie potrzebuję wam mówić, co to jest poniewieranie się po morzu w otwartej łodzi. Pamiętam dni i noce zupełnej ciszy, kiedyśmy wiosłowali, wiosłowali, a łódka zdawała się stać na miejscu, jakby spętana czarem w obręczy morskiego horyzontu. Pamiętam upał, potopy nawałnic, które pod grozą śmierci zmuszały nas do wylewania bez tchu wody z łódki (lecz napelniały naszą beczkę), i pamiętam w końcu szesnaście godzin, w ciągu których z ustami wyschniętymi na żużel stawiałem czoło zbałwanionemu morzu na swym pierwszym dowództwie. Nie miałem przedtem pojęcia, jak dzielnym jestem człowiekiem. Pamiętam zapadnięte twarze, zgnębione postawy moich dwóch ludzi, pamiętam swoją młodość i uczucie, które już nigdy nie wróci — uczucie, że będę trwał wiecznie, że przetrwam morze, ziemię i wszystkich ludzi; złudne uczucie, które wabi nas do wesela, do niebezpieczeństw, do miłości, do próżnych wysiłków — do śmierci; tryumfalne poczucie siły — gorączkę życia w garstce prochu, a w sercu żar, który z każdym rokiem słabnie, ochładza się, zmniejsza i gaśnie — i zamiera za wcześnie, za wcześnie — przed wygaśnięciem życia.

— Tak oto widzę zawsze Wschód. Poznałem później tajne jego zakątki i patrzyłem mu w samą duszę, ale teraz widzę go zawsze z małej łódeczki: zarys wysokich gór, modrych i dalekich o poranku; podobnych do nikłej mgły

w południe; stojących o zachodzie jak poszczerbiony mur z purpury. Czuję w rękę wiosło, a w oczach mam pałący błękit morza. I widzę zatokę — rozległą zatokę gładką jak szkło i polerowaną jak lód — która połyskuje wśród ciemności. Czerwone światło pali się daleko wśród mroku wybrzeża, noc jest łagodna i ciepła. Wiosłujemy z trudem obolałymi ramionami i nagle powiew wiatru wyłania się z cichej nocy, powiew słaby i letni, i nasycony dziwnymi zapachami kwiatów, aromatem wonnego drzewa — pierwszy oddech Wschodu na mojej twarzy. Nigdy tego nie zapomnę. Było to nieuchwytnie — a ujarzmiło jak czar, jak szept — zapowiedź tajemniczej rozkoszy.

— Podczas ostatniego etapu wiosłowaliśmy godzin jednaście. Dwóch wiosłowało, a ten, na którego wypadł odpoczynek, siedział przy rudlu. Dostrzegliśmy czerwone światło w tej zatoce i sterowaliśmy w jego kierunku, odgadując, że oznacza zapewne jakiś mały port nadbrzeżny. Minęliśmy dwa cudzoziemskie okręty o wysokich rufach, śpiące na kotwicy i zbliżając się do światła — bardzo obecnie przyćmionego — uderzyliśmy dziobem o koniec sterczącego pomostu. Byliśmy ślepi ze zmęczenia. Moi ludzie puścili wiosła i zsunęli się z ławek jak nieżywi. Przymocowałem łódkę do słupa. Jakiś prąd szemrał łagodnie. Pachnący mrok wybrzeża skupił się w wielkie masy; były to zapewne zwarte, olbrzymie kępy roślinności — owe kształty nieme i fantastyczne. U ich podnóża łuk brzegu majaczył jak złudzenie. Ani światła, ani ruchu, ani dźwięku. Oto przede mną Wschód pełen tajemnic, wonny jak kwiat, cichy jak śmierć, mroczny jak grób.

— I siedziałem, znużony nad wszelki wyraz, tryumfujący jak zdobywca, rozbudzony i porwany zachwytem, jakbym miał przed sobą głęboką zagadkę kryjącą w sobie przeznaczenie.

— Miarowy plusk wiosel rozległ się na poziomie wód, wyolbrzymiony przez ciszę wybrzeża do rozgłośnego chlupotu. Skoczyłem na nogi. Zbliżała się łódź, europejska łódź. Wezwałem imienia zmarłego okrętu; okrzyknąłem się: „Hej, na *Judei!*“ Odpowiedział mi nikły głos.

— Był to kapitan. Wyprzedziłem był łódź dowódcy

o trzy godziny i cieszyłem się, że słyszę znowu głos starego, drżący i znużony.

— „To pan, Marlow?”

— „Niech pan uważa na koniec tego pomostu, panie kapitanie” — odkrzyknąłem.

— Podjechał ostrożnie i przycumował łódź za pomocą głębokowodnej ołowianki, którą uratowaliśmy — dla akcjonariuszów. Oddałem nieco swojej liny i znaleźliśmy się burta w burtę. Siedział u steru w zgnębionej postawie, mokry od rosy, z rękoma splecionymi na kolanach. Jego ludzie już spali.

— „Okropną miałem przeprawę” — szepnął. — „Mahon jest za nami — nie tak daleko”.

— Rozmawialiśmy szeptem, cichym szeptem, jakbyśmy się bali obudzić ów kraj. Armaty, gromy, trzęsienia ziemi nie zbudziłyby naszych ludzi.

— Rozglądając się podczas rozmowy, zobaczyłem daleko na morzu jasne światło wędrujące wśród nocy.

— „O, parowiec mija tam zatokę” — rzekłem. Ale nie minął zatoki, tylko wszedł do niej, a nawet zbliżył się tuż i zapuścił kotwicę.

— „Chciałbym” — rzekł stary — „żeby się pan dowiedział, czy to statek angielski. Może by mógł nas gdzie zawieźć”.

Kapitan wydał mi się zdenerwowanym i niespokojnym. Za pomocą okładania pięściami i kopania wprawiłem jednego z moich ludzi w stan somnambulizmu, dałem mu wiosło, sam wziąłem drugie i skierowaliśmy się ku światłom parowca.

— Słysząc tam było gwar głosów, metaliczne, głuche szczyki z maszynowni, kroki na pokładzie. Iluminatory jaśniały, okrągłe jak wytrzeszczone oczy. Krążyły postacie, a wysoko na mostku tkwił niewyraźny zarys człowieka. Ten człowiek usłyszał moje wiosła.

— I wówczas, nim jeszcze zdążyłem otworzyć usta, przemówił do mnie Wschód — ale przemówił w zachodnim języku. Potok słów został wylany w zagadkową, w groźną ciszę; obcych, gniewnych słów, zmieszanych ze słowami i nawet całymi zdaniem w poprawnym języku

angielskim, co było mniej obce, lecz jeszcze bardziej zdumiewające. Głos ten klął i wymyślał gwałtownie; podziurawił gradem przekleństw uroczysty spokój zatoki. Zaczął od nazwania mnie świnią i od tego epitetu przeszedł crescendo do nie dających się powtórzyć przymiotników — angielskich. Ów człowiek na gorze piecił się głośno w dwóch językach z taką szczerością w swej pasji, iż przekonał mię prawie, że popełniłem jakiś grzech przeciw harmonii wszechświata. Z trudem mogłem go dojrzeć, ale przyszło mi na myśl, że doprowadzi się do jakiegoś ataku.

Nagle zamilkł. Usłyszałem, że prycha i sapie jak delphin. Rzekłem.

— „Co to za parowiec, proszę pana?”

— „Co? Co takiego? Kto pan jeste?”

— „Jesteśmy załogą rozbitków z angielskiej barki, która się spaliła na morzu. Zajechaliśmy tu dziś wieczór. Jestem drugim oficerem. Kapitan znajduje się w szalupie i chciałby wiedzieć, czyby pan nie mógł nas gdzie zabrać”.

— „Ach, Boże drogi! Doprawdy, że... To jest *Celestial* z Singapuru w powrotnej drodze. Porozumiem się z waszym kapitanem jutro rano... i... tego... czy pan mnie słyszał przed chwilą?”

— „Zdaje mi się, że cała zatoka pana słyszała”.

— „Myślałem, że to łódź z wybrzeża. Niechże pan posłucha: ten przeklęty wałkoń, łotr — strażnik portowy — znów się pospał — niech go wszyscy diabli! Światło zgasło i o mało co nie wpakowałem się na koniec tego psiekrew pomostu. Już trzeci raz urzęda mi taki kawał. A teraz pytam się pana, czy mógłby kto znieść coś podobnego? To wystarcza, żeby człowieka doprowadzić do wariacji. Zrobię na niego raport... Doprowadzę do tego, że pomocnik rezydenta wyrzuci go do licha! Niech pan patrzy — nie ma światła. Zgasło, tak czy nie? Biorę pana na świadka, że światło zgasło. Powinno tam być światło, przecież pan wie. Czerwone światło na — —”

— „Tam było światło” — rzekłem łagodnie.

— „Ale przecież zgasło, człowieku! Co panu przyjdzie z takiego gadania? Sam pan widzi, że zgasło — może nie? Gdyby pan musiał prowadzić porządną parowiec

wzdłuż tego zatraczonego wybrzeża, potrzebowałyby pan także światła. Dam mu takiego kopniaka, że polecą z końca na koniec swojego nędznego pomostu. Zobacz pan, że to zrobię. Ja go — —“

— „Więc mogę powiedzieć mojemu kapitanowi, że pan nas zabierze?“ — wtrąciłem.

— „Dobrze, zabiorę was. Dobranoc“ — rzekł szorstko.

— Wróciłem, przywiązałem łódź do pomostu i narreszcie położyłem się spać. Poznałem już ciszę Wschodu. Słyszałem urywki wschodniego języka. Ale gdy znow otworzył oczy, cisza była tak wielka, jakby nikt jej nigdy nie macił. Leżałem w powodzi światła, a niebo nigdy jeszcze nie wydało mi się takie dalekie, takie wyniosłe. Otworzyłem oczy leżąc wciąż bez ruchu.

— I wówczas zobaczyłem ludzi Wschodu — patrzyli na mnie. Pomost — jak długi — wypełniony był ludźmi. Widziałem brunatne, brązowe, żółte twarze, czarne oczy, połysk i barwę wschodniego tłumu. A wszystkie te istoty patrzyły we mnie bez szeptu, bez westchnienia, bez ruchu.

Wpatrywały się w łódki na dole, w śpiących ludzi, którzy nocą przybyli do nich z morza. Nic się nie poruszało. Pędy palm odcinały się spokojnie na tle nieba. Wzdłuż brzegu nie drgnęła ani jedna gałązka, a brunatne dachy ukrytych domów widać było zza zielonego listowia, zza wielkich liści, które zwisały, błyszczące i nieruchome, jak liście wykute z ciężkiego metalu. To był zaiste Wschód dawnych żeglarzy, taki stary, taki tajemniczy, wspinały się chmurny, żywy i niezmienny, pełen niebezpieczeństw i obietnic. A oto byli jego ludzie. Siadłem nagle. Fala ruchu przebiegła po tłumie od końca do końca wzdłuż szeregu głów, zakolysała ciałami, przemknęła po pomoście jak zmarszczka po wodzie, jak powiew wiatru po polu — i wszystko znow zamarło. Widzę to w tej chwili — rozległy łuk zatoki, błyszczący piasek, przepych zieleni bogatej i różnorodnej, morze błękitne jak w marzeniu, tłum uważnych twarzy, blask jaskrawych barw — wodę odbijającą to wszystko, wygięcie brzegu, pomost, statek krajowców o wysokiej rufie, tkwiący wciąż na wodzie i trzy

łódki ze znużonymi ludźmi z Zachodu, pogrążonymi w śnie, nieświadomymi tego kraju i ludu, i gwałtownego blasku słońca. Spali porozkładani w poprzek ławek, zwinęci w kłębek na belkach dna, w niedbałych pozach śmierci. Głowa starego szypra, rozpartego w rufie szalupy, opadła na piersi: wyglądał, jakby nigdy już nie miał się zbudzić. Dalej znow twarz starego Mahona zwrócona była ku niebu, długa biała broda rozpostarła mu się na piersi — zdawało się, że został zastrzelony tam u rudla; a jakiś majtek, skuliwszy się w dziobie łodzi, spał, obejmując ramionami głowicę stewy przedniej, z policzkiem przytulonym do burty. Wschód patrzył na nich w głuchym milczeniu.

— Poznałem później czar Wschodu; zobaczyłem tajemnicze brzegi, cichą wodę, kraje brunatnych ludów, gdzie Nemezys czyha w ukryciu, ściga, dopada tak wielu z rasy zwycięskiej, pyszniącej się swą mądrością, swą wiedzą, swą siłą. Ale dla mnie cały Wschód zawarł się w tej wizji mojej młodości. Mieści się cały w owej chwili, gdy otworzyłem nań młode oczy. Dotarłem do niego po ciężkiej walce z morzem — i byłem młody — i zobaczyłem, że patrzy na mnie. I oto wszystko, co z tego pozostało! Tylko chwila; chwila siły, romantyzmu, porywającej złudy — młodości!.. Błysk słońca na obcym wybrzeżu, trochę czasu, aby wspomnieć, aby westchnąć i — żegnajcie! — Noc — Żegnajcie...!

Wypił.

— Ach! Te dawne, dobre czasy — dawne, dobre czasy. Młodość i morze. Porywający czar złudy — i morze! Dobre, silne morze — słone, gorzkie morze, które szepcze do ciebie i ryczy na ciebie, i wydziera ci ostatni dech.

Wypił znowu.

— I jakże rozstrzygnąć — czy tkwiło to w morzu, jak mi się zdaje, w samym morzu — czy też w samej młodości? Któż to wie? Ale wy wszyscy tutaj — którzyście mieli coś z życia: pieniądze, miłość — to co daje ład — powiedzcie mi: czyż to nie najlepsze nasze czasy, gdyś-

my — młodzi — byli na morzu; młodzi i nic nie mający,
na morzu, które nie daje nic — prócz ciężkich razów —
tylko czasem sposobność odczucia swej siły — jedynie to
— czego wam wszystkim żal?

I skinęliśmy wszyscy głowami: człowiek od finan-
sów, człowiek od rachunków, człowiek od prawa — ski-
nęliśmy potakująco głowami nad gładkim stołem, który
jak cicha tafła brunatnej wody odbijał nasze twarze, po-
cięte, pomarszczone; nasze twarze znaczone przez znój,
przez zawody, przez powodzenie, przez miłość; nasze
zmęczone oczy wyglądające wciąż, wyglądające zawsze,
wyglądające niespokojnie czegoś od życia, które już nas
minęło, oczekujących — przeszło niespostrzeżenie w we-
stchnieniu, w błysku — razem z młodością i siłą, i ro-
mantyzmem złudzeń.

JĄDRO CIEMNOŚCI

Jacht krążowniczy *Nellie* obrócił się na kotwicy bez najlżejszego trzepotu żagli i stanął bez ruchu. Przyплыw się skończył, wiatr ucichł prawie zupełnie, a że jacht kierował się w dół rzeki, nie pozostawało nic innego tylko zatrzymać się i czekać odpływu.

Przymorski obszar Tamizy rozciągał się przed nami jak początek nieskończonego wodnego szlaku. Morze i niebo w oddali spajały się z sobą bez śladu, a w świetlistej przestrzeni wysuszone na słońcu żagle szkut, dryfujących w górę z przyplywem, zdawały się tkwić spokojnie w kępkach czerwonych, mocno napiętych płócien błyskając pokostowanymi rejkami. Na niskich brzegach stała mgła ścieląca się ku morzu coraz cieńszą warstwą. Powietrze było ciemne nad Gravesend, a jeszcze dalej w głąb zdawało się zgęszczać w ponury mrok, skupiony w posepnym bezruchu nad najbardziej rozległym i najpočetnějszym miastem świata.

Naszym kapitanem i gospodarzem był dyrektor różnych towarzystw. Wszyscy czterej spoglądaliśmy ku niemu serdecznie, gdy stał na baku tyłem do nas, patrząc w stronę morza. Na całej rzece nie było ani w części czegoś tak wybitnie marynarskiego. Przypominał pilota, który dla marynarza jest wcieleniem wiarogodności. Trudno było zdać sobie sprawę, że teren jego pracy nie leży het tam, u świetlanego ujścia rzeki, lecz w górze Tamizy wśród posepnego mroku.

Jednoczyła nas — jak już gdzieś powiedziałem — więź morza. Nie tylko że nie pozwalała, abyśmy o sobie zapomnieli w czasie długich okresów rozstania, ale uczyła nas wzajemnej pobłażliwości dla naszych opowiadań — a nawet poglądów. Prawnik — najmilszy z towarzyszy — miał, ze względu na pokaźną ilość lat i cnót, jedyzną poduszkę na pokładzie i leżał na jedynej derce. Buchalter wydobył już pudełko z dominem i zabawiał się usta-

wianiem domków z kostek. Marlow siedział, skrzyżowawszy nogi, w głębi rufy, oparty o tylny maszt. Miał zapadłe policzki, żółtą cerę, proste plecy, wygląd ascety, a ze swymi obwisłymi ramionami i rękoma leżącymi na kolanach dłonią ku górze podobny był do bożka. Dyrektor, upewniwszy się, że kotwica dobrze trzyma, przyszedł na rufę i zasiadł między nami. Zamieniliśmy leniwie kilka słów. Potem zapadło na jachcie milczenie. Dla jakiejś tam przyczyny nie rozpoczynaliśmy partii domina. Opanowała nas zaduma i byliśmy zdolni tylko do spokojnego patrzenia przed siebie. Dzień się kończył wśród cichej pogody, wspianiałej, nieskazitelnej. Woda jaśniała spokojnie; niebo, bez żadnej plamki, było dobrotliwym bezmiarem nieskałanego światła: nawet mgły na mokradłach Essexu wyglądały jak zwiewna, promienista tkanina, która zwiślała z lesistych wyniosłości w głębi łądu, układając się na niskich brzegach w fałdy przejrzystej draperii. Tylko ku zachodowi mrok tkwił posępnie nad górnym biegiem rzeki i ściemniał się z każdą minutą jakby rozgniewany zbliżaniem się słońca.

Wreszcie słońce zsunęło się nisko, zakreślając nieostrzegalny łuk i od gorejącej białości przeszło w ciemną czerwień bez promieni i bez ciepła, jakby miało nagle zagasnąć, rażone śmiercią przy zetknięciu z owym mrokiem, ścielącym się posępnie nad ciżbą ludzi.

Woda uległa zmianie natychmiast, a pogoda stała się na niskich brzegach w fałdy przejrzystej draperii. Tylrozłana szeroko, wypoczywała bez ruchu na schyłku dnia — po całych wiekach dzielnej służby u rasy zaludniającej jej brzegi — rozpostarta spokojnie w swej godności wodnego szlaku, wiodącego do najdalszych krańców ziemi. Nic patrzyliśmy na czcigodną rzekę z punktu widzenia krótkiego, wartkiego dnia, który zjawia się i odchodzi na zawsze, ale widzieliśmy ją we wzniętym świetle trwałych wspomnień. I zaiste, nic łatwiejszego dla ludzi, którzy — jak to się mówi — „poświęcili się morzu“ z szacunkiem i przywiązaniem, niż wywołać wielkiego ducha przeszłości na przymorskim obszarze Tamizy. Przyływ i odpływ biegną tam i z powrotem w nieustającej

służbie, przepełnione wspomnieniami o okrętach i ludziach, których niosły ku domowemu wytchnieniu lub ku walkom na morzach. Prądy te znały wszystkich mężów, którymi szczyli się naród i służyły im wszystkim — od Sir Francis Drake'a do Sir Johna Franklina — ryerczom utytułowanym lub nie — wielkim błędnym ryerczom morza. Prądy te dźwigały wszystkie statki, których imiona są jak drogocenne kamienie błyszczące w pomroce wieków, od *Złotej Łani* powracającej z łonem pełnym skarbów — statku, co po odwiedzinach Jej Królewskiej Mości znika z gigantycznej opowieści — aż do *Erebu* i *Terroru*, które puściły się na inne podboje — aby nigdy nie wrócić. Prądy te znały i okręty, i ludzi. Znały tych, co wypłynęli z Deptford, z Greenwich, z Erith — awanturników i osadników; znały okręty królewskie i okręty finansistów, kapitanów, admirałów; znały ciemne figury z handlu ze Wschodem i upełnomocnionych „generałów“ wschodnio-indyjskich flot. Łowcy złota lub łowcy sławy, wszyscy płynęli tą rzeką, dzierżąc miecz, a często i pochodnię — wysłannicy potęgi z głębi kraju, niosący iskry świętego ognia. Któraż wielkość nie płynęła z prądem tej rzeki, dążąc ku tajemnicy nieznanych ziem...! Marzenia ludzkie, nasiona rzeczypospolitych, zarodki cesarstw.

Słońce zaszło; zmierzch padł na rzekę i światła zaczęły się ukazywać wzdłuż brzegu. Latarnia morska Chapmana, stojąca na trzech nogach wśród błotnej ławicy, rzuciła silny blask. Okrętowe światła dążyły żeglownym szlakiem — odbywał się wielki ruch światełek w górę i w dół rzeki. A dalej na zachód, nad górnym biegiem, leże potwornego miasta znaczyło się wciąż złowieszczo na niebie — posępną mgłą w słońcu, mętным blaskiem pod gwiazdami.

— A i to miejsce — rzekł nagle Marlow — było ongi jednym z mrocznych zakątków ziemi.

On jeden jedyny spośród nas wciąż jeszcze „służył na morzu“. Najgorszy zarzut, jaki mógł spotkać Marlowa, to ten, że nasz kolega nie był typowym przedstawicielem swego zawodu. Był to marynarz, ale był to również wędrowiec, gdy tymczasem większość marynarzy pro-

wadzi, jeśli można się tak wyrazić, życie osiadłe. Ich usposobienie należy do kategorii domatorskich, a dom zawsze jest z nimi — okręt; tak samo jak ich kraj — morze. Jeden okręt jest bardzo podobny do drugiego, a morze zawsze jest jednakowe. Wśród niezmienności otoczenia obce wybrzeża, obce twarze, zmienny ogrom życia przesuwają się koło nich, przesłonięte bynajmniej nie poczuciem tajemnicy, lecz nieco pogardliwą niewiedzą; gdyż nie ma dla marynarza nic tajemniczego — chyba samo morze, które jest władcą jego istnienia, władcą również niezbadanym jak los. Co zaś do reszty świata, przypadkowy spacer poza godzinami służby lub przypadkowa pijatyka na wybrzeżu wystarcza, aby odsłonić przed marynarzem tajemnicę całego kontynentu, i marynarz uważa na ogół, że tajemnica nie była warta poznania. Opowiadania żeglarzy są proste i bezpośrednie i zbytkiem sensu nie grzeszą. Lecz Marlow nie był typowym żeglarzem (wyjąwszy jego skłonność do opowiadań) i według niego sens jakiegoś epizodu nie tkwił w środku jak pestka — lecz otaczał z zewnątrz opowieść, która tylko rzucała nań światło — jak blask oświetla opary — na wzór mglistych aureoli, widzialnych czasem przy widmowym oświetleniu księżyca.

Uwaga Marlowa nie zaskoczyła nas wcale. To było zupełnie w jego stylu. Przyjęliśmy ją w milczeniu. Nikt nie zdobył się nawet na mruknięcie, a on wkrótce zaczął znów mówić powoli —

— Mam na myśli bardzo dawne czasy, kiedy Rzymianie przybyli tu po raz pierwszy, tysiąc dziewięćset lat temu — wczoraj... Światło biło później z tej rzeki — wspominaliście o rycerzach? Tak; ale to wszystko jest jak blask przebiegający równiną, jak błyskawica wśród chmur. Żyjemy w tym błysku — oby trwał, póki stara ziemia toczyć się będzie! Lecz wczoraj była tu ciemność. Wystawcie sobie uczucia dowódcy pięknej — jak to się nazywało? — tryremy na Morzu Śródziemnym, dowódcy odkomenderowanego nagle na północ: przebiega Galię w pośpiechu; powierzają mu jeden z tych statków, które legioniści — musieli to być cudowni ludzie i bardzo obrot-

ni — budowali, jak się zdaje, całymi setkami w przeciągu miesiąca lub dwóch, jeśli można wierzyć temu, co się czyta. Wyobraźcie go sobie tam: istny koniec świata, morze barwy ołowiu, niebo barwy dymu, okręt o zwartości *concertina* — a dowódca prowadzi go w górę rzeki, wioząc zapasy czy rozkazy, czy co tam chcecie. Ławice piasku, bagna, lasy, dziczy ludzie — znikoma ilość pożywienia, odpowiedniego dla cywilizowanego człowieka, a do picia nic prócz wody w Tamizie. Falerneńskiego wina ani śladu; wysiadać na brzeg nie można. Tu i tam obóz wojskowy zagubiony w dziczy jak igła w kopcu siana — zimno, mgła, burze, choroby, wygnanie i śmierć, śmierć czatująca w powietrzu, w wodzie, w gąszczu. Musieli tu ginąć jak muchy. Ale z pewnością dowódca poprowadził bardzo dobrze tę wyprawę, niewiele o tym myśląc — chyba może później, kiedy się chełpił wszystkim, co przeszedł swojego czasu. Byli to ludzie dość mężni, by stawić czoło ciemności. A może takiemu dowódcy dodawała ducha nadzieja, że dostanie się z czasem do floty w Rawennie — jeśli miał dobrych przyjaciół w Rzymie i jeśli wytrzymał straszny klimat.

— Albo wyobraźcie sobie, że przyzwoity, młody obywatel w todzie — może cokolwiek za gorliwie uprawiający grę w kości — zjawia się tutaj w świecie jakiegoś prefekta albo poborcy podatków, albo wreszcie kupca — by los swój poprawić. Łąduje na trzęsawisku, maszeruje przez lasy i osiadłszy na jakiejś placówce w głębi łądu, czuje, że dzicz, ostateczna dzicz zamknęła się wkoło niego — tajemnicze życie dziczy, które tętni w lesie, w dzungli, w sercach dzikich ludzi. Nie ma wtajemniczenia w takie misteria. Nasz obywatel musi żyć wpośród niepojętego, które jest także obrzydłym. A jednocześnie to niepojęte ma czar, który zaczyna na niego działać. Czar ohydy, rozumiecie? Wyobraźcie sobie rosnący w tym człowieku żal, pragnienie ucieczki, bezsilny wstręt, podanie się, nienawiść.

Zamilkł.

— Zważcie — zaczął znów i siedząc ze skrzyżowanymi nogami, podniósł rękę obróconą dłonią na zewnątrz

— zupełnie jak Budda nauczający w europejskim ubraniu i bez lotosa — zwańcie, że żaden z nas nie czułby zupełnie tak samo. Ratuje nas wiara w skuteczność naszej pracy — poświęcenie się dla niej. Ale tamci ludzie nie przedstawiali doprawdy nic nadzwyczajnego. Kolonistami nie byli; podejrzewam, że ich administracja nie różniła się niczym od ucisku. Byli zdobywcami, do tego zaś potrzeba tylko bezmyślnej siły — i nie ma się czym szczycić, jeśli się ją posiada, ponieważ siła ta jest po prostu przypadkiem i wypływa ze słabości innych. Zagarniali, co mogli — ze zwykłej chciwości. Była to po prostu kradzież z włamaniem, masowe morderstwo na wielką skalę, a ludzie rzucali się w to na oślep — jak przystoi tym, którzy napastują mrok. Zdobywanie ziemi — polegające przeważnie na tym, że się ją odbiera ludziom o odmiennej czerze lub trochę bardziej płaskich nosach — nie jest rzeczą piękną, jeśli się w nią wejrzy zbyt blisko. Odkupia ją tylko idea. Idea tkwiąca w głębi; nie sentymentalny pozór, tylko idea; i altruistyczna wiara w tę ideę — coś co można wyznawać i bić przed tym pokłony, i składać ofiary...

Urwał. Płomyki ślizgały się po rzece: małe, zielone płomyki, czerwone płomyki, białe płomyki, które się ścigały nawzajem, dopędzały, łączyły, krzyżowały — aby się rozstać śpiesznie lub powoli. Ruch handlowy wielkiego miasta trwał na bezsennej rzece wśród gęstniejącego mroku.

Przypatrywaliśmy się, czekając cierpliwie — nic innego nie można było robić aż do końca przypływu; lecz dopiero po dłuższym milczeniu Marlow rzekł wahał się: „Pamiętacie pewno, koledzy, że byłem czas jakiś marynarzem na słodkich wodach“ — i wówczas wiedzieliśmy już, że jest nam sążone — nim odpływ się zacznie — wysłuchać jednej z rozlicznych przygód Marlowa, nie doprowadzających do żadnej konkluzji.

— Nie chcę nudzić was długo tym, co spotkało mnie samego — zaczął, zdradzając tą uwagą słabość, właściwą wielu gawędziarzom, którzy tak często zdają się nie wiedzieć, co ich słuchaczy najbardziej interesuje — lecz aby zrozumieć wpływ, jaki to na mnie wywarło, musicie

wiedzieć, jak się tam znalazłem, co zobaczyłem, jak płynąłem w górę rzeki aż do miejsca, gdzie spotkałem się po raz pierwszy z tym nieborakiem. Był to najdalszy punkt mojej wyprawy i kulminacyjny punkt mych przeżyć. Rzucił jak gdyby pewien rodzaj światła na to, co mnie otaczało — i na moje myśli. Wszystko to było dość ponure — i żałosne — i wcale nie nadzwyczajne — i nie bardzo jasne bynajmniej. Nie, nie było bardzo jasne. A jednak zdaje mi się, że rzuciło pewnego rodzaju światło.

— Powróciłem wówczas, jak pamiętacie, do Londynu po dłuższej żegludze na Oceanie Indyjskim, Spokojnym, na morzach chińskich — po porządnej porcji Wschodu — trwało to około sześciu lat. Wałęsałem się tu i ówdzie, przeskadzając kolegom w pracy i nachodząc wasze domy, zupełnie jakby mi niebo poruczyło misję, aby was cywilizować. Przez pewien czas bardzo to było przyjemne, lecz wkrótce zmęczyłem się wypoczynkiem. Wówczas zacząłem rozglądać się za okrętem — co jest chyba najcięższą pracą na świecie. Ale okręty nie chciały nawet na mnie patrzeć. I ta zabawa zmęczyła mnie również.

— Otóż — kiedy byłem małym chłopczykiem, miałem namiętność do map. Wpatrywałem się godzinami w Południową Amerykę, lub Afrykę, lub Australię, pograżając się we wspaniałościach odkrywczych podróży. W owych czasach było jeszcze wiele miejsc pustych na ziemi, a jeśli które z nich wydawało mi się na mapie szczególnie pojętne (ale one wszystkie tak wyglądają), kładłem nań palec i mówiłem: „Pojadę tam, jak dorosnę“. Pamiętam, że biegun północny należał do tych miejsc. No, nie zajechałem tam jeszcze, a teraz już próbować nie będę. Czar prysł. Inne znów miejsca były rozrzucone w okolicach równika i po wszelkich szerokościach geograficznych obu półkul. Zwiedziłem niektóre z nich i... no, nie będziemy o tym mówili. Ale było tam jedno — największe, najbardziej puste — że tak powiem — do którego ciągnęło mnie najsilniej.

— Prawda, że w owej chwili to miejsce nie było już puste. Od czasów mego dzieciństwa zapełniły je rzeki, i

jeziora, i nazwy. Przestało być próżną przestrzenią, pełną rozkosznej tajemnicy — białą plamą, budzącą w chłopcach wspaniałe marzenia. Przeobraziło się w miejsce, gdzie panuje mrok. Ale była tam przede wszystkim jedna rzeka, wielka, potężna rzeka, którą się oglądało na mapie, podobną do olbrzymiego, wyciągniętego węża, że łbem w morzu, z ciałem wijącym się poprzez rozległą krainę, z ogonem, zagubionym w głębi lądu. A gdy przyglądałem się mapie przez okno sklepowej wystawy, przykuwała mnie ta rzeka, jak wąż przykuwa wzrokiem ptaszka — niemądrego, małego ptaszka.

— Przypomniałem sobie, że istnieje wielkie towarzystwo, spółka dla handlu na tej rzece. Do licha! Przyszło mi na myśl, że przecież nie mogą prowadzić handlu bez posługiwania się jakimiś statkami na tej ogromnej wodnej przestrzeni — bez parowców! Dlaczegożbym nie miał się postarać o dowództwo któregoś z nich? Szedłem dalej przez Fleet Street, ale nie mogłem się pozbyć tych myśli. Wąż mnie oczarował.

— To handlowe towarzystwo było spółką z kontynentu; ale mam mnóstwo krewnych na kontynencie, ponieważ — jak mówią — taniej tam i wcale nie tak nieprzyjemnie, jakby się zdawało.

— Z przykrością muszę wyznać, że zacząłem swych krewnych nudzić. Już to samo było dla mnie czymś zupełnie nowym. Rozumiecie, nie miałem zwyczaju w taki sposób brać się do rzeczy. Szedłem zawsze swoją własną drogą, na własnych nogach, tam dokąd miałem ochotę. Nie byłbym wierzył, że jestem zdolny do czegoś podobnego, tylko że — widzicie — jakoś czułem, że muszę się tam dostać — tak czy inaczej. Więc ich zanudzałem. Mężczyźni mówili: „Mój drogi“ — i nic nie robili. Wówczas — czy uwierzycie? — wziąłem się do kobiet. Ja, Charlie Marlow, zaprząłem do roboty kobiety — aby dostać posadę. Słowo daję! No, widzicie — przesładowała mnie ta myśl. Miałem ciotkę, zającą, entuzjastyczną duszę. Napisała mi: „To będzie cudowne. Gotowam zrobić dla ciebie wszystko, wszystko. Myśl jest wspaniała. Znam żonę jednego z członków administracji,

postawionego bardzo wysoko; znam także człowieka, który ma wielkie wpływy“ — itd. itd. Postanowiła póty suszyć głowę ludziom, póki mnie nie mianują kapitanem rzeczno-parowca — ponieważ taką jest moja fantazja.

— Dostałem nominację, oczywiście; i dostałem ją bardzo prędko. Zdaje się, że towarzystwo dowiedziało się o śmierci jednego z kapitanów, który został zabity w bitwie z krajowcami. To było moje szczęście i tym bardziej zachciało mi się jechać. Dopiero w długie miesiące potem, gdy usiłowałem odzyskać ciało owego kapitana, dowiedziałem się, że źródłem kłótni było nieporozumienie co do kur. Tak, dwóch czarnych kur. Fresleven — tak się ów człowiek nazywał — Duńczyk, uważał, że go pokrzywdzono przy kupnie, wysiadł więc na ląd i zaczął okładać laską naczelnika wsi. Ach, nie zdziwiłem się wcale, gdy mi to opowiadali, zaznaczając równocześnie, że Fresleven był najłagodniejszą, najspokojniejszą istotą pod słońcem. Było tak z pewnością; ale przecież znajdował się tam już od paru lat, służąc wzniosłej idei, i prawdopodobnie uczuł nareszcie potrzebę stwierdzenia w jakikolwiek sposób szacunku dla siebie samego. Dlatego też łupił bez litości starego Murzyna; naokoło gapił się tłum skamieniałych krajowców, aż wreszcie jeden z nich — podobno syn naczelnika — słysząc z rozpaczą wrzaski starca, rzucił w białego włóczęgę dla próby — i oczywiście włóczęga uwięzła z łatwością między łopatkami. Potem cała ludność uciekła do lasu w oczekiwaniu wszelkich możliwych klęsk, zaś parowiec, dowodzony przez Freslevena, odpłynął również w wielkim popłochu, pod komendą maszynisty, o ile sobie przypominam. Później nikt już nie zdawał się troszczyć o szczątki Freslevena, póki się tam nie znalazłem jako jego następcę. Nie mogłem tej sprawy zaniedbać, ale gdy wreszcie nastąpiła mi się sposobność zetknięcia z tym poprzednikiem, trawa, rosnąca między jego żebrami dość była wysoka, aby zasłonić kości. Zostały wszystkie na miejscu. Nikt nie tknął nadnaturalnej istoty leżącej na ziemi. Wieś opustoszała, chaty stały otworem, czarne, butwiejące, krzywe wśród rozwalonych płotów. Klęska spadła istotnie na

wieść. Ludność znikła. Obląkany strach rozprószył wszystkich — mężczyzn, kobiety i dzieci; zaszyli się w gęszcz i nie wrócili już nigdy. Nie wiem doprawdy, co się stało z kurami. Przypuszczam, że sprawa postępu pozyskała je jakoś dla siebie. Tak czy owak, wskutek tej sławnej afery dostałem nominację, nim się jeszcze zacząłem prawdziwie jej spodziewać.

— Latałem na wszystkie strony jak wariat, aby się przygotować do wyjazdu, i przed upływem czterdziestu ośmiu godzin jechałem już przez kanał dla pokazania się pryncypałom i podpisania kontraktu. W bardzo niewiele godzin przybyłem do miasta, które przypomina mi zawsze grób pobielany. Z pewnością to uprzedzenie. Znalazłem bez trudu biura kompanii. Był to największy budynek w mieście i każdy, kogo tylko spotkałem, mówił o tym towarzystwie. Spółka miała się zabrać do założenia zamorskiego cesarstwa i zdobyć niezliczone mnóstwo pieniędzy za pomocą handlu.

— Wąska, opustoszała uliczka w głębokim cieniu, wysokie domy, niezliczone okna o weneckich żaluzjach, martwa cisza, trawa między kamieniami, imponujące wjazdowe arkady na prawo i lewo, olbrzymie, masywne, nieco uchylone podwoje. Wślizgnąłem się przez jedną ze szpar, wszedłem po zamiecionych, nagich schodach, jałowych jak pustynia, i otworzyłem pierwsze z napotkanych drzwi. Dwie kobiety, jedna tęga a druga szczupła, siedziały na krzesłach wyplatanych słomą, robiąc coś na drutach z czarnej wełny. Szczupła podniosła się i szła wprost na mnie ze spuszczonej oczyma — nie przestając poruszać drutami — i dopiero gdy pomyślałem, że trzeba ustąpić jej z drogi jak lunaticzce, zatrzymała się i podniosła oczy. Miała suknię prostą jak futerał od parasola; odwróciła się bez słowa i zaprowadziła mnie do poczekalni. Wymieniłem swoje nazwisko i zacząłem się rozglądać. W środku był stół z sosnowego drzewa, zwykle krzesła stały pod ścianami; w jednym końcu pokoju wisiała wielka, błyszcząca mapa, znaczone wszystkimi kolorami tęczy. Była tam wielka ilość czerwieni — którą zawsze miło jest widzieć, ponieważ z góry wiadomo, że bardzo konkretna

praca tam się odbywa — całe mnóstwo błękitu, trochę zieleni, pasma pomarańczowe, a na wschodnim wybrzeżu purpurowa łata, aby pokazać, gdzie weseli pionierzy postępu popijają wesołe piwo lagrowe. Ale nie wybierałem się do żadnego z tych kolorów. Wybierałem się do żółtego. W samym środku mapy — jak strzelił. I rzeka była tam także — przykuwająca — śmiertelna — niby wąż. Br!

— Otworzyły się drzwi, ukazała się białowłosa głowa sekretarza o współczującym wyrazie twarzy i kościsty palec kiwnął na mnie. Wszedłem do sanktuarium. Światło tu było przyćmione, a ciężkie biurko przykucnęło w środku pokoju. Doznałem wrażenia, że za tym gmachem tkwi blada otyłość w surducie. Był to ów wielki człowiek we własnej osobie. Liczył zapewne jakieś pięć stóp sześć cali, a dzierżył w rękę bardzo wiele milionów. Podał mi dłoń, o ile pamiętam, szepnął coś nieokreślonego, wyraził uznanie dla mojej francuszczyzny. *Bon voyage.*

— Po upływie czterdziestu pięciu sekund mniej więcej znalazłem się znów w poczekalni w towarzystwie współczującego sekretarza, który — strapiiony i pełen sympatii — dał mi do podpisania jakiś dokument. Zdaje mi się, że między innymi zobowiązałem się do zachowania wszystkich handlowych sekretów. No i nie zamierzam ich zdradzić.

— Zacząłem odczuwać lekki niepokój. Wiedzie, że nie jestem przyzwyczajony do takich ceremonij, a przy tym w tej atmosferze było coś złowieszczonego. Zupełnie jakby mnie wtajemniczono w jakiś spisek — nie umiem tego określić — jakby coś było niezupełnie w porządku; cieszyłem się, kiedy się stamtąd wydostał. W przyległym pokoju owe dwie kobiety robiły gorączkowo na drutach coś z czarnej wełny. Zjawiali się interesanci i młodsza z kobiet wprowadzając ich chodziła tam i na powrót. Stara siedziała na krześle. Płaskie sukienne pantofle oparła o ogrzewacz do nóg, a na jej kolanach spoczywał kot. Na głowie miała jakąś białą, wykrochmaloną historyjkę, brodawkę na policzku i okulary w srebrnej oprawie, zsunięte na koniec nosa. Popatrzyła na mnie znad szkieł. Zmieszał

mię obojętny spokój tego szybkiego spojrzenia. Wprowadzano właśnie dwóch młodzików o głupkowatych, wesołych twarzach, a stara rzuciła im takie samo szybkie spojrzenie, mądre i obojętne. Zdawało się, że wie o nich wszystko, a także i o mnie. Poczulem zabobny lęk. Wydała mi się niesamowitą i złowrogą. Często — gdy byłem już tam daleko — myślałem o tych dwóch kobietach, odzwiercynych u wrót Ciemności, robiących na drutach jakby ciepły całun z czarnej wełny; wspominałem, jak jedna z nich wprowadza, wprowadza bez końca w nieznaną, a druga bada obojętnie starymi oczami wesołe i głupie twarze. *Ave!* stara pracownico, migająca drutami nad czarną przędzą. *Morituri te salutant.* Niewielu z tych, na których spoglądała, zobaczyło ją znowu — znacznie mniej niż polowa.

— Czekala mię jeszcze wizyta u doktora. „Prosta formalność“, zapewnił mię sekretarz z takim wyrazem twarzy, jak gdyby brał głęboki udział we wszystkich moich strapieniach. Jakiś młodzik w kapeluszu naciśniętym na lewą brew, zapewne urzędnik — musieli tam być i urzędnicy w tej spółce, choć dom był cichy, jakby się znajdował w mieście umarłych — zeszedł skądś z góry i poprowadził mnie. Obszarpany był i zaniedbany, rękawy kurtki miał poplamione atramentem, a pod jego brodą, przypominającą czubek starego buta, tkwił wielki, falisty krawat. Na doktora było jeszcze trochę za wcześnie, więc zaproponowałem, żebyśmy się czegoś napili, dzięki czemu mój towarzysz puścił wodze swej wesołości. Gdyśmy już siedzieli przy kieliszkach wermutu, zaczął się unosić nad interesami spółki; od słowa do słowa, wyraziłem mimochodem zdziwienie, że on sam się do Afryki nie wybiera. Ochłódł natychmiast i stał się bardzo opanowany.

— „Nie taki dureń ze mnie, na jakiego wyglądam, rzekł Platon do swych uczniów“ — powiedział sentencjonalnie i wychylił kieliszek z wielką stanowczością, po czym wstałszy z miejsc.

— Stary doktor wziął mię za puls, myśląc najwidoczniej zupełnie o czym innym.

— „W porządku, może pan jechać“ — mruknął i za-

pytał z pewną skwapliwością, czybym mu nie pozwolił zmierzyć swej głowy. Odrzekłem: dobrze — nieco tym zaskoczony, a on wyciągnął coś w rodzaju cyrkla i zrobił pomiary z tyłu, z przodu, i ze wszystkich stron, notując starannie. Był to nieogolony człowieczek w wytartym kaptanie, podobnym do oponczy, i pantoflach; wyglądał na nieszkodliwego durnia.

— „W interesie nauki“ — rzekł — „proszę zawsze tych, którzy tam jadą, aby mi pozwolili zmierzyć swe czaszki“.

— „A gdy wracają, robi pan to samo?“ — zapytałem.

— „Ach, nigdy się już z nimi nie stykam“ — zauważył;

— „a przy tym, widzi pan, zmiany zachodzą w środku“. Uśmiechnął się, jak po wypowiedzeniu przyjemnego żartu. — „Więc pan tam jedzie. Świetnie. To bardzo zajmujące“. — Spojrzał na mnie badawczo i znów coś zanotował. „Czy nie było kiedy w pańskiej rodzinie wypadku obłąkania?“ — zapytał rzeczowym tonem.

— Zaczynało mnie to mocno drażnić.

— „Pan pyta o to również w interesie nauki?“

— „Byłoby rzeczą zajmującą“ — odrzekł, nie zwracając uwagi na moje rozdrażnienie — „gdyby można dla celów naukowych śledzić tam na miejscu zmiany psychiczne zachodzące w jednostkach, ale...“

— „Czy pan jest psychiatrą?“ — przerwałem.

— „Każdy lekarz powinien być trochę psychiatrą“ — odparł z niewzruszonym spokojem oryginał. — „Mam pewną teorię, do której udowodnienia wy panowie, udaję się tam, musicie mi pomóc. To jest mój udział w korzyściach, jakie kraj mój powinien osiągnąć z posiadania tej wspaniałej kolonii. Bogactwa zostawiam innym. Proszę mi wybaczyć te pytania, ale pan jest pierwszym Anglikiem, który się dostaje pod moją obserwację...“

— Pospieszyłem go zapewnić, że nie jestem bynajmniej typowym.

— „Gdyby tak było“ — rzekłem — „nie rozmawiałbym z panem w ten sposób“.

— „To co pan mówi, jest dość głębokie i prawdopodobnie błędne“ — rzekł ze śmiechem. „Niech pan się wystrze-

ga irytacji jeszcze bardziej niż przebywania na słońcu. *Adieu*. Jak to mówicie po angielsku, co? Good-bye. Aha! Good-bye. *Adieu*. Pod zwrotnikami trzeba przede wszystkim zachowywać spokój...“ Podniósł ostrzegawczo palec... — „*Du calme, du calme. Adieu*“.

— Pozostawało mi jeszcze jedno — pożegnać się z moją zącną ciotką. Zastałem ją triumfującą. Wypiłem filiżankę herbaty — ostatnią filiżankę porządnej herbaty na długi przeciąg czasu — i w pokoju — który wyglądał właśnie tak, jak sobie wyobrażamy kobiecy salon, co podziałało na mnie niezmiernie kojąco — ucieliśmy przy kominku długą, spokojną gawędę. W ciągu tych zwierzeń zrozumiałem, że opisano mnie żonie wysokiego dygnitarza — i poza tym Bóg raczy wiedzieć ilu innym osobom — jako wyjątkową i szczególnie obdarzoną istotę, człowieka opatrnościowego dla spółki, jakiego się często nie spotyka. Miłosierny Boże! a ja miałem objąć komendę na jakimś tam marnym rzeczonym parowcu, zaopatrzonym w taniutką gwizdawkę. Okazało się przy tym, że jestem także Działaczem, przez duże D — rozumiecie. Niby wysłańcem światła, niby apostołem pośledniejszego gatunku. W owych czasach rozpuszczano masę takich bredni w druku i słowie i zącna moja ciotka, żyjąca w pośrodku tej całej blagi, straciła równowagę. Póty rozprawiała o tym, że „trzeba odzwyczaić miliony tych ciemnych ludzi od ohydneho ich życia“, aż wreszcie — daję wam słowo — zrobiło mi się jakoś głupio. Ośmieliłem się nadmieniç, że przecieź spółka została założona dla zysku.

— „Zapominasz, kochany Charlie, że każda praca zasługuje na zapłatę“ — rzekła wesoło.

— To ciekawe, jak dalece kobiety nie mają poczucia rzeczywistości. Żyją we własnym świecie, który właściwie nigdy nie istniał i istnieç nie może. Jest na to o wiele za piękny, a gdyby można taki świat zbudować, rozleciałby się przed zachodem słońca. Pierwszy lepszy nieznośny fakt, z którym my mężczyźni współżyjemy zgodnie od chwili stworzenia, wyrwałby się i dałby w łeb całej historii.

— Zostałem uściskany, przykazano mi, abym nosił flanelę, abym często pisywał i tak dalej — i pożegnałem się.

Na ulicy — nie wiem dlaczego — opanowało mię dziwne wrażenie, iż jestem oszustem. Szczególna rzecz, że ja, który przywykłem był wyruszać w jakąkolwiek stronę świata w przeciągu dwudziestu czterech godzin, poświęcając temu mniej uwagi niż inni przejściu na drugą stronę ulicy, miałem chwilę — nie powiem wahania, ale ociągania się i lęku wobec takiej zwykłej historii. Najlepiej wam to wytłumaczę, gdy powiem, że przez parę sekund doznałem uczucia, jakbym się wybierał nie do środka jakiegoś kontynentu, ale do środka ziemi.

— Wsiadłem na francuski parowiec, który zajeżdżał do wszystkich zakazanych portów, jakie Francuzi mają tam po drodze — jedynie po to, o ile się mogłem połapać, aby wysadzać na ląd żołnierzy i urzędników komory celnej. Przypatrywałem się wybrzeżu. Obserwowanie brzegu, który przesuwają się koło okrętu, przypomina rozwiązywanie zagadki. Oto leży przed wami wybrzeże — uśmiechnięte, chmurne, powabne, wspaniałe, nędzne, banalne, albo dzikie — a zawsze nieme, choć zdaje się szeptać: chodź i przekonaj się. Ten zaś brzeg był prawie zupełnie bez charakteru, jakby się jeszcze nie ukształtował, a wygląd miał ponury i monotony. Skraj olbrzymiej dżungli — o zieleni tak ciemnej, że wydawała się prawie czarną — obramowany białą frędzlą nadbrzeżnych fal, biegł prosto, jak nakreślony przy pomocy linii — daleko, hen, daleko wzdłuż błękitnego morza, którego połysk był przyćmiony przez pełzającą mgłę. Słońce paliło okrutnie, ziemia zdawała się błyszczeć i ociekać kroplami pary. Gdzieś tam popielatawobiaławe plamki ukazywały się grupkami na wybrzeżu poza białą linią fal; czasem flaga powiewała nad nimi. Były to osady, liczące po kilka wieków, a jednak nie większe niż główki od szpilek na nietkniętej przestrzeni kraju. Statek sunął ciężko wzdłuż brzegu, zatrzymywał się, wysadzał żołnierzy; jechał dalej, wysadzał urzędników komory celnej, aby pobierali cło na wybrzeżu, które wyglądało jak pustka zapomniana przez Boga, z zagubioną w niej blaszaną szopą i słupem od flagi; i znów wysadzał żołnierzy — prawdopodobnie, aby pilnowali urzędników komory celnej. Mówiono mi, że kilku z nich

utonęło w nadbrzeżnych falach, ale nikt nie zdawał się o to troszczyć. Wyrzucono ich tam po prostu i jechaliśmy dalej. Dzień po dniu brzeg wyglądał tak samo, jakbyśmy nie poruszali się wcale; przejeżdżaliśmy koło różnych miejsc — osad handlowych — o nazwach takich jak Gran' Bassam, Little Popo; nazwach, które zdawały się należeć do jakiejś plugawej farsy, odgrywanej na tle posępnej kurtyny. Bezczytność pasażera, osamotnienie wśród tych wszystkich ludzi, z którymi nie miałem żadnych punktów stycznych, oleiste i leniwe morze, jednostajna posępność wybrzeża, trzymały mię jakby z dala od rzeczywistości — uwikłanego w sieci żalostnej i bezsensowej uludy. Głos nadbrzeżnych fal, dochodzący niekiedy, stanowił dla mnie prawdziwą przyjemność, jak odezwanie się brata. Był to objaw naturalny, coś co miało swoją przyczynę i jakieś znaczenie. Niekiedy łódź z wybrzeża dawała mi chwilowy kontakt z rzeczywistością. Wiosłowali w niej czarni ludzie. Można było dojrzeć z daleka połyskujące białka ich oczu. Krzyczeli, śpiewali; ciała ich oblewał pot, twarze przypominały groteskowe maski; ale mieli kości, mięśnie, dziką żywotność, intensywną energię w ruchach, co było równie naturalne i prawdziwe jak fale rozbijające się o brzeg. Ich obecność nie wymagała usprawiedliwienia. Widok tych ludzi stanowił wielką pociechę. Przez pewien czas czułem, że należę jeszcze do świata prostych faktów; ale to nie trwało długo. Zawsze coś zaszło i przepłoszyło to uczucie. Raz, pamiętam, natknęliśmy się na statek wojenny, zakotwiczony daleko od brzegu. Na lądzie nie było nawet szopy, a jednak statek obrzucał gąszcz pociskami. Okazało się, że Francuzi prowadzą wojnę w tamtych okolicach. Flaga statku zwisała jak łachman; lufy długich, sześciocalowych armat wystawały ze wszystkich stron niskiego kadłuba; statek wznosił się leniwie i opadał na tłustej, mulistej fali, chwiejąc cienkimi masztami. Wśród niezmiernie pustki ziemi, nieba i wody tkwił ten niepojęty okręt i strzelał w głąb kontynentu. Bum! odzywała się jedna z sześciocalowych armat; drobny płomyk wyskakiwał i znikał, niewielki kłęb białego dymu rozplątywał się w powietrzu, drobny pocisk zaskrzeczał słabo — i nic nie na-

stępowało. Nic nastąpić nie mogło. Było w tym coś obłąkanego, widok ten przypominał ponurą krotochwilę i nie rozproszył tego wrażenia jakiś człowiek z pokładu, zapewniający mię poważnie, że tam jest obóz krajowców — nazywał ich nieprzyjaciółmi! — ukryty gdzieś w głębi.

Doręczyliśmy wojennemu statkowi listy (mówiono mi, że ludzie na tym samotnym okręcie umierają na febrę przeciętnie po trzech dniach) i popłynęliśmy dalej. Odwiedziliśmy jeszcze kilka innych miejscowości o nazwach jak z farsy, gdzie śmierć i handel wiodą wesoły taniec wśród cichej atmosfery nasyconej zapachem ziemi, niby w przegrzanych katakumbach; płynęliśmy wzdłuż bezkształtnego wybrzeża, obramowanego pianą niebezpiecznych nadbrzeżnych fal, jakby sama przyroda usiłowała odeprzeć intruzów; wjeżdżaliśmy w ujścia rzek — strumieni śmierci toczących się wśród życia — których brzegi rozpadały się w błoto, których wody, zgęszczone w szlam, ogarniały poskręcane mangrowie, zdające się więc przed naszym wzrokiem w ostatecznej, bezsilnej rozpacz. Nie zatrzymaliśmy się nigdzie tak długo, aby można było doznać jakichś oddzielnych wrażeń, ale ogólne uczucie nieokreślonego i dotkliwego zdziwienia wciąż we mnie wzrastało. Była to niby uciążliwa pielgrzymka wśród zapowiedzi nocnych zmór.

— Minęło z górą trzydzieści dni, nim zobaczyłem ujście wielkiej rzeki. Zapuściliśmy kotwicę naprzeciw rządowej siedziby. Ale moja praca miała się zacząć dopiero o jakieś dwieście mil dalej. Toteż wyruszyłem możliwie najprędzej do miejscowości położonej trzydzieści mil w górę rzeki.

Odbyłem drogę na małym morskim parowcu. Kapitan, Szwed, wiedział, że jestem marynarzem i zaprosił mię na mostek. Był to człowiek młody, szczupły, nasępiony blondyn; włosy miał rzadkie i powłóczył nogami. Gdyśmy odbijali od lichego, małego pomostu, wskazał pogardliwie głową na brzeg.

— „Tam pan mieszkał?“ — zapytał.

— „Tak“ — odpowiedziałem.

— „Nieźle okazy, ci rządowi faceci — co?“ — mówił

dalej po angielsku z wielką precyzją i głębokim rozgoryczeniem. — „To ciekawe, czego się niektórzy ludzie nie podejmą za parę franków na miesiąc. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje z takimi osobnikami, kiedy się znajdują tam w górze rzeki?“

— Odrzekłem, że mam nadzieję wkrótce się o tym przekonać.

— „Więc to ta — a — ak!“ — wykrzyknął. Przeszedł w poprzek statku, powłócząc nogami i zerkając czujnie ku przodowi. — „Niech pan nie będzie zanadto pewien siebie“ — mówił dalej. — „Parę dni temu odczepiłem człowieka, który się powiesił na drodze. Był to także Szwed“.

— „Powiesił się! Dlaczego, na miłość Boską?“ — wykrzyknąłem. Kapitan patrzył wciąż bacznie ku przodowi.

— „Któż to wie? Może nie mógł znieść tutejszego słońca, a może i kraju“.

— Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie rzeka się rozszerzała. Ukazało się skaliste urwisko, wały wydobytej ziemi na brzegu, domy na wzgórzu; inne domki o żelaznych dachach tkwiły wśród pustki, porytej wykopanymi jamami, lub przywierały do stoku. Nieustanny szum bystrego nurtu rzeki unosił się nad tym wizerunkiem zamieszkałej pustyni. Gromada ludzi, przeważnie czarnych i nagich, roiła się jak mrówki. Pomost wstępował w rzekę. Od czasu do czasu oślepiające słońce zalewało nagłe to wszystko wzmocnionym jeszcze blaskiem.

— „Oto stacja waszej spółki“ — rzekł Szwed, wskazując trzy drewniane budynki, podobne do baraków, stojące na skalistej pochyłości. — „Odeślę tam panu rzeczy. Cztery skrzynie, tak? Dobrze. Żegnam pana“.

— Natknąłem się na kocioł, poniewierający się w trawie i znalazłem ścieżkę, prowadzącą na wzgórze. Skręciłem w bok z powodu leżących na drodze głazów i małego wagonika przewróconego do góry kołami. Jednego z nich brakowało. Ten wagonik wyglądał tak martwo, jakby był trupem jakiegoś zwierzęcia. Natrafiłem znow na rozlatujące się maszyny, na stos zardzewiałych szyn. Po lewej stronie kępka drzew rzucała nieco cienia, w którym jakieś ciemne kształty zdawały się lekko poruszać. Przymruży-

łem oczy; ścieżka była stroma. Na prawo zadzwieczał róg i spostrzegłem, że czarni się rozbiegają. Ciężki i głucho huk wstrząsnął ziemią, kłęb dymu wydobył się ze skały, i to było wszystko. Żadna zmiana w skale nie zaszła. Budowano tam kolej. Owa skała nie mogła przeszkadzać w robocie, ale bezcelowe jej wysadzanie było całą pracą, jaką wykonywano.

— Usłyszałem za sobą lekki brzęk i odwróciłem głowę. Sześciu czarnych ludzi szło ścieżką gęsiego, dążąc z trudem pod górę. Szli powoli, wyprostowani, niosąc na głowie małe kosze pełne ziemi, a brzęk towarzyszył miarowo ich krokom. Wkoło bioder mieli przepaski z czarnych łańchmanów, których krótkie końce chwiały się z tyłu jak ogony. Można było policzyć wszystkie żebra tych ludzi, stawy ich członków wyglądały jak węzły na linie; każdy miał na szyi żelazną obrozę, a wszyscy byli połączeni łańcuchem, którego ogniwa kołysały się między nimi z rytmicznym dźwiękiem. Drugi wybuch rozległ się od strony tej samej skały i przypomniał mi nagle ów statek wojenny, któremu się przypatrywałem, gdy strzelał w głąb kontynentu. Był to ten sam rodzaj złowieszczego huk; ale tych ludzi żadną miarą nie można było nazwać nieprzyjaciółmi — nawet przy największym wysiłku wyobraźni. Nazwano ich zatem zbrodniarzami, a pogwałcone przez nich prawo, tak jak i pękające pociski, przybyły zza morza — niezbadane, tajemnicze. Wychudłe piersi Murzynów dyszały razem, rozdęte gwałtownie nozdrza drgały, oczy patrzyły kamiennym wzrokiem w górę przed siebie. Przeszli o sześć cali ode mnie, nie rzuciwszy mi nawet spojrzenia, z zupełną, śmiertelną obojętnością dzikich, którzy są nieszczęśliwi. W ślad za tym surowym materiałem jeden z nawróconych krajowców — rezultat działania nowych sił — włókł się zgnębiony, trzymając przez środek strzelbę. Miał na sobie mundurową kurtkę, u której brakowało guzika, i spostrzegłszy na ścieżce białego, podniósł z pośpiechem broń na ramię. Była to zwykła ostrożność; nie mógł poznać od razu, kim jestem, ponieważ biali są na dystans bardzo do siebie podobni. Uspokoił się szybko i wykrzywił twarz, pokazując białe zęby w szerokim,

łotrowskim uśmiechu, przy czym ogarnął spojrzeniem powierzonych mu ludzi, jakby poczuwał się ze mną do koleżeństwa w pełnieniu wzniosłych obowiązków. Przecież ja byłem również częścią wielkiej przyczyny, wywołującej to wyższe i sprawiedliwe postępowanie.

— Zamiast iść w górę, odwróciłem się i zacząłem schodzić na lewo. Chciałem, aby ci więźniowie, skuci łańcuchem, zniknęli mi z oczu, zanim znów zaczną się wspinać. Wiecie, że specjalnie czuły nie jestem; wypadło mi nieraz i zadawać ciosy, i odpierać je. Czasem musiałem się bronić, a czasem atakować — co jest tylko pewną formą obrony — nie zastanawiając się wiele, zgodnie z wymaganiami życia, w jakie wdepnąłem. Widywałem szatana przemocy i szatana chciwości, i szatana pożądlivości; ale, na Boga! byli to silni, jurni szatani o ognistych ślepiach, którzy rządzą i powodowali ludźmi — ludźmi, mówię wam. Lecz stojąc tam na zboczu wzgórza, poczułem, że pod oślepiającym blaskiem słońca w tym kraju zapoznałem się z rozlazłym, kłamliwym, bladookim diabłem, opiekunem drapieżnej i bezlitosnej głupoty. Jak chytrym umiał być także, przekonałem się dopiero po kilku miesiącach i o tysiąc mil dalej. — Zatrzymałem się, przerażony, jak gdyby mię ktoś ostrzegł. Wreszcie zacząłem schodzić na ukos ze wzgórza, kierując się ku drzewom, które przedtem widziałem.

— Obszedłem wielką dziurę, wykopaną przez kogoś na zboczu w celu niemożliwym do przeniknięcia. Nie wyglądała w każdym razie ani na kamieniołom, ani na jamę, z której wybrano piasek. Była to po prostu dziura. Może miała coś wspólnego z filantropijnym zamiarem, aby dostarczyć zbrodniarzom jakiegoś zajęcia. Nie wiem. Potem znów o mało co nie wpadłem do bardzo wąskiej szczeliny, wyglądającej na zboczu jak nieznaczna blizna. Odkryłem, że wrzucono tam całe mnóstwo rur sprowadzonych dla zdrenowania osady. Potłukły się co do jednej. Był to objaw rozpasanego niszcycielstwa.

— Dotarłem wreszcie do drzew. Zamierzałem powąłęsać się trochę w ich cieniu; ale ledwie się tam znalazłem, wydało mi się, że przestąpiłem ponury krąg jakiegoś In-

ferno. Wartkie prądy pobliskiej rzeki wytwarzały nieustanny, jednostajny, ślepy, gwałtowny hałas, przepelniający tajemniczym rytmem żalobny spokój gaju, jak gdyby szarpiący krok rozpędzonej ziemi stał się nagle słyszalny wśród drzew, gdzie się nie czuło najłżejszego powiewu, gdzie nie drgnął żaden listek.

— Czarne kształty czołgały się, leżały, siedziały między drzewami, opierając się o pnie, tuliły się do ziemi — to widzialne, to przesłonięte mętym półmrokiem — we wszelkich możliwych pozach wyrażających ból, zgnębienie i rozpacz. Wybuch miny w skale dał się znów słyszeć i ziemia wzdrygnęła się lekko pod mymi nogami. Praca posuwała się naprzód. Praca! A tutaj było miejsce, gdzie niektórzy jej wykonawcy usunęli się, aby umrzeć.

— Umierali powoli — to nie ulegało wątpliwości. Nie byli nieprzyjaciółmi, nie byli zbrodniarzami, nie zostało w nich już nic ziemskiego — były to tylko czarne cienie choroby i głodu, leżące bezwładnie w zielonawym mroku. Ściągnięci ze wszystkich zakątków wybrzeża na podstawie legalnych kontraktów, rzućeni w nieodpowiednie warunki, żywieni nieodpowiednią strawą — osłabli, stali się niezdolni do pracy; pozwolono im wreszcie odpelznąć i wypoczywać. Te konające postacie były wolne jak powietrze — i prawie równie niematerialne. Zacząłem rozróżniać połysk oczu pod drzewami. Potem, spojrzawszy w dół, zobaczyłem twarz tuż koło mej ręki. Czarny szkielec leżał wyciągnięty na ziemi, opierając się ramieniem o drzewo; powieki jego podniosły się zwolna i zapadłe oczy spojrzwały na mnie, olbrzymie i nieprzytomne — w głębi orbit zatliło się jakby ślepe, białe światelko i gasło powoli. Ów człowiek wyglądał na młodego — był to prawie chłopiec — ale wiecie, że trudno się w nich połapać. Nie miałem pojęcia, co bym mógł zrobić dla niego, i tylko podałem mu suchar ofiarowany mi na okręcie przez zacnego Szweda. Palce biedaka zamknęły się powoli wkoło suchara i trzymały go — był to ostatni ruch, który dostrzegłem, ostatnie spojrzenie. Naokoło szyi miał zawiązane pasemko białej wełnianej przędzy. Dlaczego? Skąd je wydostał? Czy to był jakiś znak szczególny — czy ozdoba —

czy amulet — czy akt błagalny? Czy była w ogóle jakaś myśl z tym związana? Ta odrobina białej przędzy zza mórz wyglądała dziwnie niepokojąco na czarnej szyi.

— Niedaleko tego samego drzewa jeszcze dwie wiązki kątów ostrych siedziały z podciągniętymi nogami. Jeden z tych Murzynów oparł brodę o kolana, patrząc w próżnię w przerażający, nieznośny sposób; bratnia jego mara podtrzymywała sobie czoło, jakby owładnięta wielkim znużeniem; inne jeszcze były rozrzucone wokół, poskręcane we wszelkich możliwych pozach, pełnych wyczerpania, jak na obrazie rzezi lub moru. Gdy stałem, porażony zgrozą, jedna z tych istot zwlokła się na ręce i kolana i popęzła na czworakach w stronę rzeki, aby się napić. Chłęptała wodę z dłoni, potem usiadła na słońcu, skrzyżowawszy przed sobą piszczele, a w chwilę później wełnista jej głowa opadła na piersi.

— Miałem już dosyć tego wałęsania się w cieniu i pośpieszyłem ku stacji. W pobliżu zabudowań spotkałem białego, ubranego z tak nieoczekiwaną elegancją, że w pierwszej chwili wziąłem go za coś w rodzaju wizji. Zobaczyłem wysoki, nakrochmalony kołnierzyk, białe mankiety, lekką alpagową kurtkę, śnieżne spodnie, jasny krawat i lakierki. Kapelusza nie miał. Włosy jego były rozdzielone, wyczesane i wypomadowane, a w dużej białej ręce niósł parasol z zieloną podszewką. Był zdumiewający; za jego uchem tkwiło pióro.

— Uścisnąłem dłoń temu cudowi i dowiedziałem się, że to jest główny buchalter spółki i że całą księgowość prowadzi się właśnie na tej stacji. Powiedział, iż wyszedł tylko na chwilę, aby „odetchnąć świeżym powietrzem“. To wyrażenie brzmiało bardzo dziwacznie, budząc asocjacje biurowego, siedzącego życia. Nie byłbym wam wcale wspomniał o tym urzędniku, ale z jego ust usłyszałem po raz pierwszy nazwisko agenta, który tak nierozzerwalnie się łączy z moimi wspomnieniami z tego okresu. A przy tym czułem dla tego faceta szacunek. Tak; czułem szacunek dla jego kołnierzyków, szerokich mankietów, wyczesanej czupryny. Wyglądał niewątpliwie jak lalka od fryzjera, ale wśród wielkiego rozprężenia w całym kraju

dbał o swą powierzchowność. To się nazywa trzymać fason. Jego nakrochmalone kołnierzyki i gorsy od koszul były wynikiem siły charakteru. Bawił tu już blisko trzy lata; i nie mogłem się kiedyś powstrzymać od zapytania, skąd wystraszał taką bieliznę? Zaczerwienił się leciutko i rzekł skromnie:

— „Wyuczylem jedną z tutejszych kobiet, kręcących się przy stacji. To było trudne. Nie smakowała jej ta robota“.

— Takim sposobem człowiek ten rzeczywiście czegoś dokazał. A przy tym był szczerze oddany swoim księgom, które utrzymywał we wzorowym porządku.

— Poza tym wszystko na stacji było w nieładzie — głowy, rzeczy, budynki. Długie sznury pokrytych kurzem Murzynów o płaskich stopach przybywały i odchodziły; potok wszelakiej manufaktury, lichych perkali, paciorków i miedzianego drutu odpływał w głąb ciemności, skąd sączyła się w zamian drogocenna kość słoniowa.

— Musiałem czekać na stacji przez dziesięć dni — całą wieczność. Mieszkałem w chacie na dziedzińcu, ale żeby się wyrwać czasem z tego chaosu, zawadzałem o biuro buchaltera. Zbudowane było z poziomych desek tak licho dopasowanych, że gdy buchalter pochylał się nad wysokim swoim pulpitem, poprzekreślany był od stóp do głów wąskimi paskami światła. W pokoju było jasno bez otwierania wielkiej okiennicy. Przy tym panował tam upał; wielkie muchy brzęczały szatańsko i nie kłuły, lecz raniły. Siadywałem zwykle na podłodze, podczas gdy buchalter o nieskazitelnej powierzchowności (nieco nawet uperfumowany) sterczał na wysokim stołku i pisał, pisał. Czasem wstawał, aby rozprostować kości. Gdy wtaczano łóżko na kółkach z chorym (jakimś agentem, który zasłabł w okolicach górnej rzeki), przejawiał lekkie rozdrażnienie.

— „Jęki chorego“ — mówił — „rozpraszają moją uwagę. A bez tego niezmiernie jest trudno ustrzec się błędów w tym klimacie“.

— Pewnego dnia zauważył, nie podnosząc głowy:

— „Tam w głębi kraju spotka się pan z pewnością z Kurtzem“. Gdy zapytałem, kim jest Kurtz, odrzekł, że to jeden z głównych agentów; spostrzegłszy, iż ta infor-

macja rozczarowała mnie, dodał powoli, odkładając pióro: „Bardzo wybitny człowiek“. Dowiedziałem się dalej od niego, że Kurtz jest kierownikiem handlowej stacji, bardzo ważnej stacji, we właściwym kraju kości słoniowej, w samym centrum. Przysyła tyle kości słoniowej, co wszyscy inni razem wzięci...

— Zaczął znów pisać. Z chorym było tak źle, że nawet nie jęczał. Muchy bzykały wśród wielkiego spokoju.

— Nagle usłyszałem wzrastający gwar i głośny tupot kroków. Przybyła karawana. Gwałtowny bełkot, złożony z dziwacznych dźwięków, wybuchnął po drugiej stronie desek. Wszyscy tragarze mówili jednocześnie, a wśród tego hałasu rozległ się żalostny głos głównego agenta, który wołał po raz dwudziesty tego dnia, że „ma już tego dosyć...“ Wstał powoli z krzesła.

— „Cóż to za okropny hałas“ — powiedział. Przeszedł po cichu przez pokój, aby spojrzeć na chorego, i rzekł do mnie wracając: „On nie słyszy“.

— „Jak to, umarł?“ — spytałem przestraszony.

— „Nie, jeszcze nie“ — odrzekł z wielkim spokojem. Potem dodał, kiwnąwszy głową w stronę zgiełku na dziedzińcu: „Kiedy człowiek musi wciągać jak się należy pozycje, zaczyna czuć do tych dzikich nienawiść — śmiertelną nienawiść“. Zamyślił się na chwilę. „Jak pan zobaczy Kurtza“, ciągnął dalej — „niech mu pan powie ode mnie, że wszystko tutaj“ — spojrzął na pulpit — „jest w zupełnym porządku. Nie lubię pisać do niego — z tymi naszymi posłańcami nie wiadomo nigdy, komu list może się dostać — tam na tej stacji centralnej“. Patrzył we mnie przez chwilę łagodnymi, wypukłymi oczyma. „O, ten to zajdzie daleko, bardzo daleko“ — zaczął znów. „Zajmie wkrótce ważne stanowisko w administracji. Postanowili tak ci u góry — rada spółki w Europie, rozumie pan“.

— Zabrał się znów do pracy. Hałas na zewnątrz ustał; wychodząc z chaty zatrzymałem się na progu. Wśród spokojnego brzęczenia much agent, wracający do kraju, leżał czerwony i nieczuły na wszystko; drugi zaś, pochylony nad swymi księgami, wciągał poprawnie pozycje różnych idealnie poprawnych transakcyj; a czterdzieści stóp

poniżej progu chaty widać było nieruchome wierzchołki drzew z gaju śmierci.

— Następnego dnia opuściłem nareszcie stację razem z karawaną, złożoną z sześćdziesięciu ludzi, wyruszając na dwustomilowy marsz piechotą.

— Nie warto rozwodzić się nad tym. Wszędzie ścieżki i ścieżki; wydeptana sieć ścieżek, snujących się po pustym kraju przez wysoką trawę, przez spaloną trawę, przez gąszcz, na dół i w górę przez chłodne wąwozy, w górę i na dół po kamienistych pagórkach rozprażonych przez upał; a przy tym samotność, zupełna samotność — niktogo, ani jednej chaty. Ludność wyniosła się stamtąd już dawno. Gdyby tak cała masa tajemniczych Murzynów, uzbrojonych w straszliwy oreż wszelakiego rodzaju, zaczęła nagle podróżować drogą między Deal a Gravesend, łapiąc parobków na prawo i lewo do dźwigania ciężkich juk, wyobrażam sobie, że każdy folwark i każda wieś w tych okolicach opróżniłyby się bardzo szybko. Ale tutaj i zabudowania znikły również. Przechodziłem jednak przez kilka opuszczonych wsi. Jest coś wzruszająco dziecinnego w ruinach ścian z trawy. Dzień po dniu słyszałem za sobą tupot i szelest sześćdziesięciu par bosych nóg, a każda para dźwigała sześćdziesięciofuntowy ciężar. Rozbijanie obozu, gotowanie, sen, zwijanie obozu, marsz. Od czasu do czasu znajdowaliśmy Murzyna, spoczywającego w wysokiej trawie blisko ścieżki — tragarza, który padł martwy w uprzęży, a obok niego pustą tykwę na wodę i długą kij. Wielka cisza naokoło nas i w górze. Niekiedy wśród spokojnej nocy drganie dalekich bębnow, to wznoszące się, to opadające, drganie rozległe i słabe; dźwięk dziwaczny, pociągający, wymowny i dziki — o znaczeniu może równie głębokim jak dźwięk dzwonów w kraju chrześcijańskim.

— Spotkaliśmy raz białego w rozpiętym mundurze, obozującego na ścieżce ze zbrojną eskortą, złożoną z wychudłych Zanzibarczyków; bardzo był gościnnie i podochocony — żeby nie powiedzieć pijany. Oświadczył, że pilnuje porządku na drogach. Nie mogę powiedzieć, abym widział jaką drogę lub jakikolwiek porządek, chyba że

ciało Murzyna w średnim wieku — z dziurą od kuli w czole — o które dosłownie potknąłem się trzy mile dalej, można uznać za trwale zaprowadzenie porządku.

— Podróżował ze mną także pewien biały, niezły sobie człowiek, ale nieco zbyt otyły; miał przy tym nieznośny zwyczaj: mdlał na rozpalonych zboczach, w odległości cacych mil od najmniejszego skrawka cienia i od wody. Przyznacie, że można się czuć rozdrażnionym, kiedy trzeba trzymać własną marynarkę niby parasol nad czyjąś głową, póki ten ktoś nie przyjdzie do siebie. Nie mogłem się raz powstrzymać od zapytania, po co on się tu w ogóle wybrał.

— „Żeby zrobić pieniądze, naturalnie. A cóż pan sobie myśli?“ — odrzekł pogardliwie.

— Potem dostał gorączki i trzeba go było nieść w hamaku, zawieszonym na tyce. Ponieważ ważył dwieście dwadzieścia cztery funty, miałem ciągle awantury z tragarzami. Narowili się, uciekali, wymykali się ze swymi jukami w ciemność — coś zupełnie podobnego do buntu. Tedy pewnego wieczoru wyciąłem do nich po angielsku mowę z gestami, z których ani jeden nie uszedł sześćdziesięciu parom oczu, patrzących we mnie, i następnego dnia wyprawilem hamak jak się patrzy na czele karawany. W godzinę później natknąłem się na ten cały interes porzucony w krzakach — na mego towarzysza, hamak, jęki, kołdry, przerażenie. Ciężka tyka zdarła mu skórę z biednego nosa. Nalegał usilnie, abym kogoś zabił, ale w pobliżu nie było ani śladu tragarza. Przypomniałem sobie starego doktora: „Z punktu widzenia nauki byłoby ciekawym śledzić na miejscu zmiany psychiczne, zachodzące w jednostkach“. Czułem, że staję się interesującym dla nauki. Ale to nie należy do rzeczy.

— Piętnastego dnia ujrzałem znów wielką rzekę i dowlókłem się, kulejąc, do stacji centralnej. Znajdowała się nad małą zatoczką, wśród krzewów i lasu; z jednej strony przylegało do niej miłe, woniejące bagno, z trzech pozostałych była otoczona popękany płótnem z sitowia. Zaniedbany otwór w płócie stanowił jedyną bramę i wy-

starczało rzucić okiem, aby się przekonać, że to rozlazły diabeł tu włada. Biali ludzie z długimi kijami w ręku wysunęli się ospale spośród budynków, przywlekli się, aby na mnie spojrzeć, i znikli z widoku. Jeden z nich, tęgi, porywczy facet o czarnych wąsach, dowiedziawszy się kim jestem, poinformował mię bardzo potoczyście, odbiegając często od tematu, że parowiec mój znajduje się na dnie rzeki. Spiorunowała mię ta wiadomość. Co? Jak to, dlaczego? O, „wszystko w porządku“. „Sam dyrektor“ był przy tym. Nie ma pola do zadnych zarzutów. „Wszyscy zachowali się wspaniale, wspaniale! Musi pan pójść i zobaczyć się natychmiast z głównym dyrektorem“ — ciągnął podniecony. — „On czeka na pana!“

— Nie od razu zrozumiałem właściwe znaczenie tego rozbicia. Mam wrażenie, że już teraz rozumiem, ale pewny nie jestem — bynajmniej. Kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że ten wypadek był naprawdę zbyt niedorzeczny, aby być zupełnie naturalnym. A jednak... ale w owej chwili wyglądał po prostu jak jakaś przekłęta przeszkoda. Parowiec zatonął. Przed dwoma dniami wyruszyli w nagłym pośpiechu w górę rzeki z dyrektorem na pokładzie, pod komendą jakiegoś ochotniczego kapitana, i zanim upłynęły trzy godziny, wybili o kamienie dno statku, który zatonął przy południowym brzegu.

— Zapytałem siebie, co tu mam właściwie do roboty, teraz gdy statek mój przepadł. A w rzeczywistości czekała moc pracy przy wyławianiu z rzeki mego dowództwa. Musiałem wziąć się do tego zaraz na drugi dzień. Wydobycie statku, a potem naprawa, gdy już sprowadziłem na stację wszystkie części parowca, trwały kilka miesięcy.

— Pierwsza moja rozmowa z dyrektorem była ciekawa. Nie poprosił wcale, abym usiadł, choć przeszedłem tego ranka dwadzieścia mil. Miał pospolitą cerę, pospolite rysy, maniery i głos. Wzrostu był średniego, budowy przeciętnej. Jego oczy, zwykłego niebieskiego koloru, były zapewne szczególnie zimne, a spojrzenie — gdy chciał — spadało na człowieka ostre i ciężkie jak topór. Ale nawet i wówczas reszta jego osoby zdawała się temu przeczyć. Tylko na jego ustach błędził jakiś nieokreślony, nikły wy-

raz — coś ukradkowego — uśmiech, nie uśmiech; pamiętam go, ale nie umiem wytłumaczyć. Ten uśmiech był nieświadomy, choć stawał się wyraźniejszym na chwilę, gdy dyrektor coś kończył mówić. Zjawiał się jak pieczęć przyłożona do słów, aby znaczenie najzwyczajszego zdania uczynić zupełnie nieprzeniknionym. Ów dyrektor, był to zwykły sobie kupiec, pracujący od dzieciństwa w tych okolicach — i nic więcej. Słuchano go, ale nie wzbudzał ani przywiązania, ani trwogi, ani nawet szacunku. Wzbudzał niepokój. Otóż to właśnie! Niepokój. Nie było to wyraźne niedowierzanie — po prostu niepokój, nic więcej. Nie macie pojęcia, jak skuteczną może się stać taka... taka... właściwość. Nie miał zmysłu organizacyjnego ani inicjatywy, ani nawet zamiłowania do ładu. Wychodziło to na jaw w takich rzeczach, jak na przykład oplakany stan stacji. Nie był wykształcony, nie był inteligentny. Dlaczego dostał się na swoje stanowisko? Może dlatego, że nigdy nie chorował... Przesłużył w tamtych okolicach trzy okresy po trzy lata... Dlatego, że świetne zdrowie wśród ogólnego pogromu organizmów jest już samo przez się rodzajem potęgi. Gdy udawał się do kraju na urlop, hulał wystawnie — na wielką skalę. Niby marynarz na urlopie — z pewną jednak różnicą — czysto zewnętrzną. Można było się tego domyśleć z jego przygodnych opowiadań. Nie potrafił nic stworzyć, umiał tylko trzymać się rutyny — i to wszystko. Ale był wielki. Był wielki dzięki drobnej rzeczy, polegającej na tym, że nie podobna było dociec, co może mieć władzę nad takim człowiekiem. Nie zdradził nigdy tej tajemnicy. A może nie tkwiło w nim po prostu nic. Takie podejrzenie trzymało człowieka w szachu — bo zewnętrznych hamulców nie było. Raz, kiedy przeróżne tropikalne choroby położyły prawie wszystkich „agentów“ na stacji, usłyszano, jak dyrektor mówił:

— „Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, nie powinni mieć wewnątrzności“.

— Przypieczętował właściwym sobie uśmiechem tę enuncjację, jakby to były drzwi otwierające się na ciemność, przy których pełnił funkcję odźwiernego. Zdawało się człowiekowi, że coś ujrzał — ale leżała na tym pie-

częć. Gdy mu dokuczyły ustawiczne kłótnie białych o pierwszeństwo przy stole, kazał zrobić olbrzymi, okrągły stół, dla którego trzeba było oddzielny dom zbudować. Była to jadalnia stacji. Tam gdzie siedział dyrektor, znajdowało się pierwsze miejsce — reszta się nie liczyła. Czuliło się, że to niezłomne jego przekonanie. Nie był ani uprzejmy, ani nieuprzejmy. Był spokojny. Pozwalał, aby jego „boy“ — spasiony młody Murzyn z wybrzeża — traktował białych w jego obecności z wyzywającą zuchwałością.

— Zobaczywszy mnie dyrektor zaczął natychmiast mówić. Moja podróż przeciągnęła się bardzo długo. Nie mógł już czekać. Musiał wyruszyć beze mnie. Trzeba było zluzować ludzi na stacjach położonych wyżej nad rzeką. Tak długo się już zwlekało, że nie wiadomo, kto umarł, a kto żyje, jak tam sobie radzą — i tak dalej, i tak dalej. Nie zwracał uwagi na moje wyjaśnienia i bawiąc się laską wosku, powtórzył kilka razy, że sytuacja jest „bardzo, bardzo groźna“. Rozeszły się pogłoski, iż bardzo ważna stacja znajduje się w niebezpieczeństwie, a jej kierownik, Kurtz, leży chory. Dyrektor ma nadzieję, że to nieprawda. Kurtz jest... Czulem się zmęczony i zirytowany. Do diabła z tym Kurtzem! Przerwałem oświadczając, że słyszałem już o tym Kurtzu na wybrzeżu.

— „Ach tak! więc mówią tam o nim“ — szepnął sam do siebie. — Po chwili milczenia ciągnął znów dalej, zapewniając mnie, że Kurtz jest najlepszym jego agentem, że jest to człowiek wyjątkowy, na którym towarzystwu jak najbardziej zależy; toteż rozumiem chyba jego niepokój — dyrektora. Jest bardzo, ale to bardzo niespokojny. I rzeczywiście wiercił się wciąż na krześle, wykrzykując: „Ach, ten Kurtz!“ aż wreszcie laska wosku złamała mu się w rękach, co wprawiło go jakby w osłupienie. Następnie zażądał ode mnie informacji „ile czasu potrzeba, ażeby...“ Przerwałem mu znowu. Widzicie, byłem głodny, a że w dodatku nie proszono mnie, bym usiadł, więc zaczynałem się wściekać.

— „Skądże mam wiedzieć?“ — odrzekłem. — „Jeszcze nawet nie widziałem tego statku. Zapewne kilka miesięcy“.

— Cała ta gadanina wydawała mi się zupełnie jałową.

— „Kilka miesięcy“ — powtórzył. — „No, dobrze, powiedzmy trzy miesiące, zanim będziemy mogli wyruszyć. Tak. To powinno wystarczyć“.

— Wypadłem z jego chaty (mieszkał sam jeden w glinianej lepiance, przy której było coś w rodzaju werandy), mrucząc pod nosem, co o nim myślę. Gadatliwy idiota! Potem zmieniłem zdanie, uprzytomniwszy sobie z lękiem, jak dokładnie ocenił czas, potrzebny na tę „historię“.

— Następnego dnia wziąłem się do pracy, odwróciwszy się tyłem, że tak powiem, do stacji. Wydało mi się, że jedynie w ten sposób pozostanę w kontakcie ze zbawiennymi faktami życia. Jednak trzeba było się czasem rozejrzeć i wówczas widziałem tę stację, tych ludzi, walących się bez celu po dziedzińcu w blasku słońca. Zapytywałem siebie niekiedy, co to wszystko ma znaczyć. Wędrowali tu i tam ze swymi idiotycznymi, długimi kijami w rękę, jak banda niewiernych pielgrzymów, zaczarowanych w obrębie zbutwiałego płotu. Słowo „kość słoniowa“ rozlegało się w powietrzu, rozchodziło się szeptem, ulatywało jak westchnienie. Można było pomyśleć, że się do niego modlą. Zaraza głupiej chciwości przenikała to wszystko jak trupi zapach. Słowo daję, nie widziałem jeszcze nigdy w życiu czegoś równie nierealnego. A głucha dzicz, otaczająca tę polankę, uderzyła mnie jak jakaś niezwykła wielkość — zło czy prawda — czekająca cierpliwie na zniknięcie bezsensownej inwazji.

— Och, te miesiące! No, mniejsza z tym. Wydarzyły się w tym czasie różne rzeczy. Pewnego wieczoru szopa z trawy, pełna kretonu, perkali, paciorków i nie wiem już czego, buchnęła płomieniem tak nagle, iż można było pomyśleć, że ziemia się rozstąpiła, aby pozwolić mściwemu ogniewi pochłonąć wszystkie te śmieci. Palilem spokojnie fajkę obok mego ogołoconego parowca i patrzyłem na nich wszystkich, jak fikaliby w świetle ognia z podniesionymi wysoko ramionami; wtem ów tęgi człowiek o czarnych wąsach nadbiegł, pędząc ku rzece z blaszanym wiadrzem w rękę, zapewnił mi, że „wszyscy się zachowują wspaniale, wspaniale“, nabrał mniej więcej kwartę wody i popędził

z powrotem. Spozstrzegłem, że dno jego wiadra jest dziurawe.

— Poszedłem z wolna ku szopie. Pośpiech był zbyteczny. Uważacie, zajęło się to jak pudełko zapalek. Rzecz była przesądzona od samego początku. Płomienie skoczyły wysoko, odepchnęły wszystkich, oświetliły wszystko — i zapadły się. Szopa była już kupą rozżarzonych węgli. Niedaleko chłostano Murzyna. Powiedzieli mi, że to on ogień wywołał w jakiś tam sposób; tak czy owak, wrzeszczał najokropniej. Widywałem go później przez kilka dni, siedzącego w skrawku cienia; wyglądał na bardzo chorego i usiłował się wylizać; wreszcie wstał i odszedł — a dzicz przyjęła go bezgłośnie z powrotem na swoje łono.

— Gdy wyszedłem z ciemności, podszedłem do żarzących się zgliszcz, znalazłem się za plecami dwóch ludzi, którzy z sobą rozmawiali. Usłyszałem nazwisko Kurtza, a potem słowa: „...wyciągnąć korzyść z tego nieszczęśliwego wypadku“. Jednym z tych ludzi był dyrektor. Powiedziałem mu dobry wieczór.

— „No widział pan kiedy coś podobnego? to nie do wiary“ — rzekł i odszedł.

— Drugi pozostał. Był to jeden z głównych agentów, człowiek młody, elegancki, o obejściu dość powściągliwym; miał małą, rozwidloną bródkę i haczykowany nos. Traktował z wysoka innych agentów, którzy ze swej strony twierdzili, że odgrywa rolę szpiega przy dyrektorze. Co do mnie, nigdy prawie przedtem z nim nie mówiłem. Rozgadaliśmy się i po pewnym czasie odeszliśmy z wolna od syczących zgliszcz. Zaprosił mi do swego pokoju, który znajdował się w głównym stacyjnym budynku. Gdy potarł zapalną, spostrzegłem, że ten młody arystokrata posiada nie tylko neseser ze srebrnymi toaletowymi przybarami, ale i całą świecę. W owym czasie panowało przekonanie, że tylko dyrektor ma prawo do świec. Gliniane ściany były pokryte krajowymi matami; zbiór dzid, włóczni, tarcz i noży wisiał jako trofea. Owemu agentowi powierzono wyrób cegieł — przynajmniej tak mię poinformowano; ale na całej stacji nie było ani kawałeczka cegły, a on siedział tu już przeszło rok — i czekał. Podobno do fa-

brykacji cegieł brakowało mu czegoś — nie wiem dobrze czego, może słomy. W każdym razie nie można było tam tego dostać, a ponieważ nie zachodziło prawdopodobieństwo, że przyślą to z Europy, nie rozumiałem dobrze, na co ten człowiek właściwie czeka. Może na jakiś specjalny akt stworzenia. A jednak oni wszyscy na coś czekali — ci pielgrzymi w liczbie szesnastu czy dwudziestu; i dalibóg, nie wyglądało to wcale na nieprzyjemne zajęcia, sądząc ze sposobu, w jaki to wnosili — choć spotykała ich tylko choroba, o ile mogłem osądzić. Skracali sobie czas, obmawiając się nawzajem i knując przeciw sobie intrygi w głupi sposób. Wyglądało na to, że wszyscy spiskują, ale nic z tego naturalnie nie wynikało. To spiskowanie było równie nierealne jak wszystko — jak filantropijne pozory całego przedsiębiorstwa, jak gadanina tych ludzi, jak ich zarząd, jak udawanie przez nich pracy. Jedynym ich szczerym uczuciem było pragnienie, aby się dostać na handlową stację, gdzieby można dobrać się do kości słoniowej i zarabiać na prowizjach. Intrygowali i spotwarzali się, i nienawidzili wzajemnie tylko z tego powodu, ale w gruncie rzeczy nie umieli skutecznie nawet kiwnąć palcem. Dalibóg, coś w tym jest jednak, że jednemu świat pozwala ukraść konia, a drugiemu nie wolno nawet spojrzeć na postronek. Weźmie taki i ukradnie konia. Bardzo pięknie. Zrobił to. Może umie jeździć konno. Ale jest pewien rodzaj przyglądania się postronkowi, który i najlitościwszego ze świętych doprowadziłby do kopnięcia.

— Nie miałem wyobrażenia, dlaczego ów agent wysła się na rozmowę, ale gdyśmy tak gawędzili, przyszło mi nagle na myśl, że chce coś ze mnie wyciągnąć — że po prostu bierze mię na spytki. Napomykał ciągle o Europie, o ludziach, których znajomość mi przypisywał — zadawał mi chytre pytania co do mych stosunków w „grobowym mieście“ i tak dalej. Jego małe oczka polyskiwały ciekawością jak dwa kółeczka z miki — choć usiłował się zachowywać dość wyniośle. Z początku tylko mię to dziwiło, ale wkrótce ogarnęła mnie szalona ciekawość, jakie wiadomości ze mnie wyciągnie. Nie mogłem zrozumieć, co we mnie jest takiego, że ten człowiek zadaje sobie tyle

trudu. Bardzo było zabawnie patrzeć, jak on sam się bierze na kawał, gdyż faktycznie nic we mnie nie było prócz dreszczów, a w głowie miałem jedynie ten nieszczęsny parowiec. Agent brał mię najwidoczniej za bezwstydnego krętacza. W końcu zirytował się i udał, że ziewa, aby ukryć odruch wściekłego rozdrażnienia. Wstałem z miejsca. Zauważyłem mały szkiełko olejny na drzewie, przedstawiający kobietę w udrapowanej szacie, z zawiązanymi oczyma, niosącą zapaloną pochodnię. Tło było ciemne — prawie czarne. Ruch kobiety był majestatyczny, a blask pochodni oświetlał ponuro jej twarz.

— Zatrzymał mię ten obrazek, a agent stał uprzejmie koło mnie, trzymając pustą, półlitrową butelkę szampana (środek leczniczy) z wetkniętą w szyjkę świecą. Na moje zapytanie odpowiedział, że namalował to Kurtz — na tej samej stacji, przeszło rok temu — czekając sposobności, aby się udać na swoją handlową placówkę.

— „Niechże mi pan powie“ — zapytałem — „kto to jest ten Kurtz?“

— „Kierownik stacji w głębi kraju“ — odrzekł zwięźle, odwracając oczy.

— „Bardzo panu dziękuję“ — odpowiedziałem ze śmiechem. — „A pan jest fabrykantem cegły na stacji centralnej. Każdy to wie“.

— Milczał przez chwilę.

— „To nadzwyczajny człowiek“ — rzekł w końcu. — „On jest wysłańcem miłosierdzia i nauki, i postępu, i diabli wiedzą czego tam jeszcze. Dla prowadzenia sprawy — że się tak wyrażę — powierzonej nam przez Europę“ — zaczął nagle deklamować — „potrzebujemy wyższej inteligencji, wszechogarniającego współczucia, zupełnego oddania się celowi“.

— „Któż to mówi?“ — zapytałem.

— „Całe mnóstwo ludzi“ — odpowiedział. — „Niektórzy z nich nawet to piszą; i właśnie dlatego on tu przybył — ta szczególnie uzdolniona jednostka — o czym powinien pan wiedzieć“.

— „Dlaczego powinienem wiedzieć?“ — przerwałem, szczerze zdziwiony.

— Nie zwrócił na to uwagi.

— „Tak, dzisiaj jest kierownikiem najlepszej stacji, na przyszedł rok będzie zastępcą dyrektora, jeszcze parę lat i... ale sądzę, że pan wie, czym on będzie za jakie dwa lata. Pan należy do tej nowej paczki wyznającej cnotę. Ci sami ludzie, którzy go tu umyślnie przysłali, polecili także i pana. O, niech pan nie zaprzecza. Nie myli mnie świadectwo własnych oczu“.

— Błysnęło mi nagle światło. Wpływowe znajomości mojej kochanej ciotki wywarły nieoczekiwane wrażenie na tym młodzieńcu. O mało co nie parsknąłem śmiechem.

— „Czy pan czytuje poufną korespondencję towarzysztwa?“ — zapytałem.

— Nie potrafił mi odpowiedzieć ani słowa. Bawiłem się cudownie.

— „Gdy Kurtz zostanie głównym dyrektorem“, ciągnąłem surowo, „nie będzie pan miał do tego sposobności“.

— Zdmuchnął nagle świecę i wyszliśmy na dwór. Wstał księżyc. Czarne postacie wałęsały się wkoło niedbale, lejąc wodę na rozżarzone węgle, od których rozchodził się syk; para wznosiła się w księżycowym blasku; zbity Murzyn gdzieś jęczał.

— „Co za hałas wyprawia to bydło!“ — rzekł niezmordowany człowiek z wąsami, ukazując się koło nas. — „Do-brze mu tak. Przestępstwo — kara — łupu cupu! Bez litości, bez litości. To jedyny sposób. Na przyszłość połóż to kres wszystkim pożarom. Mówiłem właśnie dyrektorowi...“ Zauważył mego towarzysza, co natychmiast zbiło go z tropu. — „Pan jeszcze nie w łóżku?“ — rzekł z pewnego rodzaju służalczą serdecznością — „to takie naturalne. Ha! Niebezpieczeństwo — niepokój“.

— Znikł. Zmierzalem w dalszym ciągu ku rzece, a ten drugi szedł za mną. Usłyszałem koło ucha pogardliwy szept:

— „Stado fuszerów — pal ich lichy“.

— Widać było, jak pielgrzymi stoją grupkami i rajują gestykując. Niektórzy z nich mieli jeszcze w ręku swe

kije. Myślę doprawdy, że brali je z sobą do łóżka. Za płotem stał las, widmowy w blasku księżyca, a skroś mętny ruch, skroś słabe odgłosy tego nędznego dziedzińca, cisza kraju przenikała do duszy — jego tajemnica, jego wielkość, zdumiewająca rzeczywistość jego ukrytego życia. Ranny Murzyn pojękiwał słabo gdzieś w pobliżu i nagle westchnął głęboko; przyspieszyłem kroku, aby się czym prędzej oddalić. Poczulem, że czyjaś ręka wsuwa mi się pod ramię.

— „Drogi panie“ — rzekł agent — „nie chcę być źle zrozumiany, szczególnie przez pana, bo pan zobaczy się z Kurtzem długo przedtem, nim ja będę miał tę przyjemność. Nie chciałbym, aby Kurtz nabrał fałszywego wyobrażenia o moim usposobieniu.“

— Pozwoliłem mówić dalej temu Mefistofelesowi z papier maché i zdawało mi się, że gdybym chciał, mógłbym przebić go palcem i nie znalazłbym w środku nic — chyba może trochę syjącego się brudu. Rozumiecie teraz? Ułożył sobie plan, iż zostanie z czasem zastępcą obecnego dyrektora; wyjaśniło mi się teraz, że przybycie tego Kurtza porządnie im obu krwi napsuło. Mówił z gwałtownym dośpiechem, a ja nie usiłowałem go zatrzymać. Stałem oparty plecami o swój rozbity parowiec, który wyglądał jak trup jakiegoś wielkiego rzecznego zwierzęcia, wyciągnięty na pochyły brzeg. Miałem w nozdrzach woń mułu, pierwotnego mułu, daję słowo! a przed oczami wzniosła ciszę pierwotnego lasu; na czarnej zatoce lśniły świetliste plamy. Księżyc rozpostarł nam wszystkim cienką warstwę srebra — na bujnej trawie, na błocie, na murze skłębionej roślinności, sięgającym wyżej od ścian świątyni, na wielkiej rzece; widziałem przez mroczną szparę, jak błyszcząca i błyszcząca, płynąc bez szmeru rozległym nurtem. Wszystko to było wielkie, wyczekujące, nieme, a ten człowiek paplał o sobie. Zastanawiałem się, czy cisza na obliczu ogromu patrzącego na nas obu oznacza apel czy groźbę. Kimże byliśmy, my dwaj, którzyśmy tu zabłądzili? Czy owdadniemy tą niemą rzeczą, czy też ona nami owdadnie? Czuję, jak wielką, jak piekielnie wielką jest ta rzecz, która mówić nie umie, a może jest także i głucha. Co w

niej jest? Wiedziałem, że trochę kości słoniowej stamtąd się wydostaje i mówiono mi, iż w głębi kraju jest Kurtz. A mówiono mi o tym — Bóg wie ile razy! Ale jakoś to wszystko nie przywodziło mi na myśl żadnego obrazu — tak jakby mi ktoś powiedział, że tam w głębi jest anioł lub diabeł. Wierzyłem temu w taki sam sposób, jakby który z was wierzył, że planeta Mars jest zamieszkała. Znałem raz szkockiego żaglomistrza, który był pewien, był bezwzględnie pewien, że na Marsie są ludzie. Kiedy go zapytywano, jak sobie wyobraża ich wygląd i zachowanie, tracił rezon i mruczał coś o tym, że „chodzą na czworakach”. Jeżeli ktoś się chociażby uśmiechnął, żaglomistrz — który miał już sześćdziesiątkę — wyzywał go na rękę. Nie byłbym się zdobył na to, aby się bić za Kurtza, ale posunąłem się prawie do kłamstwa. Wiecie, że nienawidzę, nie cierpię, nie znoszę kłamstwa, nie dlatego abym był bardziej prawy od reszty ludzi, ale po prostu dlatego, że kłamstwo mnie przeraża. Ma na sobie znamię śmierci, jakąś cechę śmiertelności — która jest właśnie tym, czego nienawidzę i nie cierpię — o czym pragnę zapomnieć. Gdy stykam się z kłamstwem, czuję się fatalnie i robi mi się mdło, zupełnie jakbym wziął do ust coś zgniętego. Przypuszczam, że to kwestia usposobienia. Otóż zbliżyłem się na tyle do kłamstwa, że pozwoliłem, aby ten młody dureń uwierzył we wszystko, co mu się tylko podobało wymyśleć na temat moich wpływów w Europie. W mig stałem się takim samym blagierem jak reszta zaczarowanych pielgrzymów. I to po prostu dlatego. zdawało mi się, że moja błaga dopomoże temu Kurtzowi, którego w owym czasie nie mogłem sobie jeszcze wyobrazić — uważacie. Był dla mnie po prostu słowem. Nie umiałem sobie wystawić człowieka noszącego to nazwisko, tak jak i wy go sobie wystawicie nie możecie. Czy widzicie go? Czy rozumiecie tę całą historię? Czy rozumiecie z tego cośkolwiek? Mam wrażenie, że usiłuję wam opowiedzieć sen — a wysiłek mój jest daremny, ponieważ żadna relacja nie może dać pojęcia o sennych wrażeniach, o tej mieszaninie bezsensu, niespodzianki i oszołomienia wśród dreszczów walki i buntu — o tym poczuciu, że się jest we władzy

niewiarygodnego — poczuciu, które stanowi prawdziwą istotę snu...

Zamilkł na chwilę.

— ...Nie, to niemożliwe; nie podobna dać komuś żywego pojęcia o jakiegokolwiek epoce swego życia — o tym, co stanowi jej prawdę, jej znaczenie — jej subtelną i przejmującą treść. To niemożliwe. Żyjemy tak jak śnimy — samotni...

Urwał znów i jakby się zastanowił, a potem dodał —

— Wy, koledzy, możecie oczywiście z tego więcej zrozumieć, niż ja podówczas. Wy rozumiecie mnie, którego znacie...

Nastąpiła ciemność tak gęsta, że my, słuchacze, z trudem mogliśmy się widzieć. Już od dłuższego czasu Marlow, siedzący oddzielnie, był dla nas tylko głosem. Nikt się nie odezwał. Może tamci pozasypiali, ale ja czuwałem. Słuchałem i słuchałem, czatując na zdanie, na słowo, na jakąś nić przewodnią wśród nieokreślonego niepokoju, wzbudzonego tym opowiadaniem, które jakby kształtowało się samo — bez ludzkich warg — w ciężkim, nocnym powietrzu nad rzeką.

— ...Tak, pozwoliłem mu ciągnąć dalej — zaczął znów Marlow — i puścić cugle wyobraźni na temat wszystkich potęg, które za mną stoją. Zrobiłem to! A za mną nie było nic. Nic prócz tego nędznego, starego, pokiereszowanego parowca, o który się opierałem, podczas gdy tamten rozprawił wymownie, że „jest koniecznym, aby każdy się wybił“.

— „A kiedy człowiek tu przyjedzie, to — przecież pan rozumie — nie po to, aby patrzeć na księżyc“. I ciągnął dalej, że Kurtz jest istotnie „geniuszem uniwersalnym“, lecz nawet geniuszowi łatwiej pracować przy pomocy odpowiednich narzędzi — ludzi inteligentnych. Cegiel wyrabiać nie można — zachodzi tu przeszkoda czysto fizyczna, jak to wiem dobrze; a jeśli on pełni przy dyrektorze funkcję sekretarza, to dlatego, że żaden rozsądny człowiek nie odrzuca lekkomyślnie zaufania swych zwierzchników. Czy to pojmuję? I owszem. A o co mi jeszcze chodzi? Chodzi mi właściwie o nity, na Boga! O nity. Żeby robota

posunęła się naprzód, żeby raz skończyć z tą dziurą. Potrzeba mi nitów. Tam u wybrzeża są pełne ich skrzynie — leżą stosami — pęknięte — rozwalone! Co dwa kroki podrzuca się nogą rozsypane nity — na tym dziedzińcu stacyjnym na zboczach. Nity potoczyły się aż do gaju śmierci. Można sobie zapełnić kieszenie nitami, schyliwszy się tylko po prostu — a tu, gdzie są potrzebne, nie ma ani jednego. Mamy odpowiednie płyty, ale ani jednego nitu, aby je przymocować. — A tymczasem co tydzień posłaniec, samotny Murzyn z torbą od listów na ramieniu i kijem w ręce, wyruszał z naszej stacji na wybrzeże. I kilka razy na tydzień karawana z wybrzeża przybywała z towarami — okropnym, połyskliwym kretonem, na którego sam widok człowiek się wzdrygał, szklanymi paciorkami mniej więcej po pensie kwarta, i zakazanymi chustkami z perkalu w desce. Ale nitów ani śladu. Trzej tragarze byliby mogli przynieść wszystko, czego potrzebowałem do spuszczenia statku na wodę.

— Mówił do mnie coraz poufniej, ale zdaje się, że moja obojętna postawa wreszcie go rozjątrzyła, bo uznał za stosowne mię poinformować, że nie lęka się ani Boga, ani diabła, nie mówiąc już o zwykłym człowieku. Odrzekłem, że to widać od razu, ale że potrzebuję pewnej ilości nitów — i że nity są właśnie tym, czego by Kurtz potrzebował, gdyby tylko wiedział, jak rzeczy stoją. Przecież listy odchodzą co tydzień na wybrzeże...

— „Panie kochany“ — wykrzyknął — „ja piszę, co mi dyktują!“

— Domagałem się nitów w dalszym ciągu. Musi być na to jakiś sposób — dla inteligentnego człowieka. Agent zmienił swój sposób bycia; stał się bardzo zimny, i nagle zaczął mówić o pewnym hipopotamie; dopytywał się, czy nic mi nie przeszkadza spać na parowcu (tkwiłem dzień i noc na wyratowanym statku). Jest w tamtej okolicy stary hipopotam, który ma brzydki zwyczaj wyłażenia na brzeg i błędzenia nocą po gruntach stacji. Pielgrzymi wyruszają tłumnie i palą do niego ze wszystkich strzelb, jakie tylko mają pod ręką. Niektórzy nawet czatują na niego całymi nocami. Ale wszystka ta energia się marnuje.

— „To zwierzę ma jakiś czar przeciw śmierci“ — rzekł; „ale to można powiedzieć tylko o bydłętach w tym kraju. Żaden człowiek — czy pan mię rozumie? — żaden człowiek tutaj nie ma czaru przeciw śmierci“.

— Stał tam przez chwilę w świetle księżycy ze swym cienkim, haczykowatym nosem, trochę krzywo osadzonym, i oczami z miki, błyszczącymi bez ruchu, wreszcie powiedział mi krótko: dobranoc i odszedł wielkim krokiem. Widziałem, że jest zaniepokojony, że nie wie, co ma myśleć, i dzięki temu po raz pierwszy od wielu dni poczułem przypływ nadziei. Rozstawszy się z tym facetem, wróciłem z wielką ulgą do mego wpływowego przyjaciela, którym był pogruchołoty, pogięty, zrujnowany, tandetny parowiec. Wspiąłem się na pokład. Statek zadźwigał pod moimi nogami, jakbym kopnął nad rynsztokiem pustą blaszaną skrzynkę po sucharach firmy Huntley & Palmer; wykonanie jego było znacznie mniej solidne, kształt chyba brzydszy, ale włożyłem weni tyle ciężkiej pracy, że go pokochałem. Żaden wpływowy przyjaciel nie byłby mi się tak dobrze przysłużył. Ten statek dał mi sposobność do wypróbowania siebie — do przekonania się, czego mogę dokonać. Nie, ja pracować nie lubię. Wolę próżnować i myśleć o wszystkich pięknych rzeczach, które można by zrobić. Nie lubię pracy — żaden człowiek jej nie lubi — ale lubię to, co jest w pracy — sposobność do odnalezienia siebie samego, swej własnej rzeczywistości — dla siebie, nie dla innych — której inni ludzie poznać nie mogą. Widzą tylko pozory i nigdy nie są w stanie powiedzieć, co one naprawdę znaczą.

— Nie zdziwiłem się spostrzegłszy, że ktoś siedzi na rufie, na pokładzie, dyndając nogami nad błotem. Trzeba wam wiedzieć, że łączyły mię dość zażyłe stosunki z nielicznymi mechanikami ze stacji, którymi reszta pielgrzymów naturalnie gardziła — przypuszczam, że ze względu na ich nieświeżone maniery. Otóż ten, o którym mówię — kotlarz z zawodu — był ich majstrem i dobrym pracownikiem. Był to szczupły, kościsty człowiek o żółtej cerze i wielkich, zapatrzonych oczach. Miał wygląd skłopotany, a głowę łysą jak dłoń; jego włosy, wypadając, jakby się

uczepiły policzków i widać czuły się dobrze na tym nowym miejscu, gdyż broda zwisała mu do pasa. Był wdowcem z sześciorgiem drobnych dzieci (zostawił je pod opieką siostry, by móc tu przyjechać), a namiętność jego życia stanowiły wyścigi gołębi. Był ich miłośnikiem i znawcą. Mówił o gołębiach z uniesieniem. Po skończonej pracy przychodził do mnie czasem na rozmowę o swych dzieciach i gołębiach; przy robocie, gdy musiał czasem czolgać się w szlamie pod dnem parowca, obwiązywał sobie brode czymś w rodzaju białej serwety, którą przynosił w tym celu. Owa serweta miała duże pętle do zakładania na uszy. Wieczorem widać go było przykucniętego na brzegu, jak płukał w zatoce ten pokrowiec z wielką starannością, a potem rozpościerał uroczyście na krzaku, aby go wysuszyć.

— Trzepnąłem mechanika w plecy wołając: „Dostaniemy nity!“ Wygramolił się na nogi i krzyknął: „Nie, doprawdy! Nity?“ jakby nie chciał wierzyć własnym uszom. Potem dodał po cichu: „To pan... prawda?“ Nie wiem, dlaczego zachowywali się jak wariaci. Przytknąłem palec do nosa, kiwając tajemniczo głową. „Brawo!“ zawołał i strzelał z palców, podniósłszy ramiona i jedną nogę. Spróbowałem tańczyć dżiga. Wyskakiwałem po żelaznym pokładzie. Straszny tupot rozebrzmiał na statku i odbił się o dziewiczy las po drugiej stronie zatoki, wracając na śpiącą stację w grzmącym łoskocie. Niektórzy z pielgrzymów obudzili się pewnie w swych lepiankach. Ciemna jakaś postać zasłoniła oświetlone drzwi chaty dyrektora, po czym znikła; po sekundzie czy dwóch oświetlone drzwi znikły również. Uspokoiłem się, a cisza, odepchnięta naszym tupaniem, przyplęnęła znów z głębi kraju. Wielki mur roślinny, bujna, pogmatwana masa pni, gałęzi, liści, konarów i girland, nieruchomych w świetle księżyca, przypominała jakby rozhukane najście bezgłośnego życia, toczącą się falę roślin, spiętrzoną, czubatą, gotową runąć na zatokę i wynieść każdego z nas, drobnych człowieczków, poza obręb naszego mizernego życia. Fala stała bez ruchu. Z oddali doszedł nas zgłuszony wybuch potężnych plusków

i parskań, jakby jaki ichtiozaurus kąpał się w blasku wielkiej rzeki.

— „Ostatecznie“ — rzekł kotlarz rozsądnym tonem — „dlaczego byśmy nie mieli dostać nitów?“ — I rzeczywiście, dlaczego? Nie wiedziałem o żadnej przeszkodzie.

— „Nadejdą za trzy tygodnie“ — rzekłem poufnie.

— Ale nie nadeszły. Zamiast nitów spadł na nas najeźdźca, kara, dopust boży. A spadał stopniowo — oddziałami — w ciągu najbliższych trzech tygodni; przed każdym oddziałem stapał osioł, na którym siedział biały w nowym ubraniu i ciemnożółtych trzewikach, kłaniając się z tego wzniesienia na prawo i lewo poruszonym pielgrzymom. Kłótniwa banda markotnych Negrów z obolałymi nogami deptała osłom po piętach; na dziedzińcu porozrzucano mnóstwo namiotów, połowych stolków, blaszanych pudeł, białych skrzynek i brunatnych pak, a atmosfera tajemniczości pogłębiła się jeszcze nad stacyjnym zamętym. Nadeszło pięć takich porcji, wyglądających na oddziały uchodzące bezładnie z łupem po ograbieniu niezliczonych sklepów z odzieżą i żywnością; zdawało się, że wloką za sobą w głuchą dżic owe łupy z najeźdźczej wyprawy, aby się sprawiedliwie podzielić. Była to gmatwanina przedmiotów w gruncie rzeczy niewinnych, którym ludzka głupota nadała pozór łupów.

— Owa zacna banda nazwała się wyprawą odkrywczą z Eldorado; zdaje się, że jej członkowie zobowiązali się pod przysięgą do zachowania tajemnicy. Ale mowa ich była mową plugawych piratów: zuchwała bez dzielności, chciwa bez odwagi i okrutna bez męstwa; w całej tej paczce nie podobna się było dopatrzeć choćby śladu przezorności czy poważnego celu. Ci ludzie zdawali się nie wiedzieć, iż praca codzienna wymaga tych rzeczy. Pragnieniem ich było wydrzeć skarby z wnętrzości tego kraju, a żaden cel moralny im nie przyświecał, jak złodziejom dobierającym się do kasy. Nie wiem, kto ponosił kosztą tej szlachetnej wyprawy, ale wuj naszego dyrektora był jej kierownikiem.

— Wyglądem przypominał rzeźnika z ubogiej dzielnicy; w jego oczach malowała się senna przebiegłość.

Obnosił ostentacyjnie swój tłusty brzuch na krótkich nogach, a przez cały czas pobytu jego bandy na stacji nie odzywał się do nikogo prócz swego siostrzeńca. Można było oglądać tę dwójkę, wałęsającą się przez cały dzień; głowy ich stykały się prawie w wiecznej gawędzie.

— Przestałem się już kłopotać o nity. Zdolność człowieka do tego rodzaju manii bardziej jest ograniczona, niżby można było przypuszczać. Powiedziałem sobie: pał cho! — i machnąłem ręką. Miałem czasu w bród do rozpamiętywać, a niekiedy myślałem i o Kurtzu. Nie interesował mnie znów tak bardzo. Bynajmniej. Ale miałem ochotę się przekonać, czy ten człowiek, który wyruszył zaopatrzony w pewne moralne zasady, dostanie się w końcu na szczyt i jak tam sobie będzie poczynał.

„... „Ktoś słoniwa” — II
„... „cale mądrotwo kosi słoniwa” — w nalepkowym karku

Pewnego wieczoru, gdy leżałem wyciągnięty na pokładzie mego parowca, posłyszałem zbliżające się głosy — a byli to właśnie siostrzeńiec i wuj, którzy spacerowali powoli wzdłuż brzegu. Oparłem znów głowę na ramieniu i popadłem już prawie w drzemkę, gdy ktoś powiedział mi prawie do ucha:

— „Jestem łagodny jak nowonarodzone dziecię, ale nie lubię, aby mi dyktowano, co mam robić. Jestem dyrektorem, czy nie jestem? Kazano mi go tam posłać. To wprost niesłychane...”

— Zdałem sobie sprawę, że ci dwaj stoją na wybrzeżu obok przodu statku, tuż pod moją głową. Nie poruszyłem się wcale; nie przyszło mi na myśl się ruszyć; chciało mi się spać.

— „To przykre doprawdy” — mruknął wuj.

— „Prosił zarząd, aby go tam wysłano” — odrzekł tamten, „bo chciał pokazać, co potrafi; dostałem też odpowiednie polecenie. Niech wuj pomyśli, jakie ten człowiek musi mieć wpływy. Czy to nie straszne?”

— Uznali to obaj za straszne i rozmawiali dalej, wypowiadając różne dziwaczne uwagi: „Wodzi wszystkich na pasku — jeden człowiek — radę — za nos”. — Te kawałki bezsensownych zdań przezwyciężyły moją senność, tak że byłem prawie zupełnie przytomny, gdy wuj powiedział:

— „Klimat może usunąć ci z drogi tę przeszkodę. Czy on tam jest sam?”

— „Tak”, odrzekł dyrektor; „odesłał swego pomocnika w dół rzeki z krótkim listem do mnie tej treści:

— Niech pan wyprawi stąd tego nieboraka i nie kłopotce się przysyłaniem mi innych w tym samym rodzaju. Wolę być sam, niż mieć koło siebie kogoś z ludzi, któ-

rych pan ma pod ręką. — To było przeszło rok temu. Czy może sobie wuj wyobrazić podobną bezczelność!

— „A od tamtego czasu?“ — spytał drugi ochryplym głosem.

— „Kość słoniowa“ — zachnął się siostrzeniec — „całe mnóstwo kości słoniowej — w najlepszym gatunku — to wprost nieznośne — wszystko od niego“.

— „A z kością słoniową?“ — dopytywał się gruby, dudniący głos.

— „Faktury!“ — wypalił — że tak powiem — siostrzeniec w odpowiedzi. Zapadło milczenie. Mówili o Kurtzu.

— Byłem już wtedy zupełnie rozbudzony, ale leżałem sobie wygodnie bez ruchu, nie mając powodu do zmiany pozycji.

— „Jakże ta kość słoniowa przejechała taką kawał drogi?“ — burknął starszy, widać mocno zirytowany.

— Tamten wyjaśnił, że przywiozła ją flotylla łódek pod wodzą angielskiego urzędnika, mulata, którego Kurtz miał z sobą; że Kurtz zamierzał widocznie sam przejechać, ponieważ jego stacja była już wówczas ogołocona z towarów i zapasów, ale po przebyciu trzystu mil postanowił nagle wrócić i wyruszył z powrotem sam jeden w niewielkiej łódce z czterema wioślarzami, zostawiając kość słoniową pod opieką mulata, który pojechał dalej w dół rzeki. Obaj faceci na brzegu wydawali się zdumieni, że ktoś mógł się ważyć na coś podobnego. Nie mogli odgadnąć, dlaczego Kurtz tak postąpił. Co do mnie, wydało mi się, że widzę go po raz pierwszy. Obraz był wyraźny: łódka, czterech dzikich wioślarzy i samotny biały, który odwraca się nagle od głównej kwatery, od wypoczynku, a może i od myśli o domu; który zdąża ku głębiom dziczy, ku swej pustej i opuszczonej stacji. Nie wiedziałem, dlaczego to zrobił. Może był to po prostu dzielny człowiek, który miał zamiłowanie do swej pracy. Oczywiście jego nazwisko nie zostało wymienione ani razu. Mówili o nim po prostu jako o „tym człowieku“. Mulata, który — o ile mogłem wyrozumieć — poprowadził ciężką wyprawę z wielką roztropnością i odwagą,

nazywali stale „łajdakiem“. „Łajdak“ doniósł, że „ten człowiek“ przeszedł bardzo ciężką chorobę i nie miał się jeszcze zupełnie dobrze... Tu oddalili się obaj o kilka kroków i spacerowali zwolna tam i z powrotem w niewielkiej odległości. Posłyszałem oderwane wyrazy: „Placówka wojskowa — doktor — dwieście mil — teraz zupełnie sam — nieunikniona zwłoka — dziewięć miesięcy — żadnych wiadomości — dziwaczne pogłoski“. Zbliżyli się znów właśnie w chwili, gdy dyrektor mówił:

— „Nikt, o ile wiem: chyba że taki tam jeden — coś w rodzaju wędrownego kupca — cholerny drab, zmiatający dzikim sprzed nosa kość słoniową“.

— O kimże teraz mówili? Dorozumiałem się z urywanych zdań, że to jakiś człowiek, znajdujący się przypuszczalnie w okręgu Kurtza i że dyrektor go nie uznaje.

— „Nie pozbedziemy się nieuczciwej konkurencji, póki się nie powiesi dla przykładu jednego z tych drabów“ — rzekł.

— „Naturalnie“ — mruknął drugi — „powiesić go i koniec! Czemu nie? Wszystko — wszystko można zrobić w tym kraju. To właśnie chcę powiedzieć; nikt tutaj, rozumiesz, *tutaj* nie może zachwiać twojego stanowiska. A dlaczego? Bo wytrzymujesz ten klimat — przetrwasz ich wszystkich. Niebezpieczeństwo jest w Europie; ale tam już się postarałem przed wyjazdem, aby — —“

— Oddalili się szepcząc, potem głosy ich podniosły się znowu.

— „Te wszystkie nieprzewidziane opóźnienia nie są moją winą. Robiłem, co mogłem“.

— Grubas westchnął.

— „To bardzo smutne“.

— „A ta jego głupia, obmierzła gadanina“ — ciągnął drugi; — „dokuczył mi tu porządnie podczas swego pobytu. Rozповідаł, że stacja powinna być jakby pochodnią na drodze ku lepszemu jutru, ośrodkiem handlu także, rzecz prosta, ale przy tym i humanitaryzmu, postępu, oświaty. — Czy wuj to pojmuje? — co za osioł! — ten chce być dyrektorem! Nie, to jest — —“

— Zatchnęło go z oburzenia. Podniosłem nieznacznie

głowę. Zdumiałem się spostrzegłszy, jak byli blisko — tuż pode mną. Byłbym mógł plunąć na ich kapelusze. Patrzyli w ziemię, pochłonięci myślami. Dyrektor uderzał się po nodze cienką gałązką; jego sprytny krewniak podniósł głowę.

— „A czujesz się dobrze od ostatniego przyjazdu?“ — zapytał.

— Tamten drgnął.

— „Kto? Ja? Och, jak ryba — jak ryba. Ale reszta — uchowaj Boże! Wszyscy chorzy. A przy tym umierają tak prędko, że nie mam czasu wysłać ich stąd — to nie do wiary“.

„Hm. Otóż to właśnie“ — mruknął wuj. „Ach! mój chłopcze, ufaj temu — powtarzam, ufaj temu“.

— Ujrzałem, jak wyciągnął swe kuse ramię ruchem, który ogarnął las, błoto, zatokę, rzekę i — wobec słonecznego oblicza kraju — zdawał się przyzywać zdradziecko tym hańbiącym gestem przyczajoną śmierć, ukryte zło, głęboki mrok z wnętrza ładu. Takie to było przerażające, że zerwałem się na równe nogi i obejrzałem na skraj lasu, jakbym czekał na jakąś odpowiedź po tym dowodzie nikczemnego zaufania. Wiecie, jakie głupstwa przychodzą czasem człowiekowi do głowy. Wyniosła cisza przeciwstawiła się tym dwu figurom, cierpliwa i złowieszcza, czekająca na przeminięcie dziwacznej inwazji.

— Obaj wykrzyknęli jednocześnie jakieś przekleństwo — przypuszczam, że wprost ze strachu — a potem, udając, że nic nie wiedzą o moim istnieniu, zwrócili się znów ku stacji. Słońce stało nisko; pochyleni jeden obok drugiego, zdawali się ciągnąć z trudem w górę swoje dwa śmieszne cienie różnej długości, które wlokły się zwolna za nimi po wysokiej trawie, nie zginając ani jednego źdźbła.

— Po kilku dniach wyprawa z Eldorado zanurzyła się w ciepłą puszcę, która zamknęła się za nią jak morze się zamyka nad nurkiem. W długi czas potem nadeszły wieści, że wszystkie osły im wyzdychały. O losie zwierząt mniej wartościowych nic nie wiem. Nie wątpię, że — tak jak i nas wszystkich — spotkało je to, na co zasłużyły. Nie pytałem. Byłem wówczas nieco podniecony

perspektywą bardzo prędkiego spotkania z Kurtzem. Mówię: bardzo prędkiego we względnym znaczeniu. Minęły okrągłe dwa miesiące od chwili opuszczenia zatoki, gdy dotarliśmy do brzegu poniżej stacji Kurtza.

— Jazda w górę rzeki była jakby podróżą wstecz do najwcześniejszych początków świata, gdy roślinność hulała sobie po ziemi, a królowały wielkie drzewa. Pusta rzeka, wielka cisza, nieprzebyty las. Powietrze ciepłe, gęste, ciężkie, leniwe. Nie było radości we wspaniałym słońcu. Wielkie, opustoszałe przestrzenie wodnego szlaku biegły w mrok zaciętych perspektyw. Na srebrnawych ławicach piasku hipopotamy i aligatory leżały obok siebie, wygrzewając się w słońcu. Rozlane szeroko wody płynęły wśród mnóstwa zadrzewionych wysepek; gubiłem się na tej rzece jak w pustyni i natykałem się cały dzień na mielizny, usiłując wynaleźć przesmyki, aż wreszcie doznałem wrażenia, że mię ktoś zaczarował i odciął na zawsze od wszystkiego, co znałem ongi — gdzieś tam — daleko — może w jakimś innym istnieniu. Były chwile, kiedy przeszłość do mnie wracała, jak to się dzieje czasami, gdy się nie ma ani chwili dla siebie; ale wracała niby niespokojny i hałaśliwy sen, który przypominałem sobie ze zdumieniem wśród przygniatającej rzeczywistości tego dziwnego świata roślin i wody, i ciszy. Ale ta cisza nie miała nic wspólnego ze spokojem. Był to bezruch nieublaganej siły, rozmyślającej ponuro nad jakimś nieprzeniknionym zamkiem. Owa siła przyglądała się człowiekowi z mściwością. Przyzwyczałem się później i już tego nie widziałem; nie miałem na to czasu. Musiałem wciąż odgadywać gdzie są przesmyki; musiałem rozróżniać, przeważnie pod wpływem natchnienia, oznaki ukrytych ławic; wypatrywałem podwodnych kamieni; uczyłem się zacinać ostro zęby, aby serce nie wyskoczyło mi z piersi, kiedy na szczęście otarłem się tylko o jakiś piekielny, podstępny stary pień, który byłby wydarł życie z mego tandetnego parowca i zatopił wszystkich pielgrzymów; musiałem czatować na suche drzewa, które by można ścinać w nocy, aby mieć paliwo w ciągu dnia następnego. Kiedy człowiek się troszczy o podobne sprawy, o pospolite wypadki dzie-

jące się na powierzchni, rzeczywistość doprawdy się rozwiewa. Wewnętrzna prawda kryje się — na szczęście, na szczęście. Ale czułem ją jednak; czułem często, jak w tajemniczej ciszy przyglądała się moim małym sztukom, zupełnie tak jak i wam się przygląda, koledzy, gdy pokazujecie swoje sztuki na linie — pół korony za fiknięcie koźła.

— „Bądźże uprzejmiejszy, Marlow“ — burknął jakiś głos i stąd się dowiedziałem, że prócz mnie czuwa jeszcze przynajmniej jeden słuchacz.

— Przepraszam. Zapomniałem o bólu serca, który ceny dopełnia. I zaiste, cóż znaczy cena, jeżeli sztuka się uda? Wy pokazujecie sztuki bardzo dobrze. I ja nieźle się wówczas sprawiłem, jeśli zdołałem nie zatopić tego parowca w ciągu pierwszej wyprawy. Dotychczas się temu dziwię. Wyobraźcie sobie człowieka z zawiązanymi oczami, któremu dają ciężki wóz i każą powozić na zły drodze. Zapewniam was, że się pocilem i trząśłem porządnie przy tej robocie. Ostatecznie dla marynarza wydarcie dna ze statku, który ma płynąć cały czas pod jego opieką, jest grzechem nie do darowania. Choćby nawet nikt o tym nie wiedział, nie podobna zapomnieć tego zderzenia, prawda? Cios w samo serce. Pamięta się o nim, śni się o nim — po latach — zimno i gorąco robi się człowiekowi. Nie chcę przez to powiedzieć, że mój parowiec cały czas pływał. Nieraz musiał brnąć mielizną, popychany przez dwudziestu ludożerców pluskających wokoło. Zaciągnęliśmy po drodze pewną liczbę tych drabów jako załogę. To byczy chłopy — ludożercy — na właściwym miejscu. Z tymi ludźmi można było pracować — jestem im za to wdzięczny. I ostatecznie nie zjadali się nawzajem w mych oczach. Mieli zapas mięsa z hipopotama, które zepsuło się w drodze, wskutek czego tajemnicza dzicz zaczęła nam cuchnąć pod nosem. Brr! Do dziś dnia ją czuję. Miałem na statku dyrektora i trzech czy czterech pielgrzymów ze swymi kijami — cały komplet. Czasem napotykał się stację handlową tuż przy brzegu, uczeploną krawędzi nieznanego, a biali ludzie, którzy wypadali z walącej się lepianki, wychodząc na powitanie rękoma z radością i zdumieniem,

robili wrażenie bardzo dziwne — jakby czar jakiś trzymał ich tam na uwięzi. Słowo: kość słoniowa rozbrzmiewało w powietrzu — i odpływaliśmy znów w ciszę wzdłuż pustych rzecznych obszarów, okrążając spokojne zakręty, między wysokimi ścianami wijącej się drogi, które odbijały głucho ciężki rytm napędowego koła.

— Drzewa i drzewa, miliony drzew, masywnych, olbrzymich, strzelających w górę; a u ich stóp pełzł przeciw prądowi tuż przy brzegu mały, umorusany sadzą parowiec, jak ocieżyła chrząszcz, łażący po posadzce wyniosłego portyku. Człowiek czuł się bardzo mały i zagubiony, a jednak to uczucie nie było właściwie przygnębiające. Wprawdzie byliśmy mali, ale umorusany chrząszcz pełzł naprzód — czego się właśnie od niego wymagało. Dokąd pełzł w pojęciu pielgrzymów, nie umiem powiedzieć. Założyłbym się, że do jakiegoś miejsca, gdzie się spodziewali coś dostać! Dla mnie pełzł wyłącznie w stronę Kurtza; ale gdy rury zaczęły ciec, posuwaliśmy się bardzo powoli. Droga otwierała się przed nami i zamykała za nami, jakby las wkraczał powoli w wodę, by zagrozić nam powrót. Przenikaliśmy wciąż głębiej i głębiej w jądro ciemności. Bardzo tam było spokojnie. Czasami nocą warkot bębnow za zasłoną drzew biegł w górę rzeki i trwał w słabym odgłosie do brzasku, jakby się unosił wysoko w powietrzu nad naszymi głowami. Nie wiedzieliśmy, czy oznacza wojnę, pokój, czy modlitwę. Przed samym świtem zapadała chłodna cisza; drwale spali, ogniska ich przygaszały; człowiek się zrywał na trzask gałązki. Wędrowaliśmy po przedhistorycznej ziemi, po ziemi, mającej wygląd nieznannej planety. Mogliśmy sobie wyobrazić, że jesteśmy pierwszymi ludźmi, biorącymi w posiadanie jakiś przeklęty spadek, którym można zawładnąć tylko za cenę dojmującej udręki i niezmiernego znoju. I nagle, gdyśmy okrążali z trudem jakiś zakręt, ukazywały się ściany z sitowia, spiczaste dachy z trawy, wybuchał wrzask, kłębił się wir czarnych członków, klaszczących rąk, tupiących nóg, rozkołysanych ciał, oczu przewracających białkami — pod nawisłym listowiem, ciężkim i nieruchomym. Parowiec sunął z trudem, mijając powoli jakiś ponury i

niepojęty wybuch szału. Czy przedhistoryczny człowiek nas przeklinał, czy modlił się do nas, czy też nas witał — któż to mógł wiedzieć? Zrozumienie tego, co nas otaczało, było dla nas niemożliwe; przesuwalimy się jak widma, rozciekawieni i pełni ukrytego lęku, niby ludzie normalni wobec jakiegoś entuzjastycznego wybuchu w zakładzie dla obłąkanych. Nie mogliśmy tego pojąć, ponieważ odeszliśmy byli za daleko i nie umieliśmy już sobie przypomnieć; ponieważ wędrowaliśmy przez mroki pierwszych wieków, tamtych wieków, które minęły, nie zostawiając prawie żadnego śladu i żadnych wspomnień.

— Ziemia nie wydawała się ziemską. Przywykliśmy patrzeć na spętany kształt pokonanego potwora, ale tam — tam się oglądało potworny stwór na swobodzie. Ziemia nie była ziemską, a ludzie byli — — Nie, ludzie nie byli nie-ludźcy. Widzicie, otóż to było najgorsze ze wszystkiego — podejrzenie, że oni nie są nieludźcy. Przenikało to z wolna do świadomości. Wyli i skakali, i kręcili się, i wykrzywiali straszliwie; a najbardziej z wszystkiego przemawiała mię właśnie myśl o ich człowieczeństwie — takim samym jak moje — myśl o tym odległym powinowactwie z tym dzikim, namiętym wrzaskiem. Brzydactwo. Tak, to było dość brzydkie; ale jeśli człowiek miał w sobie dosyć męstwa, musiał przyznać w duchu, że jest w nim jakiś najniklejszy ślad odzewu na przerażającą szczerłość tego zgiełku, jakieś mgliste podejrzenie, iż to ma pewien sens, który by można zrozumieć mimo tak wielkiego oddalenia od mroku pierwszych wieków. I dlaczego by nie? Dusza ludzka jest zdolna do wszystkiego — ponieważ zawiera w sobie wszystko, zarówno przeszłość jak przyszłość. Cóż tam było właściwie? Radość, przestraszenie, smutek, ofiarność, męstwo, czy wściekłość — któż to mógł powiedzieć? — ale była tam prawda — prawda bez maski czasu. Niech głupiec się gapi i wzdryga — człowiek świadomy życia rozumie i może patrzeć bez zmrużenia powiek. Ale musi być choćby na tyle człowiekiem co ci z wybrzeża. Musi przeciwstawić ich prawdzie to, co w nim jest istotnie prawdziwe — własną, wrodzoną siłę. Zasady tu nic nie pomagają. To nabytek, strój, ozdobne łachmany

— łachmany, które go oblecą przy pierwszym porządnym wstrząsie. Nie; tu trzeba sobie stworzyć własne swoje credo. Czy ten piekielny wrzask znajduje we mnie jakiś oddźwięk? Wsłuchuję się; przyznaję, że tak; ale ja także mam głos i — czy moje zdanie jest słuszne, czy nie — słów moich zagłuszyć nie można. Oczywiście, że głupiec — i to zastraszone w dodatku, a przy tym pełen wzniosłych uczuć — będzie zawsze bezpieczny. Któż to tam mruczy? Dziwicie się, że nie wysiadłem na brzeg, aby trochę powyc i potańczyć? Otóż nie — nie wysiadłem. Wzniosłe uczucia, mówicie? Do licha ze wzniosłymi uczuciami! Nie miałem po prostu czasu. Musiałem się babrać z bielą ołowianą i szmatami z wełnianej kołdry, pomagając obwiązać te ciekące rury parowe — tak, moi drodzy. Musiałem pilnować steru, i wymijać pnie, i za wszelką cenę prowadzić naprzód tandetny grat. W tym wszystkim było dość konkretnej rzeczywistości, aby ocalić i mędrszego ode mnie człowieka. A w wolnych chwilach musiałem doglądać dzikusa, który sprawował obowiązki palacza. Był to okaz udoskonalony; miał palić pod pionowym kotłem. Tkwił w dole pode mną i — słowo daję — jego widok oddziaływał równie budująco jak oglądanie psa w majtkach i kapeluszu z piórem, chodzącego na tylnych łapach. Parę miesięcy tresury dało radę temu istotnie zdolnemu chłopcu. Zerkał na manometr i szkło wodowskazowe, siląc się najwidoczniej na odwagę, a przy tym miał nieborak spilotowane zęby, kędzierzawy łeb golony w dziwne desenie i przy ozdobne blizny na każdym policzku. Powinien był klaskać i tupać na brzegu, a zamiast tego pracował ciężko — niewolnik dziwacznych czarów, pełen coraz doskonalszej wiedzy. Był użyteczny, ponieważ go wyszkolono, a oto na czym polegała jego wiedza: gdyby woda znikła z tej przezroczystej rzeczy, zły duch wewnątrz kotła wpadłby w gniew z powodu wielkiego pragnienia i zemściłby się straszliwie. Toteż palacz pocił się, i podsycał ogień, i śledził szkło z lękiem (ramię miał obwiązane zaimprovizowanym talizmanem z gałganków, w dolnej jego wardze tkwił wygładzony krążek z kości słoniowej wielkości zegarka) — a tymczasem mijaliśmy powoli zarośnięte brze-

gi, krótki zgiełk ucichał, nastawała znów cisza, ciągnąca się przez nieskończone mile — i pełzliśmy naprzód w stronę Kurtza. Ale pnie tkwiły w rzece gęsto, woda była zdradliwa i płytka, kocioł zdawał się doprawdy kryć nadąsanego diabła i dlatego ani palacz, ani ja nie mieliśmy czasu zaglądać do naszych trwożnych myśli.

— W odległości pięćdziesięciu mil mniej więcej od stacji Kurtza dotarliśmy do trzciniowej szopy, na której tkwiła melancholijnie pochyła tyka z powiewającym łachmanem, szczątkiem jakiejś flagi niemożliwej do rozpoznania; obok szopy leżał porządnie ułożony stos drzewa opałowego. To było nieoczekiwane; wysiedliśmy na brzeg i znaleźliśmy na stosie płaski kawał deski, a na niej jakiś wyblakły napis ołówkiem. Odcyfrowaliśmy go; napis brzmiał: „Drzewo dla was. Spieszcie się. Podjeżdżajcie ostrożnie“. Był tam podpis, ale nieczytelny — nie Kurtz — jakiś znacznie dłuższy wyraz. „Spieszcie się“. Dokąd? W górę rzeki? „Zbliżajcie się ostrożnie“. Nie zbliżyliśmy się ostrożnie. Ale ostrzeżenie nie mogło dotyczyć miejsca, gdzie mieliśmy je znaleźć dopiero po wyładowaniu. Widać tam w górze rzeki było coś nie w porządku. Ale co — i jak dalece? O to właśnie chodziło. Wypowiadaliśmy różne sprzeczne uwagi o tym głupim telegraficznym stylu. Gąszcz dookoła nas nic nie mówił ani nie pozwalał się szerzej rozejrzeć. Podarta firanka z czerwonego płótna w desenie wisiała w odrzwiach szopy i trzepotała się markotnie koło naszych twarzy. Mieszkanie było ogołocone ze sprzętów, ale śnać jakiś biały mieszkał tam niezbyt dawno. Pozostał prymitywny stół — deska na dwóch pniakach; kupa śmieci leżała w ciemnym kącie, a koło drzwi podniosłem z ziemi książkę. Nie miała okładki, kartki jej od częstego użytku stały się niezmiernie brudne i miękkie; ale grzbiet zeszytu troskliwie na nowo białą bawełną, która wyglądała jeszcze czysto. Znalezienie tej książki było czymś nadzwyczajnym. Tytuł jej brzmiał: *Badania dotyczące pewnych marynarskich zagadnień*, przez jakiegoś Towera Towsona czy coś w tym rodzaju, kapitana marynarki Jego Królewskiej Mości. Wyglądało to na dość nudną lekturę, ilustrowaną wykresami i odstręczającymi tablicami

— a ów egzemplarz pochodził sprzed sześćdziesięciu lat. Oglądałem zdumiewający antyk z jak największą delikatnością, aby mi się nie rozleciał w rękach. Towson czy Towser rozpisywał się z powagą o nadmiernym przeciążeniu okrętowych łańcuchów i takielunku tudzież innych tym podobnych materiach. Niezbyt porywająca książka; ale na pierwszy rzut oka dostrzegało się w niej szczerzy zamiar, uczciwą troskę o właściwe ujęcie tematu — i to sprawiało, że nie tylko światło wiedzy było ze skromnych kartek — które powstały przed tylu laty. Dzięki prostemu, staremu marynarzowi i jego opowiadaniu o łańcuchach i dźwigach zapomniałem o dżungli i pielgrzymach w rozkoszonym poczuciu, że się zetknąłem z czymś bezsprzecznie realnym. Już znalezienie tam takiej książki było zadziwiające, ale bardziej jeszcze zdumiały mnie notatki skreślone ołówkiem na marginesach, odnoszące się wyraźnie do tekstu. Nie chciałem wierzyć własnym oczom! Były pisane szyfrem! Tak, to wyglądało na szyfr. Wyobraźcie sobie człowieka, który taszczy za sobą w bezludzie książkę tego rodzaju, i studiuje ją — i robi notatki — szyfrem w dodatku! Była to cudaczna tajemnica.

— Już od pewnego czasu dochodził mętnie do mojej świadomości jakiś dokuczliwy hałas; podniósłszy oczy zauważyłem, że stos drzewa znikł, a dyrektor wraz ze wszystkimi pielgrzymami woła na mnie z brzegu. Wsunąłem książkę do kieszeni. Wierzajcie mi, odrywając się od tego czytania, miałem wrażenie, że rzucam przystań starej i wypróbowanej przyjaźni.

— Wprowadziłem w ruch kulawą maszynę.

— „Chyba to ten nędzny kupczyk — ten intruz“ — zawołał dyrektor, oglądając się nieprzyjaźnie na opuszczony przez nas brzeg.

— „To pewnie Anglik“, odpowiedziałem.

— „Nie uratuje go to od kabały, jeśli się nie będzie pilnował“ — mruknął posępnie dyrektor. Zauważyłem z udaną naiwnością, że nikt nie jest wolny od trosk na tym świecie.

— Prąd stał się bardziej wartkim, parowiec zdawał się dyszeć ostatkiem sił, napędowe koło opadało leniwie i u-

przytomniłem sobie, że czekam z zapartym oddechem na następny ciąg statku, gdyż Bogiem a prawdą spodziewałem się, iż nędzny gruchot utknie lada chwila. Było to jakby śledzenie ostatnich przeblysków życia. Ale pełzliśmy wciąż. Czasami upatrywałem jakie drzewo przed nami, aby wymiarkować, o ile zbliżyliśmy się do Kurtza, ale je stale gubiłem, nim się zdążyliśmy z nim zrównać. Trzymać oczy tak długo na jednym przedmiocie, to było za wiele jak na ludzką cierpliwość. Dyrektor ujawniał wspaniałą rezygnację. Ja się złościłem i wściekałem, i wreszcie zacząłem rozważać, czy mam pomówić otwarcie z Kurtzem; ale nim doszedłem do jakiejś konkluzji, przyszło mi na myśl, że i moje gadanie, i milczenie, i w ogóle jakkolwiek mój postępek nie będzie miał żadnej wagi. I cóż stąd, że się o czymś wie lub nie wie? Cóż stąd, kto jest dyrektorem? Czasem się miewa taki błysk intuicji. Istota tej sprawy leżała głęboko pod powierzchnią, poza moim zasięgiem; nie mogłem wpłynąć na jej przebieg.

Następnego dnia pod wieczór obliczyliśmy, że się znajdujemy w odległości jakich ośmiu mil od stacji Kurtza. Chciałem jechać dalej, ale dyrektor powiedział mi z poważną miną, że droga tam w górę jest tak niebezpieczna, iż byłoby wskazanym czekać na miejscu do rana, tym bardziej że słońce stoi już bardzo nisko. Przy tym, jeśli mamy korzystać z przestrogi i zbliżyć się ostrożnie do stacji, musimy to uczynić za dnia a nie o zmierzchu lub w ciemności. To było wcale rozsądne. Osiem mil oznaczało dla nas prawie trzy godziny jazdy, a w górze na rzecze można było dostrzec podejrzane zmarszczki. Mimo to czułem się nad wyraz rozdrażniony tą zwłoką i to najnierozsądniej w świecie, gdyż po tylu miesiącach jedna noc więcej nie mogła już wiele zaważyć. Ponieważ mieliśmy drzewa pod dostatkiem, a ostrożność była naszym hasłem, za puściłem kotwicę w środku rzeki. Koryto było wąskie, strome, z wysokimi brzegami, jak przekop kolejowy. Zmierzch wślizgnął się doń na długo przed zachodem słońca. Prąd biegł gładko i szybko, ale na obu brzegach panował niemy bezruch. Mogło się zdawać, że żywe drzewa powiązane pnączami i każdy żywy krzew w podszy-

ciu obróciły się w kamień aż do najwęższej gałązki, do najlżejszego listka. To nie robiło wrażenia snu — wszystko wyglądało nienaturalnie, jak pogrążone w jakimś transie. Nie słyszało się najlżejszego szmeru. Człowiek patrzył, zdumiony, i zaczynał podejrzewać, że jest głuchy — a potem przychodziła nagle noc i jeszcze oślepiła w dodatku. Około trzeciej nad ranem wyskoczyła na powietrze jakaś wielka ryba; wzdrygnąłem się na ten głośny plusk, jakby strzelono z armaty. Gdy słońce wzeszło, pojawiła się biała mgła, bardzo ciepła i lepka a oślepiająca bardziej niż noc. Nie poruszała się ani nie sunęła; tkwiła po prostu na miejscu, otaczając nas niby coś masywnego. Około ósmej a może i dziewiątej podniosła się jak okienica. Ujrzyliśmy na chwilę spiętrzoną masę drzew, olbrzymią, pogmatwaną dżunglę i wiszącą nad nią małą kulę słońca — wszystko stężełe w bezruchu — po czym biała okienica zsunęła się gładko na powrót jak na naoliwionych kółkach. Kazałem zluzować znów kotwiczny łańcuch, któryśmy zaczęli już związać. Zanim przestał sunąć z głuchym chrobotem, krzyk, bardzo głośny krzyk — jakby niezmiernej rozpacz — wzniósł się powoli w matowe powietrze. Ustał. Żałosna wrzawa, przechodząca w dzikie dysonanse, napełniła z kolei nasze uszy. Było to tak nieoczekiwane, że włosy mi drgnęły pod czapką. Nie wiem, jakie to zrobiło wrażenie na innych; mnie się wydało, że to mgła sama krzyknęła — tak nagle, i rzekłbyś, że wszystkich stron naraz podniósł się ten burzliwy, żalobny zgiełk. Zakończył się gwałtownym wybuchem wrzasku prawie nie do zniesienia, który się raptem urwał, zostawiając nas skamieniałych w przeróżnych głupich pozach; wsłuchiwalismy się uparcie w ciszę niemal równie wielką i przerażającą.

— „Wielki Boże! Co znaczy ten“ — wyjąkał pod moim bokiem jeden z pielgrzymów, mały, tłusty człowieczek o ryżawych włosach i rudych bokobrodach; miał wciągnane buty na gumach i różową pyżamę, a spodnie wetknięte w skarpetki. Dwaj jego towarzysze trwali przez całą minutę z rozdziawionymi gębami, po czym rzucili się do małej kajuty, wypadli z niej natychmiast i stanęli, rozglądając

się z przerażeniem i trzymając winczestry na „gotuj“. Mogliśmy dojrzeć jedynie nasz parowiec — o konturach tak zamazanych, jakby się miał za chwilę rozpląnąć — i mglisty pas wody szerokości około dwóch stóp naokoło statku — to było wszystko. Reszta świata nie istniała, jeśli mieliśmy wierzyć oczom i uszom. Po prostu nie istniała. Znikła, przepadła; została zmieciona, nie zostawiając za sobą szmeru ni cienia.

— Poszedłem na bak i kazałem wciągnąć łańcuch, aby być gotowym do podniesienia kotwicy i ruszenia z miejsca, natychmiast gdy zajdzie potrzeba.

— „Czy nas napadną?“ — szepnął jakiś głos, przejęty grozą.

— „Wyrzną tu nas wszystkich w tej mgle“ — mruknął ktoś inny.

— Twarze drgały z napięcia, ręce trzęsły się z lekka, oczy zapominały mrugać. Bardzo był ciekawy kontrast wyrazu twarzy u białych i u Murzynów z naszej załogi, równie obcych jak my w tej części rzeki, choć ich wieś leżała tylko o osiemset mil. Biali, oczywiście bardzo zaniepokojeni, wyglądali przy tym dość szczególnie, jakby ten przeraźliwy wrzask wielce ich gorszył. Tamci zaś mieli wyraz czujny i zaciekawiony, ale twarze ich były zasadniczo spokojne, nawet u jednego czy dwóch, którzy się krzywili, wciągając łańcuch. Kilku zamieniło krótkie, mrukliwe zdania, zdające się rozstrzygać kwestię ku zupełnemu ich zadowoleniu. Prowadyr, młody Murzyn o szerokich piersiach, odziany z surową prostotą w granatowy, faldzisty strój z frędzlami, stał koło mnie; nozdrza miał srogo rozdęte, a włosy pozwijane misternie w tłuste loczki.

— „No?“ odezwałem się ot tak sobie, po koleżeńsku.

— „Złapać ich“ — wypalił Murzyn i wytrzeszczył nabiegłe krwią oczy, błyskając ostrymi zębami — „złapać ich. Dać ich nam“.

— „Jak to, wam?“ spytałem — „a co byście z nimi zrobili?“

— „Zjeść ich!“ odrzekł zwięźle i oparłszy łokieć o poręcz, patrzył we mgłę w pozie pełnej godności, ogarnięty

głęboką zadumą. Byłoby mnie to bez wątpienia zgorszyło należycie, gdyby nie przyszło mi na myśl, że i on, i jego ludzie muszą być bardzo głodni; że głód ich zapewne wciąż wzrasta co najmniej już od miesiąca. Zaciągnięto ich na pół roku (nie zdaje mi się, aby którykolwiek z nich zdawał sobie dokładnie sprawę z czasu, nie tak jak my po upływie niezliczonych stuleci; należeli jeszcze do pradawnych wieków, nie odziedziczyli doświadczenia, które by mogło ich niejako pouczyć) — i oczywiście, póki istniał kawałek papieru, zapisany zgodnie z jakimś śmiechu wartym prawem, takim czy innym, skleconym w dole rzeki, póty nie przyszło nikomu do głowy troszczyć się, co będą jedli. Wprawdzie zabrali z sobą trochę zepsutego mięsa z hipopotama, ale w żadnym razie nie starczyłoby to na długo, nawet gdyby pielgrzymi nie wyrzucili większej części owego mięsa za burtę wśród strasznego rwetesu. Postępek ten wyglądał na samowolny, ale w gruncie rzeczy była to tylko godziwa samoobrona. Nie podobna wdychać woni zdechłego hipopotama czuwając, śpiąc i jedząc, a jednocześnie zachować normalny stosunek do życia. Poza tym wydzielano Murzynom co tydzień trzy kawałki miedzianego drutu, każdy długości około dziesięciu cali; w teorii mieli kupować żywność za tę obiegową monetę po wsiach nadbrzeżnych. Można sobie wyobrazić, jak ten system działał. Albośmy wcale wsi nie napotykali, albo ludność była wroga, albo też dyrektor — który tak jak i my wszyscy żywił się konserwami, urozmaiconymi od czasu do czasu jakim starym kozłem — nie chciał zatrzymywać parowca z mniej lub więcej ukrytych powodów. Dlatego też nie wyobrażam sobie, co naszym Murzynom mogło przyjść z ich dziwacznej pensji — chyba że połykali ów drut albo robili z niego haczyki do łapania ryb na wędkę. Muszę zaznaczyć, że wypłacano tę pensję z regularnością godną wielkiej i solidnej spółki handlowej. Poza tym jedyną rzeczą do jedzenia, jaka widziałem u tych Murzynów — choć nie wydawała się bynajmniej jadalną — było kilka kawałków jakby na wpół surowego ciasta brudnej, zielonawej barwy; trzymali to zawinięte w liście i niekiedy połykali po kawałeczku, ale takim malutkim,

że się miało wrażenie, jak gdyby to robili raczej dla pozorów, nie zaś by się naprawdę pożywić. Dlaczego, w imię wszystkich szatanów żrącego głodu, nie rzucili się na nas — było ich trzydziestu na pięciu — aby raz się napchać porządnie, to mię zdumiewa, gdy teraz o tym myślę. Byli to wielcy, tędzy mężczyźni, nie bardzo zdolni do zważenia następstw takiego postępku, a przy tym odważni i silni — jeszcze silni, choć skóra ich już nie lśniła, a mięsy zwiotczały. I pojąłem, że wchodzi tu w grę jakiś hamulec, jedna z tych ludzkich tajemnic niemożliwych do przeniknięcia. Patrzyłem na nich ze wzrastającym szybko zajęciem, nie wywołanym bynajmniej myślą, że może zjedzą mnie wkrótce — choć przyznam się wam, iż właśnie wtedy spostrzegłem — niejako w nowym oświeceniu — jak niezdrowo wyglądają pielgrzymi, i miałem nadzieję, tak! doprawdy miałem nadzieję, że mój wygląd nie jest taki — jakby to powiedzieć? — taki — nieapetyczny; ten rys fantastycznej próżności harmonizował z poczuciem snu na jawie, przenikającym wówczas wszystkie moje dni. Możliwe, że miałem trochę gorączki. Nie można żyć ciągle z ręką na pulsie. Miewałem często „trochę gorączki“, a może i co innego — może to były żartobliwe uderzenia łap dziczy, wstępne igraszki przed groźniejszym napadem, który nastąpił we właściwym czasie. Tak; patrzyłem na tych Murzynów, jak się patrzy na każde ludzkie stworzenie, chcąc poznać jego popędy, motywy, uzdolnienia, słabe strony, poddane próbie nieubłaganej fizycznej konieczności. Hamulec! Jakiż hamulec mógł tam działać? Czy to był przesąd, wstręt, lęk, cierpliwość — czy też coś w rodzaju pierwotnego honoru? Żaden lęk nie ostoi się przed głodem, żadna cierpliwość go nie wytrzyma, wstręt wobec głodu po prostu nie istnieje, a co do przesądów, wierzeń i tak zwanych zasad, znaczą mniej niż plewy na wietrze. Czy znacie piekło przeciaglego głodu, jęczące jego męczarnie, czarne myśli, ponure okrucieństwo? Otóż ja znam. Zwalczanie uczucia głodu pochłania wszystkie wrodzone siły człowieka. Łatwiej znieść utratę kogoś bliskiego, utratę honoru, potępienie — niż tego rodzaju przeciagle głód. Smutne, lecz prawdziwe. A przy tym te chło-

py nie miały żadnych absolutnie przyczyn do odczuwania skrupułów. Powściągliwość! Mógłbym się równie dobrze spodziewać powściągliwości od hieny, żerującej wśród trupów na pobojowisku. Ale oto był przede mną ten fakt — jaskrawy, oczywisty, jak piana na głębiach morza — tajemnica większa, gdy się nad nią zastanawiałem, niż dziwny, niepojęty ton rozpaczliwego żalu, dźwięczący w tej dzikiej wrzawie, którą minęliśmy na brzegu, za ślepa białą mgłą.

— Dwaj pielgrzymi sprzeczały się gorączkowym szepcieniem, na którym brzegu rozległ się krzyk. „Na lewym“. „Ależ nie, co pan znów! Na prawym, naturalnie, że na prawym“.

— „Położenie jest bardzo poważne“, rzekł za mną głos dyrektora; byłbym niepokieszony, gdyby coś miało się stać Kurtzowi, nim dojedziemy.

— Spojrzałem na dyrektora i nie miałem najlżejszej wątpliwości, że mówi szczerze. Należał właśnie do tej kategorii ludzi, którym chodzi o zachowanie pozorów. To był jego hamulec. Ale gdy mruknął coś o tym, że trzeba jechać natychmiast, nie zadałem sobie nawet trudu, aby mu odpowiedzieć. Wiedział, tak jak i ja, że to niemożliwe. Gdybyśmy podnieśli kotwicę, znaleźlibyśmy się dosłownie w powietrzu — w przestrzeni. Nie można by wówczas powiedzieć, dokąd jedziemy — w górę, w dół rzeki, czy w poprzek, póki byśmy znów nie dosięgli jednego lub drugiego brzegu — a i wtedy byśmy nie wiedzieli z początku, który to brzeg. Oczywiście nie ruszyłem się z miejsca. Nie miałem ochoty roztrzaskać statku. Nie podobna było sobie wyobrazić bardziej niebezpiecznego miejsca w razie rozbicia. Nawet gdybyśmy nie zatoneśli od razu, mogliśmy być pewni, że zginiemy wnet w taki lub inny sposób.

— „Upoważniam pana do podjęcia wszelkiego ryzyka“ — rzekł dyrektor po krótkim milczeniu.

— „A ja nie podejmę żadnego“ — odrzekłem krótko, co było właśnie odpowiedzią, której oczekiwał, choć mój ton może go zaskoczył.

— „Trudno, muszę się zdać na pański sąd. Pan jest kapitanem“ — rzekł z wyraźną uprzejmością.

— Odwróciłem się do niego tyłem na znak szacunku i patrzałem we mgłę. Jak długo będzie trwała? Był to widok wprost beznadziejny. Drogę do tego Kurtza — który ryl się w ziemi, w pogoni za kością słoniową, wśród tego przeklętego gąszczu — osaczały takie niebezpieczeństwa, jakby był zaczarowaną księżniczką, śpiącą w zamku z bajki.

— „Czy napadną nas, jak pan myśli?“ spytał poufnie dyrektor.

— Nie sądziłem, aby nas zaatakowali, dla różnych oczywistych powodów. Jednym z nich była gęsta mgła. Gdyby chcieli odbić od brzegu w czółnach, zagubiliby się we mgle, co by i nas spotkało, gdybyśmy usiłowali ruszyć z miejsca. Ale zdawało mi się także, iż dżungla na obu wybrzeżach jest absolutnie nie do przebycia — tymczasem tkwiły w niej oczy, oczy, które nas dostrzegły. Nadrzeczne zarośla były na pewno bardzo zwarte, jednak przez gąszcz za nimi można się było przedrzeć. Lecz nie dostrzegłem wcale czółen na rzece w czasie krótkotrwałego podniesienia się mgły — a w każdym razie nie widziałem ich obok parowca. Ale głównym powodem, dla którego atak wydawał mi się niemożliwy, był rodzaj tej wrzawy — tych słyszanych przez nas krzyków. Nie miały charakteru srogiego, zwiastującego bezpośredni wrogi zamiar. Ów zgłęk, choć nieoczekiwany, dziki i gwałtowny, zostawił mi nieodparte wrażenie smutku. Widok parowca przejął z jakiejś przyczyny tych dzikich nieopanowanym bólem. Wykładałem dyrektorowi, że jeśli nam grozi niebezpieczeństwo, to tylko dlatego, że się ocieramy o jakąś wielką, rozpętaną ludzką namiętność. Niezmierna boleść może znaleźć w końcu ujście w gwałcie, ale zwykle przechodzi w apatię...

— Trzeba wam było widzieć, jak pielgrzymi wytrzeszczali na mnie oczy! Zbyt byli przygnębieni, aby się skrzywić lub mnie zwymyślać, ale myśleli pewno, że oszalał — prawdopodobnie ze strachu. Wygłosiłem prawdziwy odczyt. Ale nie było warto się fatygować. A jeśli chodzi o czuwanie nad statkiem, no — chyba sobie wyobrażacie, że czyhałem na podniesienie się mgły jak kot

śledzący mysz; cóż kiedy oczy nie na wiele się mogły przydać, ponieważ byliśmy jak gdyby zagrzebani głęboko w stosie waty. I czuło się tę mgłę jak watę — duszną, ciepłą, dławiącą. Zresztą opinia, którą wypowiedziałem o tych wypadkach — choć na pozór dziwaczna — zgadzała się zupełnie z rzeczywistością. To, o czym mówiliśmy później jako o ataku, było w istocie próbą odparcia nas. Akcja dzikich nie okazała się bynajmniej agresywną — ani nawet obronną w zwykłym tego słowa znaczeniu; została podjęta pod wpływem rozpacz, a w gruncie rzeczy była na wskroś opiekuńcza.

— Rozpoczęła się, powiedzmy, w dwie godziny po podniesieniu się mgły, w miejscu oddalonym mniej więcej o półtorej mili od stacji Kurtza. Gramoliliśmy się właśnie po wodzie, usiłując okrążyć zakręt, gdy zobaczyłem wysepkę, taki zwykły, pokryty trawą, zielony kopiec na środku rzeki. Poza tym nic na rzece nie było, ale gdyśmy posunęli się dalej, spostrzegłem, że to początek długiej, piaszczystej mielizny, a raczej łańcucha płytkich rew, ciągnących się przez środek koryta. Zanurzone w wodzie, bezbarwne, leżały tuż pod powierzchnią, zupełnie jak kręgosłup człowieka, biegnący środkiem pleców pod skórą. Otóż, o ile się dało wymiarkować, mogłem wyminąć tę mieliznę na prawo albo na lewo. Nie znałem, oczywiście, żadnego z obu przesmyków. Brzegi wyglądały mniej więcej jednakowo, głębokość wody również, ale ponieważ uprzedzono mię, że stacja leży na wybrzeżu zachodnim, skierowałem się naturalnie ku zachodniej cieśninie.

— Zaledwieśmy w nią głębiej wjechali, zdałem sobie sprawę, że jest znacznie ciaśniejsza, niż przypuszczałem. Na lewo od nas ciągnęła się długa, nieprzerwana mielizna, a na prawo wysoki, stromy brzeg zarośnięty gęsto krzewami. Nad gąszczem tkwiły drzewa w zwartych rzędach. Gałęzie zwisały gęsto z brzegu, a gdzieś tam sterczał sztywno nad rzeką jakiś wielki konar. Wieczór nadchodził, oblicze lasu było posępne; szeroki pas cienia leżał już na wodzie. Posuwaliśmy się tym cieniem w górę rzeki — bardzo powoli, jak sobie możecie wyobra-

zić. Zboczyłem mocno z drogi w stronę brzegu, ponieważ woda tam była najgłębsza, jak wskazywała tyka do sondowania.

— Jeden z moich głodnych i powściągliwych towarzyszy sondował, stojąc na baku tuż pode mną. Nasz parowiec był zupełnie podobny do wielkiej łodzi z pokładem. Na pokładzie stały dwa małe domki z tekowego drzewa, zaopatrzone w drzwi i okna. Kocioł znajdował się z przodu a maszyny na rufie. Nad tym wszystkim tkwił lekki dach, wsparty na słupkach. Komin przechodził przez ten dach, a przed kominem mała kajuta, zbudowana z lekkich desek, służyła za domek pilota. Był tam tapczan, dwa składane krzeselka, nabity Martini-Henry, stojący w kącie, mały stolczyk i koło sterowe. Z przodu domku były duże drzwi, a w bocznych ścianach okiennice. Wszystko to, oczywiście, stało otworem. Spędzałem tam dni, stercząc na przedniej krawędzi dachu nad drzwiami. W nocy spałem albo starałem się spać na tapczanie. Sterował atletyczny Murzyn, należący do jakiegoś plemienia z wybrzeża, wyszkolony przez mego biednego poprzednika. Był zawinięty od pasa do stóp w granatowe płótno, pysznił się mosiężnymi kółkami, które miał w uszach, i wyobrażał sobie, że jest Bóg wie czym. Nigdy nie zdarzyło mi się spotkać równie niepo czytelnego durnia. Póki się przy nim stało, sterował z zawadiacką miną, ale z chwilą gdy się go traciło z oczu, poddawał się natychmiast panicznemu strachowi i w przeciągu minuty parowiec-kaleka brał górę nad sternikiem.

— Spoglądałem w dół na tykę do sondowania i mocno się niepokoiłem, widząc że za każdym razem coraz bardziej wystaje nad wodą — gdy nagle spostrzegłem, iż sondujący Murzyn zaprzestaje pracy i rozpląszcza się na pokładzie, nie wciągnawszy nawet swej tyki. Nie puścił jej jednak i wlokła się po wodzie. W tej samej chwili palacz, którego również pod sobą widziałem, siadł raptem przed paleniskiem i schylił głowę. Zdumiało mię to. Trzeba było natychmiast spojrzeć na rzekę, ponieważ pień sterczał na naszej drodze. Kijki, drobne kijki zaczęły latać naokoło — aż gęsto było od nich w powietrzu; świs-

tały mi przed nosem, padały niżej, uderzały za mną o domek pilota. A przez cały ten czas rzeka, wybrzeże, las, wszystko było bardzo spokojne — absolutnie spokojne. Słyszałem tylko ciężki chłopot napędowego koła i bębnienie tych kijków. Wyminęliśmy niezgrabnie pień. Jak to, przecież to strzały! Strzelają do nas! Wszedłem prędko do domku, aby zamknąć okiennicę od strony łądu. Ten bałwan, sternik, trzymając ręce na szprychach, podnosił wysoko kolana, tupał i mlaskał jak koń ściągnięty cugłami. Żeby go licha! A tymczasem kołysaliśmy się o dziesięć stóp od wybrzeża. Musiałem się zupełnie wychylić, aby pociągnąć ciężką okiennicę, i ujrzałem na jednym poziomie z sobą twarz wśród liści, patrzącą na mnie bardzo groźnie i spokojnie; nagle, jakby błona opadła mi z oczu, rozróżniłem w głębi skłębionego, mrocznego gąszczu nagie piersi, ręce, nogi, gorące oczy — zarośla roiły się od ludzkich członków w ruchu, połyskujących, brązowych. Gałęzie trzęsły się, chwiały, szeleściły, strzały sypały się spośród nich i okiennica zamknęła się wreszcie.

— „Steruj na wprost“ — powiedziałem do sternika. Trzymał sztywno głowę zwróconą twarzą ku przodowi, ale przewracał oczami, nogi jego wciąż się zwolna podnosiły i opuszczały, na ustach pokazało się trochę piany.

— „Stać spokojnie!“ rzekłem z wściekłością.

— Tak samo byłbym mógł wydać rozkaz drzewu, aby się nie kołysało na wietrze. Wypadłem z kajuty. Pode mną rozległo się gwałtowne szuranie nogami na żelaznym pokładzie i niewyraźne okrzyki; jakiś głos zawołał:

— „Czy pan może zawrócić?“

— Dostrzegłem przed statkiem na wodzie zmarszczkę w kształcie litery V. Jak to? Znowu pień! Pod moimi nogami wybuchał strzelanina. Pielgrzymi zaczęli walić ze swych wincestrów, tryskając po prostu w gąszcz łożewiem. Piekielna masa dymu podniosła się i sunęła zwolna ku przodowi. Zakląłem. Nie mogłem teraz dojrzeć ani zmarszczki na wodzie, ani pnia. Stałem na progu domku, wpatrując się w wodę, a strzały nadlatywały rojami. Może były zatrute, ale zdawało się, że nie mogłyby zabić nawet i kota. Gąszcz zaczął wyć. Nasi drwale podnieśli wo-

jowniczy wrzask; tuż za mymi plecami rozległ się wystrzał i ogłuszył mię. Spojrzałem w tył; domek pilota był jeszcze pełen hałasu i dymu, gdy przypadłem do koła. Ten czarny dureń rzucił wszystko, aby otworzyć okiennicę i strzelić ze stojącego w kącie Martini-Henry. Tkwił przed szerokim otworem i wybałuszał oczy, a ja naprostowałem nagle skręt statku krzycząc, żeby wrócił do steru. Nie starczyło miejsca na zawrócenie z drogi, nawet gdybym tego chciał; pień sterczał gdzieś bardzo blisko w tym przekłętym dymie, nie było czasu do stracenia, więc skierowałem statek ku brzegowi — wprost ku brzegowi, gdzie wiedziałem, że woda jest głęboka.

— Przedzieraliśmy się z wolna przez zwisające zarośla, wśród wiru połamanych gałęzi i lecących liści. Strzelanina w dole ustała; przewidziałem, że tak będzie, kiedy się lufy opróżnią. Odrzuciłem głowę w tył przed błyszczącym świstem, co przeleciał przez domek, wpadłszy przez jeden otwór okienny i wypadłszy przez drugi. Patrząc mimo oszalałego sternika, który potrząsał pustą strzelbą i wrzeszczał w stronę brzegu, dostrzegłem niewyraźne ludzkie postacie; biegły zgięte we dwoje, skakały, sunęły jedna za drugą, widzialne tylko częściowo i znikające niebawem. Coś wielkiego zjawilo się w powietrzu przed okiennicą; strzelba poleciała za burtę, sternik odstał szybko w tył, rzucił mi przez ramię nadzwyczajne, głębokie, poufne spojrzenie i padł na moje nogi. Uderzył boki głowy dwa razy o koło, a koniec czegoś, co się okazało długim kijem, zaklekotał po ścianach i przewrócił składane krzeselko. Sprawiało to takie wrażenie, jakby Murzyn wyrwał ten kij komuś stojącemu na brzegu i stracił równowagę w tym wysiłku. Rzadki dym się rozwił, pień został już wyminięty; patrząc naprzód widziałem, iż o jakie sto jardów dalej będę mógł wykreślić od brzegu, ale w nogi było mi tak dziwnie jakoś ciepło i mokro, że musiałem spojrzeć na podłogę. Murzyn zważył się był na plecy i patrzył w górę wprost na mnie, ścisnąc oburącz ów kij. Była to rękojeść włóczni — rzuconej czy pchniętej przez otwór — która ugodziła go w bok tuż pod żebrami; ostrze schowało się w ciele, zadaw-

szy okropną ranę; pełno krwi miałem w trzewikach, a całe jej jeziorko stało bardzo spokojnie, połyskując ciemną czerwienią pod kołem steru; oczy rannego świeciły dziwnym blaskiem. Strzelanina wybuchła znów. Murzyn spojrział na mnie niespokojnie, trzymając włócznię niby coś cennego, jakby się obawiał, że spróbuję mu ją odebrać. Musiałem się zdobyć na oderwanie wzroku od jego spojrzenia i zajęcie się sterem. Wymacałem nad głową linkę od gwizdawki parowej i zacząłem ją szarpać, śląc spiesznie świst za świstem. Zgiełk gniewnych i wojowniczych wrzasków ustał natychmiast, a z głębi lasu podniósł się drżący i przeciągły lament, pełen tak żalosego strachu i ostatecznej rozpaczki, jakby wszelka nadzieja była uleciała z tej ziemi. W gąszczu wszczął się gwałtowny rozruch; deszcz strzał ucichł, kilka wystrzałów rozległo się głośno raz po raz — po czym nastąpiła cisza, w której odcieżyły rytm koła napędowego dochodził wyraźnie mych uszu. Położyłem ster prawo na burtę w chwili, gdy pielgrzym w różowej pyżamie, bardzo zgrzany i wzburzony, ukazał się we drzwiach.

— „Dyrektor mnie wysłał“ — zaczął urzędowym tonem i urwał. „Wielki Boże!“ rzekł, wlepiając oczy w rannego.

— Staliśmy nad nim, dwaj biali, a świecący i badawczy jego wzrok ogarniał nas obu. Wyglądało to zaiste, jakby chciał natychmiast zadać jakieś pytanie w zrozumiałym dla nas języku; lecz umarł, nie wydawszy żadnego dźwięku, nie poruszywszy członkami, nie drgnąwszy żadnym muskułem. Tylko w ostatniej chwili, jakby w odpowiedzi na jakiś znak, którego nie mogliśmy widzieć, na jakiś szepot, którego nie mogliśmy słyszeć, zmarszczył posępnie brwi, a to nadało jego czarnej, śmiertelnej masce niewypowiedziane ponury, chmurny i groźny wyraz. Połask badawczego spojrzenia rozplynał się szybko w martwej szklistości.

— „Potrafi pan sterować?“ spytałem porywczo agenta.

— Miał minę bardzo niepewną, ale gdy go chwyciłem za ramię, zrozumiał od razu, że żądam, aby sterował, czy ma ochotę, czy też nie. Jeśli mam wyznać prawdę, wprost

chorobliwie chciało mi się zmienić trzewiki i skarpetki.

— „Umarł“ — mruknął tamten, bardzo przejęty.

— „Nie ma co do tego wątpliwości“, odrzekłem, szarpiąc sznurowadła jak szalony. „I przypuszczam, że Kurtz także już nie żyje“.

— Ta myśl górowała we mnie na razie. Tkwiło w niej niezmierne rozczarowanie, jakbym się przekonał, że dążę do czegoś nieuchwytnego. Nie poczułbym się bardziej zniechęcony, gdybym był przebył całą tę drogę, mając wyłącznie na celu rozmowę z Kurtzem. Rozmowę z... Cisnąłem trzewik za burtę i zdałem sobie nagle sprawę, że tego właśnie wyczekiwałem — rozmowy z Kurtzem. Odkryłem dziwną rzecz: nie wyobrażałem go sobie nigdy jako działającego, uważać, tylko jako rozprawiającego. Nie powiedziałem sobie: „teraz go już nigdy nie zobaczę“, albo „teraz już nigdy nie uścisknę mu ręki“, ale: „teraz go już nigdy nie usłyszę“. Ten człowiek przedstawiał mi się jako głos. Naturalnie, że kojarzył mi się w myśli i z pewnego rodzaju działaniem. Czyż mi nie powtarzano na wszelkie możliwe tony zazdrości i podziwu, że ten człowiek zebrał, wymienił na inne towary, wykpił, czy ukradł więcej kości słoniowej niż wszyscy agenci razem? Ale nie o to mi chodziło. Chodziło mi o to, że to był człowiek utalentowany i że ze wszystkich jego talentów tym, który najbardziej rzucał się w oczy, który dawał wrażenie żywej osobowości, była jego zdolność do mówienia, jego słowo — dar wypowiedania się, zdumiewający, rozświetlający, najwznioślejszy i najbardziej godny pogardy, strumień rozedrganego światła lub zwodniczy potok, wpływający z głębi nieprzeniknionej ciemności.

— Drugi trzewik poleciał na ofiarę szatańskiemu bogu tej rzeki. Pomyślałem sobie: zaiste, wszystko już teraz skończone. Spóźniliśmy się; Kurtz znikł, a dar jego przepadł — za sprawą jakiejś włóczni, strzały lub maczugi. I nigdy go już nie usłyszę. Mój smutek miał w sobie dziwne, przesadne wzruszenie, właśnie takie samo jak to, które zauważyłem w wyjąłym smutku dzikich w dżungli. Nie byłbym mógł się czuć bardziej rozpaczliwie samotnym, gdyby mi wydarło jakąś

wiarę, albo gdybym się minął ze swoim przeznaczeniem... Kto to tam wzdycha w taki nieznośny sposób? Idiotyzm? Więc tak, to był idiotyzm. Miłosierny Boże! czy człowiek ma zawsze — — No, ale dajcież mi trochę tytoniu.

Nastała chwila głębokiej ciszy, potem błysnęła zapalka i szczupła twarz Marlowa wystąpiła z mroku, zniszczona, zapadnięta, z fałdami zbiegającymi ku dołowi, ze spuszczoneymi powiekami, jakby uważna i skupiona; a gdy raz po raz pociągał silnie fajkę, twarz jego zdawała się cofać w noc i znów występować, w miarę tego jak drobny płomyk pełgał w regularnych odstępach. Zapalka zgasła.

— Idiotyzm! — zawołał. — To najprzykrzejsze, że nie możecie mnie zrozumieć... Oto jesteście tu wszyscy, każdy z was zaopatrzony w dwa dobre adresy, jak hulka tkwiący na dwóch kotwicach; każdy ma rzeźnika za jednym rogiem, policjanta za drugim, doskonały apetyt i normalną temperaturę — słyszycie? — normalną przez rok okrągły. I mówicie: idiotyzm. Do diabła z idiotyzmem! Idiotyzm! Moi drodzy, czego się można spodziewać po człowieku, który jedynie z zdenerwowania wyrzucił przed chwilą za burtę parę nowych trzewików! Gdy teraz o tym wspominam, zdumiewam się, że nie zacząłem płakać. Jestem na ogół dumny ze swojej siły charakteru. Czuję się dotknięty do żywego myślą, że przepadł dla mnie bezcenny przywilej przysłuchiwania się utalentowanemu Kurtzowi. Nie miałem oczywiście racji. Ten przywilej czekał na mnie. O tak, nasłuchiwałem się Kurtza aż do przesytu. I okazało się, że moje pojęcie o nim było słuszne. Głos. Kurtz był prawie tylko już głosem. I słuchałem go — tego głosu — innych głosów — wszyscy byli prawie że tylko głosami — i nawet wspomnienia o tamtych czasach błakają się koło mnie — nieuchwytnie — jak zamierająca wibracja jakiejś nieskończonej paplaniny, głupiej, okrutnej, plugawej, dzikiej lub po prostu pospolitej, pozbawionej wszelkiego sensu. Głosy, głosy — nawet i ta dziewczyna — Otóż —

Milczał długi czas.

— Odzegnałem się w końcu kłamstwem od wizji jego talentów — zaczął nagle. — Dziewczyna! Co? Wspom-

niałem o dziewczynie? Och, ona jest poza tym — najzupełniej! One — mam na myśli kobiety — są poza tym — i tak być powinno. Musimy im pomagać, aby mogły pozostać w tym swoim pięknym świecie, bo inaczej nasz świat stałby się jeszcze gorszy. Och, ona musiała być poza tym wszystkim. Trzeba wam było słyszeć, jak wyciągnięte z grobu ciało Kurtza mówiło: „Moja narzeczona“. Bylibyście zrozumieli natychmiast, jak dalece ona była poza tym. A to wyniosłe czoło Kurtza! Mówią, że włosy rosną i potem, ale ten — hm — okaz był wybitnie łysy. Dzicz poklepała go po głowie i oto głowa ta uczyniła się podobną do kuli, do kuli z kości słoniowej; dzicz popieściła go — i oto zwiadł; zagarnęła go, pokochała, otoczyła ramionami, przeniknęła mu do żył, pożarła ciało i przykuła jego duszę do swojej przez niepojęty rytuał jakiegoś szatańskiego wtajemniczenia. Stał się jej rozpieszczonym i zepsutym ulubieńcem. Kość słoniowa? Oczywiście! Całe kupy, całe sterty kości słoniowej. Stara szopa z mułu była nią przepelniona. Mogło się здаwać, że ani jeden kiel nie pozostał na ziemi czy pod ziemią, w całym kraju. „Przeważnie kopalna“, zauważył pogardliwie dyrektor. Była równie kopalna jak i ja jestem kopalny; tak nazywają kość słoniową wydobytą z ziemi. Okazuje się, że Murzyni niekiedy kły zakopują, ale najwidoczniej nie umieli zakopać tej partii tak głęboko, aby uchronić utalentowanego Kurtza przed jego przeznaczeniem. Zapelniliśmy kłami parowiec i jeszcze musieliśmy ułożyć cały ich stos na pokładzie. Toteż Kurtz mógł patrzeć na nie i cieszyć się nimi, póki żył jeszcze, gdyż oceniał ten dar losu aż do końca. Trzeba go było słyszeć, jak mówił: „Moja kość słoniowa“. O tak, słyszałem go. „Moja narzeczona, moja kość słoniowa, moja stacja, moja rzeka, moje —“ — wszystko należało do niego. Powstrzymałem oddech spodziewając się, że puszcza buchnie szalonym śmiechem, od którego gwiazdy zadrzą w posadach. Wszystko należało do niego — ale to drobnostka. Trzeba było przede wszystkim ustalić, do kogo on należał, ile ciemnych potęg uważało go za swoją własność. Skóra cierpła na człowieku, kiedy się o tym myślało. Nie można sobie było tego wystawić — i nawet

niedobrze było zastanawiać się nad tym. Kurtz zajął wysokie miejsce wśród szatanów tego kraju — mówię to dosłownie.

— Nie możecie tego zrozumieć! I cóż dziwnego? Macie pod nogami solidny bruk, otaczają was życzliwi sąsiedzi, którzy gotowi są dodać wam ducha albo rzucić się na was, kroczycie sobie ostrożnie między reżnikami a policjantem, przejści z bawinnym strachem przed skandalem, i szubienicą, i zakładem dla obłąkanych — więc jakżebyście mogli sobie wyobrazić owe szczególne krainy pradawnych wieków, dokąd nieskrępowane kroki mogą człowieka zaprowadzić przez samotność — zupełną samotność, bez policjanta — przez milczenie — zupełne milczenie, w którym się nie rozlegnie żaden głos dobrotliwego sąsiada, szepczącego o opinii publicznej. Te wszystkie drobne rzeczy składają się na wielką różnicę. Kiedy ich zbraknie, musi się człowiek oprzeć na własnej, wrodzonej sile, na swojej własnej prawości. Można być oczywiście zbyt wielkim głupcem, aby zejść z prostej drogi — zbyt tępym, by po prostu czuć, że się jest napastowanym przez mroczne potęgi. Twierdzą, iż żaden głupiec nie sprzedał nigdy diabłu swej duszy; może głupiec jest na to za głupi, a może diabeł zbyt diabelski — nie umiem tego powiedzieć. Zdarzają się też czasem tak wściekle podniosłe istoty, że są najzupełniej głuche i ślepe na wszystko prócz niebiańskich widzeń i dźwięków. Dla nich ziemia jest tylko miejscem postoju — a czy taka natura jest dla człowieka stratą czy zyskiem — nie podejmę się rozstrzygnąć. Ale większość z nas nie należy ani do jednego, ani do drugiego z tych typów. Ziemia jest dla nas miejscem, gdzie żyjemy, gdzie musimy znosić różne widoki, dźwięki a także i zapachy, dalibóg! oddychać wonią zdechłego hipopotama, że się tak wyrażę, a jednak się nie zatruć. Właśnie tutaj — rozumiecie mnie? — wchodzi w grę siła człowieka — wiara w swoją umiejętność dyskretnego kopania dolów, w których się zagrzebuje różne odpadki — zdolność do oddania się nie własnemu celowi, ale jakiejś sprawie bynajmniej nie rozgłośnej — przygniatającej swoim ciężarem. A to jest dosyć trudne.

— Zrozumcie, że nie staram się nikogo usprawiedliwiać ani nawet tłumaczyć — staram się tylko zdać sobie sprawę z — z — Kurtza — z cienia Kurtza. Ten wtajemniczony duch, który przyszedł z głębi nicości, zaszczyił mnie zdumiewającą ufnością przed swym ostatecznym zniknięciem. A to z tego powodu, że mógł mówić ze mną po angielsku. Dawny, realny Kurtz kształcił się częściowo w Anglii i — jak sam łaskawie oświadczył — sympatie jego leżały po właściwej stronie. Matka jego była na wpół Angielką, ojciec — na wpół Francuzem. Cała Europa złożyła się na Kurtza; i dowiedziałem się z czasem, że *Międzynarodowe Towarzystwo Tępienia Dzikich Obyczajów* powierzyło mu opracowanie referatu jako wytycznej dla tegoż towarzystwa. A Kurtz ten referat napisał. Widziałem go. Czytałem. Był wymowny, tętniący wymową, lecz nastrojony na zbyt wysoką nutę, jak mi się zdaje. Kurtz znalazł czas, by wypełnić gęstym pismem całych stron siedemnaście! Ale to było zapewne, nim jego — powiedzmy — nerwy się rozkleiły, co sprawiło, że przewodniczył o północy pewnym tańcom, kończącym się obrzędami, o których mówić nie sposób i które — o ile mogłem wynioskować z odrazą z tego, co w różnych czasach słyszałem — odbywały się na jego cześć — rozumiecie? na cześć Kurtza we własnej osobie. Ale raport był pięknym kawałkiem prozy. Tylko że pierwszy jego paragraf wydaje mi się teraz złowróżbnym w świetle późniejszych informacji. Zaczynał się od argumentu, że my, biali, na osiągniętym przez nas szczyble rozwoju „musimy z natury rzeczy wydawać się im (dzikim) nadnaturalnymi istotami — zbliżamy się do nich z potęgą jak gdyby bóstwa“ — i tak dalej i tak dalej. „Przez prosty wysiłek woli możemy rozwinąć dodatnią działalność o potędze iście nieograniczonej“, itd., itd. Od tego punktu wznosił się coraz wyżej i uniośł mnie z sobą. Perora była wspaniała, choć, wiecie, trudna do zapamiętania. Wywołała we mnie obraz jakiegoś egzotycznego Bezmiaru, rządzonego przez wzniosłą Dobrotliwość. Porwał mię zapał. Był to skutek bezgranicznej potęgi wymowy — słów — płomiennych, szlachetnych słów. Żadne praktyczne wskazówki nie przerywały

magicznego toku zdań, chyba że uznamy za rozwinięcie metody coś w rodzaju notatki przy końcu ostatniej strony, notatki nagryzmołonej niepewną ręką snać znacznie później. Była bardzo prosta i u końca tego wzruszającego wezwania do wszelkich altruistycznych uczuć gorzała, jaśniejąca i przeraźliwa, jak błyskawica wśród pogodnego nieba: „Wytepić wszystkie te bestie!“

— Co ciekawe, Kurtz zapomniał widać zupełnie o swym cennym postscriptum, gdyż później, kiedy w pewnej mierze przyszedł do siebie, błagał mię raz po raz, abym przechował starannie jego „broszurkę“ (jak mówił); nie wątpił widać, że ów referat wywrze w przyszłości dodatni wpływ na jego karierę. Byłem dokładnie poinformowany o wszystkich tych sprawach, a przy tym tak się złożyło, że musiałem się zaopiekować dobrą sławą Kurtza po jego śmierci. Zrobiłem tyle dla jego opinii, że uzyskałem niezaprzeczone prawo złożenia jej — gdybym miał wolny wybór — na wieczny spoczynek między odpadkami postępu, wśród wszelkiego śmiecia i, mówiąc w przenośni, wszelkiej padliny cywilizacji. Tylko że, widzicie, nie mam wolnego wyboru. Kurtz nie pozwala o sobie zapomnieć. Mimo wszystko nie był to człowiek pospolity. Miał władzę ciągnięcia za sobą pierwotnych dusz — przez swój czar czy też grozę — w straszliwy, szatański taniec na własną cześć; potrafił napełniać gorzkimi obawami małe duszyczki pielgrzymów; miał co najmniej jednego oddanego przyjaciela i zdobył na tym świecie duszę, która nie była ani pierwotna, ani zatruta sobkostwem. Nie; nie mogę o nim zapomnieć, chociaż nie twierdziłbym, że wart był istotnie ludzkiego życia, któreśmy stracili, docierając do stacji. Brakowało mi strasznie zabitego sternika — odczułem dotkliwie jego brak już wówczas, gdy leżał martwy w domku pilota. Może uznacie za bardzo dziwaczny ten żal za dzikusiem, który nie znaczył więcej od ziarenka piasku w czarnej Saharze. Czyż nie rozumiecie, że ten Murzyn coś robił, że sterował; przez całe miesiące tkwił za moimi plecami — jako pomoc — jako narzędzie. To było coś w rodzaju spółki. Sterował na mój rozkaz — musiałem go pilnować, irytowały mię jego wady i w taki sposób po-

wstały między nami subtelne więzy, z których zdałem sobie sprawę dopiero po ich zerwaniu. A poufna głębookość wzroku, którym ogarnął mię w chwili, gdy został raniony, pozostała mi po dziś dzień w pamięci — niby apel odległego pokrewieństwa, stwierdzonego w ostatniej chwili.

— Biedny głuptas! Czemuż nie zostawił w spokoju tej okiennicy. Ale nie miał hamulca, nie miał żadnego hamulca — zupełnie jak Kurtz — drzewo miotane wichrem. Natychmiast po włożeniu suchych pantofli wyciągnąłem go na pokład, wyrwawszy mu przedtem włócznię z boku, a muszę wyznać, że wykonałem tę operację z zaciśniętymi powiekami. Pięty jego przeskoczyły razem przez niski próg; przycisnąłem jego grzbiet do swych piersi; objąłem go od tyłu rozpaczliwym chwytem. Ach, jakież on był ciężki, jaki ciężki, cięższy od wszystkich innych ludzi — tak mi się przynajmniej zdawało. Potem bez dalszych ceregieli wyrzuciłem go za burtę. Prąd porwał ciało jak żdźbło trawy i widziałem jeszcze, jak się obróciło dwa razy, nim na zawsze straciłem je z oczu. Wszyscy pielgrzymi i dyrektor byli wówczas zebrani na osłoniętym pomoście w koło domku pilota, papląc między sobą jak stado podnieconych srok; mój pośpiech świadczący o braku serca, wywołał pomruk zgorszenia. Dlaczego ci ludzie chcieli, aby trup się poniewierał po statku, nie umiem tego odgadnąć. Może zamierzali go zabalsamować. Ale usłyszałem też inny pomruk z dolnego pokładu — pomruk bardzo złowieszczy. Moi przyjaciele drwale byli również zgorszeni, ale mieli po temu daleko istotniejszą przyczynę — choć przyznaję, że ta przyczyna sama przez się była zupełnie niedopuszczalna. Ale to zupełnie! Otóż postanowiłem, że jeśli już mój umarły sternik ma być zjedzony, to tylko przez ryby. Za życia był sternikiem bardzo druzgordnym, ale po śmierci mógł się stać pierwszorzędną pokusą i nawet wywołać jakieś groźne kłopoty. Poza tym spieszo mi było wrócić do steru, gdyż człowiek w różowej pyżamie okazał się beznadziejnym durniem przy tej robocie.

— Zrobiłem to natychmiast, skończywszy z prostym pogrzebem. Płynęliśmy połową szybkości, trzymając się

samego środka rzeki; przysłuchiwałem się rozmowom, toczącym się naokoło. Wszyscy postawili już krzyż nad Kurtzem i stacją; Kurtz nie żyje, stacja spalona i tak dalej — i tak dalej. Rudy pielgrzym nie posiadał się z radości na myśl, że ten biedny Kurtz został przynajmniej należyście pomszczony.

— „Powiedzcie tylko! Sprawiliśmy im porządną rzeź w tej dżungli — może nie? No? Co o tym myślicie? Prawda?“

— Ten krwiożerczy, mały, bojaźliwy łajdak tańczył po prostu z uciechy. A przedtem o mało co nie zemdlał na widok rannego człowieka. Nie mogłem się powstrzymać i rzekłem:

— „W każdym razie narobiliście panowie mnóstwo dymu“.

— Widziałem po wierzchołkach zarośli, które wstrząsnęły się i opadły, że prawie wszystkie strzały poszły za wysoko. Nie można trafić, jeśli się nie celuje i nie strzela od ramienia, tymczasem ci faceci strzelali, oparłszy kolbę o biodro i zamknawszy oczy. Twierdziłem więc — i miałem rację — że odwrót dzikich był wywołany przez świst gwizdawki parowej. Usłyszawszy to, pielgrzymi zapomnieli o Kurtzu i zaczęli na mnie ryczeć, zaprzeczając z oburzeniem.

— Dyrektor stał obok koła i szeptał do mnie poufnie, że w każdym razie trzeba koniecznie ujechać dobry kawał w dół rzeki, zanim się ściemni, gdy wtem spostrzegłem w oddali polankę na wybrzeżu i zarysy jakiegoś budynku.

— „Co to takiego?“ spytałem.

— Klasnął w ręce ze zdziwienia.

— „Stacja!“ wykrzyknął. Skręciłem od razu ku brzegowi, jadąc wciąż połową szybkości.

— Zobaczyłem przez szkła stok pagórka i z rzadka po nim rozsiane drzewa bez żadnego podszycia. Długa, chyłająca się do upadku budowla na szczycie wzgórza nurzała się do połowy w wysokiej trawie; wielkie dziury na stromym dachu ziały czernią z oddali; tło stanowiły lasy i dżungla. Nie dostrzegłem ogrodzenia ani żadnego płotu; ale widać poprzednio stało tam coś w tym rodzaju, bo bli-

sko domu tkwiło rzędem pół tuzina wysmukłych, z grubo ciosanych pali, o szczytach ozdobionych okrągłymi, rzeźbionymi kulami. Znikła spomiędzy tych słupów bariera, czy cokolwiek tam było innego. Las otaczał naturalnie to wszystko. Brzeg był pusty, a tuż nad wodą zobaczyłem białego pod kapeluszem wielkości koła od wozu; człowiek ów kiwał na nas wytrwale ramieniem. Przypatrując się skrajowi lasu w górze i w dole, byłem prawie pewien, że widzę tam jakiś ruch — ludzkie kształty przesuwające się gdzieś tam. Przejechałem przezornie obok stacji, po czym zatrzymałem maszyny i pozwoliłem statkowi dryfować w dół. Człowiek na brzegu zaczął wołać, nastając, abyśmy wylądowali.

— „Napadli nas!“ krzyknął dyrektor.

— „Wiem, wiem. To dobrze“ — odkrzyknął tamten wesoło jakby nigdy nic. „Chodźcie tu. Wszystko w porządku. Bardzo się cieszę“.

— Wygląd jego przypominał mi coś znanego — śmiesznego — co już kiedyś widziałem. Manewrowałem, aby przybić do brzegu, pytając się siebie: „Do czego ten człowiek jest podobny?“ Nagle błysnęło mi w głowie: wyglądał jak arlekin. Miał na sobie ubranie z jakiegoś materiału, prawdopodobnie z brązowego płótna, które całe było pokryte łatami, jasnymi łatami, niebieskimi, czerwonymi i żółtymi — łaty na plecach, łaty na przodzie, łaty na łokciach, na kolanach; barwna lamówka u kurtki, szkarłatna naszywka u końca spodni; w blasku słońca wyglądał w tym niezmiernie wesoło a przy tym dziwnie schludnie, gdyż było widać, jak pięknie te wszystkie łaty są zrobione. Chłopięca twarz, bez zarostu, o bardzo jasnej cerze, rysy bynajmniej nie wybitne, łuszczący się nos, małe niebieskie oczka; a na tej szczerzej fizjonomii śmiech i pośpiech, goniące się wciąż nawzajem, jak blaski i cienie po równinie zamiatanej przez wicher.

— „Niech pan uważa, panie kapitanie!“ krzyknął; „tu tkwi pień od wczorajszego wieczoru“.

— Co takiego? Jeszcze jeden pień? Wyznaję, że zakląłem haniebnie. O mały włos nie wybiłem dziury w moim kalece na zakończenie tej uroczej podróży. Arlekin na wy-

brzeżu podniósł ku mnie swój mały, mopsi nosek.

— „Pan jest Anglikiem?“ zapytał, cały w uśmiechach.

— „A pan?“ zawołałem od koła.

— Uśmiech znikł z jego twarzy; potrząsnął głową, jakby się martwił moim rozczarowaniem. Potem się wnet rozweselił.

— „To nic!“ krzyknął zachęcająco.

— „Czyśmy jeszcze zdążyli?“ zapytałem.

— „On jest tam na górze“ — odparł, kiwnąwszy głową w stronę pagórka i nagle sposepniał. Twarz jego była podobna do jesiennego nieba, chmurna i rozjaśniona na przemian.

Gdy dyrektor z eskortą pielgrzymów, uzbrojonych od stóp do głów, udał się do stacyjnego budynku, facet ów przyszedł na pokład. Rzekłem do niego:

— „Wie pan, to mi się nie podoba. Dzicy siedzą tam w gąszczu“. Zapewnił mię poważnie, że wszystko jest dobrze.

— „To prości ludzie“, dodał; „no, cieszę się, żeście przyjechali. Przez cały ten czas byłem zajęty tylko tym, aby ich utrzymać z daleka“.

— „Ależ pan powiedział, że wszystko jest dobrze“, zawołałem.

— „Ach, oni nie mieli żadnych złych zamiarów“, rzekł i poprawił się, widząc, że się w niego wpatruję: „W gruncie rzeczy nie mieli złych zamiarów“. Potem oświadczył żywo: „Słowo daję, wasz domek pilota potrzebuje na gwałt wyczyszczenia“. W następnej sekundzie poradził mi, aby zostawić dość pary w kotle dla uruchomienia gwizdawki w razie jakiej biedy. „Jeden porządny gwizd więcej wam pomoże niż wszystkie wasze strzelby. To prości ludzie“, powtórzył. Mełł wciąż językiem w takim tempie, że zupełnie mię oszołomił. Zdawało się, że chce sobie powetować długie okresy milczenia, i rzeczywiście przyznał się do tego ze śmiechem.

— „A z Kurtzem pan nie rozmawia?“ — rzekłem.

— „Z tym człowiekiem się nie rozmawia — jego się słucha“ — wykrzyknął z surową egzaltacją. „Tylko że teraz — —“ — Machnął ręką i w mig pograżył się

w ostatecznym zgnębieniu. Po upływie sekundy otrząsnął się z niego w podskoku, porwał mię za obie ręce i potrząsał nimi czas dłuższy, bąkając: „Kolega marynarz... honor... przyjemność... rozkosz... przedstawić się... Rosjanin... syn archireja... gubernia tambowska... Co? Tytoń! Angielski tytoń; świetny tytoń angielski! Doprawdy, to po bratersku. Czy palę? Gdzieżby marynarz nie palił!”

— Fajka wpłynęła na niego kojąco; stopniowo się dowiedziałem, że uciekł ze szkół i dostał się na morze na rosyjskim statku; potem uciekł znów i służył czas pewien na statkach angielskich; był już teraz w zgodzie z archirejem. Kładł na to nacisk.

— „Ale kiedy się jest młodym, trzeba zobaczyć różne rzeczy, zdobyć doświadczenie, zapoznać się z różnymi pojęciami; rozszerzyć swój widnokrąg.“

— „Tutaj?“ przerwałem.

— „Tego nigdy nie można przewidzieć! Tutaj spotkałem Kurtza“, rzekł w młodzieńczym porywie tonem uroczystym i pełnym wyrzutu. Odtąd trzymałem już język za zębami. Okazało się, że namówił zarząd jakiegoś holenderskiego domu handlowego z wybrzeża, aby go zaoopatrzono w zapasy i towary, po czym wyruszył z lekkim sercem w głąb kraju, mając wprost dziecinne wyobrażenie o tym, co go czeka. Wędrował w pobliżu tej rzeki już prawie dwa lata, samotny, odcięty od wszystkich i od wszystkiego.

— „Nie jestem taki młody, na jakiego wyglądam. Mam już dwadzieścia pięć lat“, rzekł. „Stary Van Shuyten posyłał mię z początku do wszystkich diabłów“, rozpowiadał z wielkim ożywieniem; „ale uczepiłem się go i póty gadałem i gadałem, aż wreszcie zaczął się bać, że wygadam mu dziurę w brzuchu, no i dał mi trochę tanich towarów oraz parę strzelb oświadczając, iż ma nadzieję nigdy już mojej twarzy nie ujrzeć. To zacny stary Holender, ten Van Shuyten. Posłałem mu przed rokiem małą partię kości słoniowej, więc nie będzie mógł nazwać mnie złodziejem, gdy wrócę. Mam nadzieję, że ją otrzymał. O resztę nie dbam. Urąbałem dla was trochę drzewa. Tam jest mój dawny dom. Czy pan go widział?“

— Dałem mu książkę Towsona. Zrobił ruch, jakby chciał pocałować, ale się powstrzymał.

— „Jedyna książka, która mi pozostała — myślałem, że ją zgubiłem“, rzekł, patrząc na nią z ekstazą. „Tyle różnych wypadków zdarza się człowiekowi, włączacemu się samotnie, pan to rozumie. Czasem wywróci się łódka — a czasem znów trzeba się piorunem wynosić, kiedy się ludzie pogniewają“.

Przewracał kartkę za kartką.

— „Pan robił notatki po rosyjsku?“ — spytałem. Skinął głową. „A mnie się zdawało, że to szyfr“, rzekłem. Roześmiał się, potem znów spoważniał.

— „Z wielką trudnością utrzymałem tych ludzi z daleka“ — powiedział.

— „Czy chcieli pana zabić?“ — spytałem.

— „Ach nie!“ krzyknął i urwał.

— „Dlaczego nas napadli?“ ciągnąłem. Zawahał się i rzekł wstydliwie:

— „Nie chcę, aby odjechał“.

— „Doprawdy?“ rzekłem z zaciekawieniem. Kiwnął głową tajemniczo z mądrą miną.

— „Mówię panu“, zawołał, „że ten człowiek wzbogacił mi duszę“.

— Otworzył szeroko ramiona, wpatrując się we mnie małymi, niebieskimi oczkami, które były zupełnie okrągłe.

III

— Patrzałem na niego, pogrążony w zdziwieniu. Oto stał przede mną pełen zapału, odziany w tę pstrokaczną, jakby zbieglą z trupy aktorów — postać z bajki. Samo jego istnienie było nieprawdopodobne, niewytłumaczone, i wręcz oszałamiające. Stanowił nierozwiązalną zagadkę. Niepojętym było, jak mógł w ogóle istnieć, jak mu się udało dotrzeć tak daleko, jak zdołał przetrwać — dlaczego nie zginął natychmiast.

— „Szedłem sobie trochę dalej“, mówię, „a potem jeszcze trochę dalej — aż wreszcie zaszedłem tak daleko, że nie wiem, jakim sposobem będę mógł kiedyś wrócić. Ale to nic. Czasu mam dosyć. Jakoś to będzie. Zabierajcie Kurtza prędko, prędko — już ja wam to mówię“.

— Czar młodości opromieniał jego różnokolorowe lachmany, jego nędzę, jego samotność i pustkę jego bezcelowych wędrówek. Przez miesiące, przez całe lata życia tego człowieka nie było warte i szeląga; a oto stał przede mną, pełen nieświadomej żywotności, odwagi, i — rzekłbyś — niezniszczalny, jedynie przez swą młodość i odruchowe męstwo. Ogarnęło mię coś jak podziw — jak zazdrość. Złudny czar gnał go naprzód — złudny czar go ochraniał. Ów młodzik nie żądał z pewnością niczego od dzicy prócz przestrzeni, aby móc oddychać i posuwać się naprzód. Potrzebą jego było istnieć i dążyć przed siebie z możliwie największym ryzykiem, wśród jak najcięższych przywacj. Tym młodzieńcem, pokrytym łatami, władał absolutnie czysty, bezinteresowny i najmniej praktyczny z awanturniczych duchów, jakie kiedykolwiek rządziły ludzką istotą. Zazdrościłem mu prawie tego skromnego i jasnego płomienia. Zdawało się, że ów płomień pochłonął w nim tak doszczętnie każdą myśl samolubną, iż nawet gdy słuchałem o jego przygodach, zapomniałem, że

to właśnie on — ten człowiek stojący przede mną — przeszedł wszystkie te rzeczy. Nie zazdrościłem mu jednak uwielbienia dla Kurtza. Wcale się nad nim nie zastanawiał. Przyszło do niego i przyjął je z pewnego rodzaju żarliwym fatalizmem. Muszę powiedzieć, że to uczucie wydało mi się ze wszech miar największym chyba niebezpieczeństwem, jakie napotkał dotychczas.

— Spotkanie tych ludzi było nieuniknione, jak zetknięcie się dwóch okrętów, ogarniętych ciszą burta w burte i ocierających się w końcu o siebie. Kurtz potrzebował widać słuchacza, bo wiem, że przy pewnej okazji rozmawiali przez całą noc, rozłożywszy się obozem w lesie; a właściwie pewnie sam Kurtz tylko mówił.

— „Rozmawialiśmy o wszystkim“, rzekł jego wielbiciel, porwany tym wspomnieniem. „Zapomniałem, że sen w ogóle istnieje. Miałem wrażenie, że ta noc nie trwała i godziny. O wszystkim! O wszystkim!... A także i o miłości“.

— „Ach, więc mówił z panem o miłości!“ rzekłem, mocno tym ubawiony.

— „Nie tak jak pan myśli!“ wykrzyknął prawie namiętnie. „Mówił o miłości w ogóle. Odsłonił przede mną takie rzeczy — takie rzeczy —“

— Podniósł gwałtownie ramiona. Byliśmy wówczas na pokładzie i starszy wśród moich drwali, który się waleśsał w pobliżu, zwrócił na niego ociężałe, błyszczące oczy. Rozejrzałem się i nie wiem dlaczego, ale doprawdy — nigdy, nigdy jeszcze ten kraj, ta rzeka, ta dżungla, nawet sklepienie tego jaśniejącego nieba nie wydały mi się tak beznadziejne i tak ponure, tak nieprzeniknione dla ludzkiej myśli, tak bezlitosne dla ludzkiej słabości.

— „I otdąd, naturalnie, był pan z nim ciągle razem?“ rzekłem.

— Okazało się, że nie. Stosunki ich ulegały częstym przerwom z wielu powodów. Pielęgnował Kurtza, jak mi oświadczył z dumą, podczas dwóch chorób (wspominał o tym niby o ryzykownym jakimś czynie), ale zazwyczaj Kurtz wędrował sam, daleko w głębi lasów.

— „Przychodziłem tu często na stację i nieraz musia-

łem czekać wiele dni, zanim się zjawił“ — opowiadał. „Ach, warto było czekać! — niekiedy“.

— „A co Kurtz robił? Badał okolice czy co?“ zapytałem.

— „O tak, naturalnie“; Kurtz odkrył bardzo wiele wsi, a także jezioro — wielbiciel jego nie wiedział dokładnie, w jakim kierunku — niebezpiecznie było zanadto się dopytywać — ale w tych wyprawach chodziło mu przeważnie o kość słoniową.

— „Przecież nie miał już wówczas towarów do handlu“, wtrąciłem.

— „Spora ilość naboji została po dziś dzień jeszcze“ — odpowiedział, nie patrząc mi w oczy.

— „Mówiąc bez ogródek, łupił po prostu kraj“, rzekłem. Tamten skinął głową. „Z pewnością nie sam jeden!“ Mruknął coś w odpowiedzi o wsiach wkoło tego jeziora. „Kurtz namówił tamte plemiona, aby szły za nim, prawda?“ poddałem. Poruszył się niespokojnie.

— „Oni go ubóstwiali“, rzekł.

— Ton jego słów był taki nadzwyczajny, że popatrzyłem na niego badawczo. Zaciekało mię, z jaką skwapliwością, a zarazem rezerwą mówił o Kurtzu. Ten człowiek wypełniał jego życie, zaprzętał jego myśli, rządził jego wzruszeniami.

— „Czemu pan się tak dziwi?“ wybuchnął; „przybył do nich z gromem i błyskawicą, rozumie pan — nigdy w życiu czegoś podobnego nie widzieli — i wzbudził w nich okrutny strach. On potrafi być bardzo straszny. Nie można go sądzić jak zwykłego człowieka. Nigdy w życiu! Otóż... niech tam, powiem to, żeby panu dać o nim wyobrażenie: raz to i mnie chciał zastrzelić — ale ja go sądzić nie będę“.

— „Zastrzelić pana!“ wykrzyknąłem. „I za co?“

— „Miałem tam trochę kości słoniowej, którą mi dał naczelnik tej wsi koło mego domku. Widzi pan, strzelałem dla nich zwierzynę. No więc Kurtzowi zachciało się tej kości słoniowej i nie dał sobie przemówić do rozsądku. Oświadczył, że mię zastrzeli, jeśli mu tych kłów nie dam i nie wyniosę się potem z kraju; że mnie zastrzeli, bo może to zrobić i ma na to ochotę, i nic go na świecie nie po-

wstrzyma od zabicia, kogo mu się żywnie podoba. To była prawda. Dałem mu tę kość słoniową. Cóż mi tam na niej zależało! Ale się nie wyniosłem. O nie. Nie mogłem go opuścić. Musiałem naturalnie być ostrożnym, pókiśmy się znowu na pewien czas nie zaprzyjaźnili. Chorował właśnie wtedy po raz drugi. Potem trzeba było znów schodzić mu z oczu, ale nic sobie z tego nie robiłem. Mieszkał przeważnie w tych wsiach nad jeziorem. Kiedy przychodził nad rzekę, to czasem mnie lubił, a czasem lepiej się było pilnować. Ten człowiek za wiele cierpiał. Nienawidził tego wszystkiego i jakoś nie mógł tego porzucić. Kiedy mi się trafiała sposobność, prosiłem go, żeby rzucił to wszystko, póki jeszcze czas; proponowałem, że wrócę z nim razem. Mówił: dobrze, a potem zostawał; wyruszał znów na poszukiwanie kości słoniowej; znikał na całe tygodnie; zapamiętywał się wśród tych ludzi — zapamiętywał się — rozumie pan“.

— „Przecież to wariat“ — rzekłem.

— Zaprzeczył mi z oburzeniem. Gdzieżby Kurtz mógł być wariatem. Gdybym go słyszał mówiącego jeszcze przed dwoma dniami, nie śmiałybym napomykać o czynis podobnym... Wziąłem znów do ręki lunetę, podczas gdy tamten mówił, i patrzyłem na brzeg, wodząc szklami po skraju lasu z obu stron domu i za nim. Niepokoiła mię świadomość, że tam są ludzie w tym gąszczu, tacy cisi, tacy spokojni — równie spokojni i cisi jak walący się dom u szczytu wzgórza. Na obliczu natury nie było żadnego śladu tej zdumiewającej historii, której Rosjanin właściwie mi nie opowiadał, napomykał mi tylko o niej wśród oderwanych okrzyków i wzruszania ramionami, wśród ułamków zdań i aluzji przechodzących w głębokie westchnienia. Las był nieporuszony jak maska — głuchy jak zamknięte więzienne drzwi — i patrzył na mnie z wyrazem tajonej wiedzy, niedostępnego milczenia, cierpliwego oczekiwania. Rosjanin wyjaśniał w dalszym ciągu, że Kurtz powrócił nad rzekę dopiero niedawno, prowadząc z sobą wszystkich wojowników tego ludu znad jeziora. Był nieobecny przez kilka miesięcy — pewno odgrywał rolę bóstwa — i zjawił się niespodzianie, zamierzając pra-

wdopodobnie zrobić najazd na kraj za rzeką lub w dolnym jej biegu. Widać apetyt na kość słoniową zwyciężył w nim — jakże to nazwać? — mniej materialne dążenia. Lecz nagle bardzo mu się pogorszyło.

— „Usłyszałem, że leży bez sił — więc wybrałem się tutaj, zaryzykowałem to“ — rzekł Rosjanin. — „O, z nim jest źle, bardzo źle“.

— Skierowałem szkła ku domowi. Nie dostrzegłem tam żadnych oznak życia; zobaczyłem znowu walący się dach, długą ścianę z mułu, wyglądającą znad trawy, z trzema małymi, kwadratowymi okienkami różnych rozmiarów; wszystko to znalazło się przede mną jak gdyby na odległość ramienia. Poruszyłem się nagle i jeden ze słupów, pozostałych po ogrodzeniu, które znikło, znalazł się w obrębie mych szkieł. Pamiętacie, mówiłem wam, że uderzyły mnie już z daleka pewne próby ornamentacji, dość szczególne wobec ruiny tego miejsca. Teraz zobaczyłem je z bliska i pod pierwszym wrażeniem targnąłem głowę w tył jak przed ciosem. Potem przesuwalem szkła starannie od słupa do słupa i przekonałem się o swym błędzie. Owe okrągłe gąłki, to nie był ornament, lecz symbol; wyraziste i zagadkowe, uderzały i niepokoiły — jako pokarm dla myśli, a także dla sępów, gdyby się tam jakie znalazły i spojrzwały spod nieba na ziemię; w każdym zaś razie był to pokarm dla mrówek, dość przemyślnych, by się wdrapać na słupy. Owe głowy na palach wywarłyby na mnie jeszcze większe wrażenie, gdyby ich nie obrócono twarzami ku szopie. Tylko jedna z nich, pierwsza, którą dostrzegłem, zwracała się w moją stronę. Nie zgorszyło mnie to tak dalece, jakbyście mogli przypuszczać. Moje nagle rzucenie się w tył było w gruncie rzeczy tylko odruchem zdziwienia. Widzicie, spodziewałem się, że znajdę kulę z drzewa. Wróciłem powoli do pierwszej głowy, którą dostrzegłem — oto tkwiła tam, czarna, zeschła, zapadła, z zamkniętymi powiekami — zdająca się spać u szczytu tego pala, a ściągnięte jej suche usta, ukazujące wąską i białą linię zębów, uśmiechały się, uśmiechały bez końca do jakiegoś nieustannego, żartobliwego snu wśród tej wiecznej drzemki.

— Nie zdradzam żadnych handlowych sekretów. Faktem jest, że dyrektor mówił potem, iż metody Kurtza zrujnowały cały okrąg. Nie mam w tej sprawie własnego zdania, ale chcę, abyście zrozumieli dokładnie: nic nikomu właściwie nie przyszło z tych głów tkwiących na palach. Świadczyły tylko o tym, że Kurtz nie miał żadnego hamulca w nasycaniu różnych żądz, że czegoś w nim brakowało, jakiejś drobnej rzeczy, której nie można było odnaleźć pod jego wspaniałą wymową, gdy zaszła nagląca potrzeba. Czy wiedział sam o tym swoim braku, nie umiem powiedzieć. Myślę, że uświadomił go sobie w końcu — dopiero w samym końcu. Ale dzicz przejrzała Kurtza wcześniej i wywarła na nim straszliwą zemstę za nieprawdopodobne jego najście. Myślę, że szeptała mu rzeczy, których sam o sobie nie wiedział, rzeczy, o których nie miał pojęcia, póki mu ich nie podsunęła ta wielka samotność; a ów szepc dziczy okazał się nieprzeparcie ponętnym. Rozebrzmiał w Kurtzu głośnym echem, ponieważ wnętrze jego było puste... Opuściłem szkła i głowa, która wydawała mi się tak bliską, że można było do niej przemówić, odskoczyła, zda się, od razu na niedostępną odległość.

— Wielbiciel Kurtza był nieco zbity z tropu. Zaczął mnie zapewniać prędko i niewyraźnie, że nie ośmielił się zdjąć tych — powiedzmy — symboli. Krajowców się nie obawia, oni nie ruszą się, póki Kurtz nie da hasła. Wpływ tego człowieka jest nadzwyczajny. Obozowiska dzikich są rozłożone wokoło, a wodzowie ich przychodzą dzień w dzień zobaczyć Kurtza. Czołgają się...

— „Nie chcę nic wiedzieć o ceremoniach towarzyszących zbliżaniu się do Kurtza!“ — krzyknąłem. Ogarnęło mnie osobliwe uczucie, że takie szczegóły będą trudniejsze do zniesienia niż owe głowy, suszące się na palach przed oknami. Ten widok był ostatecznie tylko dziki, podczas gdy tamto zdawało się mnie przenosić od razu w jakąś bezświetlną krainę wyrafinowanych okrucieństw, gdzie czysta, nieskomplikowana dzikość przynosi istotną ulgę, jako coś, co ma prawo istnieć — jawnie — w blasku słońca. Młody człowiek popatrzał na mnie ze zdumieniem. Przypuszczam, że nie przyszło mu na myśl, iż dla mnie

Kurtz bóstwem nie jest. Zapomniał, że nie słyszałem żadnego z tych wspaniałych monologów — o czym to? o miłości, sprawiedliwości, linii wytycznej życia — czego tam nie było. Gdyby doszło do czołgania się przed Kurtzem, czołgałby się jak najdzikszy z tych wszystkich dzikusów. Oświadczył, że nie mam pojęcia o tamtejszych warunkach: te głowy są głowami buntowników. Roześmiałem się, gorsząc go niepomiernie. Buntownicy! Jakież określenie miałem jeszcze usłyszeć? Byli tam już wrogowie, zbrodniarze, robotnicy — a teraz znów buntownicy. Te buntownicze głowy wydały mi się bardzo uległymi na palach.

— „Pan nie wie, jak ciężko znieść tutejsze życie człowiekowi takiemu jak Kurtz“ — krzyknął ostatni jego zwolennik.

— „No, a pan?“ zapytałem.

— „Ja! ja! Ja jestem prostym człowiekiem. Ja nie mam wielkich planów. Nic od nikogo nie potrzebuję. Jakże pan może mnie porównywać do...“

— Taki był przejęty, że nie mógł wyrazić słowami swych uczuć; nagle stracił panowanie nad sobą.

— „Nie rozumiem“, jęknął. „Zrobiłem, co mogłem, aby go utrzymać przy życiu, i na tym koniec. Nie mieszałem się do tego wszystkiego. Nie jestem wcale utalentowany. Już od miesięcy nie ma tu ani kropli lekarstwa, ani odrobiny pożywienia odpowiedniego dla chorych. Opuszczono go haniebnie. Człowieka takiego jak on, człowieka o takich ideach. Haniebnie! Haniebnie! Ja — ja — nie spałem już dziesięć nocy...“

— Głos jego rozpląnął się w przedwieczornym spokoju. Długie cienie lasu zsunęły się ze wzgórza podczas naszej rozmowy daleko poza walącą się szopę, poza rząd symbolicznych pali. Zmierzch już ogarnął to wszystko, a my tam w dole znajdowaliśmy się jeszcze w blasku słońca, przestrzeń rzeki naprzeciw polanki gorzała cichym, olśniewającym przepychem między obu mrocznymi, ocienionymi zakrętami w dole i w górze. Na brzegu nie było widać żywej duszy. Gąszcz nie szeleścił.

— Nagle za węglą domu ukazała się grupa ludzi jakby wyrosłych spod ziemi. Brodzili po pas w trawie zwartym

addziałem, dźwigając w pośrodku zaimprovizowane nosze. Wśród pustki krajobrazu wzniósł się natychmiast przenikliwy krzyk i przebił spokojne powietrze, jak ostra strzała, mierząca wprost w serce kraju; a wówczas, jakby za sprawą czarów, strumienie ludzkich stworzeń — nagicz ludzkich stworzeń — z włóczniami w rękach, z łukami, z tarczami, stworzeń o okrutnych spojrzeńiach i dzikich ruchach, zaczęły spływać na polankę z mrocznego, zadumanego lasu. Gąszcz wstrząsał się, trawy się chwiały czas jakiś, a potem wszystko stanęło, jak wryte w nieruchomej baczności.

— „No, jeśli teraz nie powie im tego, co trzeba, to będzie po nas“, rzekł Rosjanin u mego boku.

— Grupa ludzi z noszami stanęła również jak skamieniała w pół drogi do parowca. Zobaczyłem ponad barkami tragarzy wychudłego człowieka na noszach, który usiadł i podniósł ramię.

— „Miejmy nadzieję, że ten, który na ogół umie mówić tak dobrze o miłości, znajdzie teraz argument, by nas ocalić“, rzekłem.

— Rozgoryczało mnie idiotyczne niebezpieczeństwo naszego położenia, jak gdyby zależność od tego okrutnego widma była hańbiącą koniecznością. Nie mogłem pochwycić żadnego dźwięku, ale przez szkła widziałem chude ramię wyciągnięte władczo, widziałem, że dolna szczęka się rusza, a oczy połyskują mrocznie w głębi kościstej głowy, kiwającej się w groteskowych podrzuchach. Kurtz — Kurtz — to znaczy po niemiecku krótki, nieprawdaż? Otóż to nazwisko było równie prawdziwe jak wszystko inne w jego życiu — i śmierci. Wydało mi się, że ten człowiek ma przynajmniej siedem stóp długości. Nakrycie opadło z jego ciała, które się wynurzyło niby ze śmiertelnej koszuli, nędzne i przerażające. Spostrzegłem, że klatka piersiowa porusza się wraz z żebrami, że widmo kiwa kośćmi ramienia. Wyglądało to, jakby rzezany w starej kości słoniowej żywy wizerunek śmierci potrząsał groźnie ręką wobec tłumu nieruchomych ludzi z ciemnego, połyskliwego brązu. Widziałem, że otwierał szeroko usta — nadawało mu to wygląd nie-

samowicie żarłoczny, jakby chciał połknąć wszystko powietrze, i całą ziemię, i wszystkich ludzi przed sobą. Głęboki głos doszedł mnie słabo. Musiał widocznie krzyknąć. Wtem opadł na posłanie. Nosze wstrząsnęły się, gdy tragarze ruszyli znów naprzód, i prawie jednocześnie zauważyłem, że tłum dzikich znika bez żadnego dostrzegalnego ruchu, jak gdyby las, który raptem wyrzucił z siebie te stworzenia, wsysał je z powrotem, tak jak się wciąga powietrze w długim oddechu.

— Niektórzy z pielgrzymów, idących za noszami, trzymali broń Kurtza — dwie króciwe, ciężką strzelbę i lekki samoczynny karabin — gromy tego oplakanego Jupitera. Dyrektor szedł tuż obok jego głowy i pochylił się nad nim, szepcząc. Położyli go w jednej z małych kajut — było tam miejsce tylko na tapczan i parę składanych krzesel, jak wiecie. Przywieźliśmy mu spóźnioną korespondencję; podarte koperty i otwarte listy pokrywały łóżko. Ręka jego błędziła powoli wśród tych papierów. Uderzyła mnie płomiennosc jego oczu przy spokojnym, znużonym wyrazie twarzy. Nie było to właściwie osłabienie chorobą. Zdawał się nie odczuwać żadnych cierpień. Odniosłem wrażenie, że cień ten nasycił się już i uspokoił, że wyczerpał do dna wszystkie wzruszenia.

— Nagle zaszeleścił jednym z listów i spojrzał mi prosto w twarz mówiąc: „Bardzo mi przyjemnie“. Widać ktoś mu o mnie napisał. Znów te specjalne polecenia! Zdumiała mnie potęga głosu, którym władał bez wysiłku, prawie nie zadając sobie trudu poruszania wargami. Co za głos! Uroczysty, głęboki, wibrujący — a zdawałoby się, że ten człowiek nie jest zdolny do szepotu. Miał w sobie jednak dość siły — z pewnością sztucznej — aby doprowadzić nas wszystkich prawie do zguby, jak zaraz usłyszycie.

— Dyrektor ukazał się we drzwiach milcząc; wyszedłem z kabiny natychmiast, a on zaciągnął za mną firankę. Rosjanin, na którego pielgrzymi zerkali z ciekawością, wpatrywał się w brzeg. Spojrzałem w kierunku jego wzroku.

— W oddali można było rozróżnić ciemne ludzkie

kształty, migające niewyraźnie na tle mrocznego lasu, a blisko rzeki dwie brązowe, wojownicze postacie, wsparte na wysokich włóczniach, stały w blasku słońca, spokojne jak posągi; na głowach miały przybranie z fantastycznie upiętych, nakrapianych skór. A z prawej strony szła wzdłuż oświetlonego brzegu dzika i wspaniała postać kobieta.

— Stapała miarowym krokiem, owinięta w pasiastą szatę z frędzlami, deptając dumnie ziemię wśród lekkiego brzęku i migotu barbarzyńskich ozdób. Trzymała głowę wysoko; włosy jej były upięte w kształt hełmu; na nogach miała mosiężne kółka aż do kolan, bransolety z mosiężnego drutu aż po łokcie, szkarłatną plamę na ciemnym policzku, nieprzeliczone naszyjniki ze szklanych paciorków u szyi; dziwaczne jakieś przedmioty, amulety, dary czarowników, które na niej wisiały, lśniły i drgały przy każdym kroku. Musiała mieć na sobie wartość kilku kłów. Była dzika i przepyszna, płomiennooka i wspaniała; jej powolne posuwanie się naprzód miało w sobie coś złowieszczego. A wśród ciszy — która spadła nagle na całą tę smutną krainę — olbrzymi obszar puszczy, cały ogrom płodnego i tajemniczego życia zdawał się patrzeć w nią, zadumany, jakby patrzył na wizerunek swej własnej mrocznej i namiętnej duszy.

— Znalazłszy się naprzeciwko parowca, kobieta zatrzymała się i zwróciła w naszą stronę. Długi jej cień sięgał wody. Jej twarz o tragicznym i dzikim wyglądzie wyrażała obłędny smutek i niemy ból, a zarazem niepokój jakiegoś nurtującego ją, na wpół dojrzałego postanowienia. Stała, patrząc na nas bez ruchu; zdawało się, że — jak sama puszcza — rozważa ponuro jakiś nieprzenikniony zamiar. Przeszła cała minuta; kobieta postąpiła krok naprzód. Rozległ się cichy brzęk, zabłysły żółte metale, powiały frędzle draperyj — i zatrzymała się, jakby jej zabrakło odwagi. Młodzi obok mnie coś mruknął. Pielgrzymi szeptali za moimi plecami. Kobieta patrzyła na nas, jakby życie jej zależało od niezłomnej wytrwałości tego wzroku. Wtem otworzyła nagie ramiona i poderwała je sztywno w górę, jak owładnięta niepohamowanym pra-

gnieniem, by dotknąć nieba — a w tejże chwili chybkie cienie wypadły na ziemię i ogarnęły rzekę, obejmując parowiec w mrocznym uścisku. Straszliwa cisza wisiała nad krajobrazem.

— Kobieta odwróciła się z wolna, ruszyła wzdłuż brzegu i weszła w gąszcz na lewo. Raz tylko błysnęły ku nam jej oczy wśród mrocznych zarośli — i znikła.

— „Gdyby chciała się dostać na statek, zdaje mi się doprawdy, że byłbym ją zastrzelił“, powiedział nerwowo człowiek w łątach. „W ciągu ostatnich dwóch tygodni dzień w dzień narażałem życie, aby ją utrzymać poza obrębem domu. Wtargnęła raz i zrobiła awanturę o te nędzne gałgany, które pozbierałem w składzie, by sobie naprawić ubranie. Byłem już nieprzyzwoity. Przypuszczam, że jej chodziło o te skrawki, bo jak furia gadała do Kurtza przez jaką godzinę, wskazując na mnie od czasu do czasu. Nie znam narzecza tego ludu. Na szczęście dla mnie, zdaje się, że Kurtz był wówczas bardzo chory i wcale go to nie obeszło, inaczej zdarzyłoby się jakie nieszczęście. Nie rozumiem... Doprawdy — tego mi już było za wiele. No, teraz już to wszystko minęło“.

— W tej chwili usłyszałem głęboki głos Kurtza za firanką:

— „Ocalić mnie! — ocalić kość słoniową, chce pan powiedzieć. Niechże pan nie gada. Mnie ocalić! Jak to, przecież to ja was musiałem ratować! Psujecie mi teraz plany. Chory! Chory! Nie taki chory, jakbyście pragnęli. Mniejsza z tym. Wykonam jeszcze swoje plany — powrócę. Pokażę wam, co można zrobić. Wy z tymi waszymi kramarskimi pojęciami przeszkadzacie mi tylko. Ja powrócę. Ja...“

— Dyrektor wyszedł z kajuty. Zaszczycił mię ujęciem pod ramię i odprowadzeniem na bok.

— „Bardzo, bardzo już źle z nim“ — powiedział. Tu uznał za stosowne westchnąć, ale nie utrzymał się konsekwentnie w smutnym nastroju. „Zrobiliśmy dla niego wszystko, cośmy tylko mogli — nieprawdaż? Ale co tu ukrywać. Kurtz wyświadczył naszemu towarzystwu więcej złego niż dobrego. Nie zdawał sobie sprawy, że czasy

nie dojrzały jeszcze do energicznej akcji. Ostrożność, ostrożność — oto moja zasada. Musimy być jeszcze ostrożni. Ten okrąg jest na pewien czas dla nas zamknięty. Fatalne! Handel w ogóle na tym ucierpi. Nie przeczę, że znaleźliśmy tu znaczną ilość kości słoniowej — przeważnie kopalnej. Musimy ją w każdym razie ocalić — ale niech pan zważy, jak niepewną jest nasza pozycja — i dlaczego? Ponieważ metoda postępowania jest niezdrowa.

— „Więc pan to nazywa „niezdrową metodą?“ zapytałem, patrząc na wybrzeże.

— „Bez kwestii!“ wykrzyknął gorąco. „A pan?“

— „To żadna metoda“, mruknąłem po chwili.

— „A właśnie, właśnie!“ uradował się. „Przewidywałem to z góry. Ten człowiek wykazał zupełny brak wyrobienia. Obowiązkiem moim jest zaznaczyć to tam, gdzie trzeba“.

— „Ach“, odpowiedziałem, „tamten facet — jak to on się nazywa? — ten ceglarz wystosuje już dla pana raport jak się patrzy“.

— Wydał się zmieszany przez chwilę. Doznałem wrażenia, że nigdy jeszcze nie oddychał atmosferą tak nikczemną, i w myśli zwróciłem się do Kurtza po ulgę — tak, dosłownie po ulgę.

— „Mimo to wszystko uważam, że Kurtz jest wybitnym człowiekiem“, rzekłem z naciskiem.

— Drgnął, rzucił na mnie zimne, ciężkie spojrzenie, rzekł bardzo spokojnie: „Był“ — i odwrócił się tyłem. Godzina łaskawości dla mnie minęła; zostałem zaliczony do tej samej kategorii co Kurtz, jako zwolennik metod, do których czasy jeszcze nie dojrzały; uznano mnie za niepewnego! Ach, ale i to coś znaczyło, że mogłem dokonać wyboru między koszmarami.

— W rzeczywistości zwróciłem się myślą do dziczy, a nie do Kurtza, który — nie miałem zamiaru temu przeczyć — był już niejako pogrzebany. I wydało mi się przez chwilę, jakbym też leżał w obszernym grobie, pełnym niewypowiedzianych tajemnic. Czułem nieznośny ciężar uciskający mi piersi, zapach wilgotnej ziemi, niewi-

działną obecność zwycięskiego zepsucia, mrok nieprze-
niknionej nocy... Rosjanin uderzył mię po ramieniu. Usły-
szałem, że mruży coś pod nosem, jękać się: „Kolega
marynarz — zechciał ukryć — wiadomości o rzeczach,
które mogłyby zaszkodzić reputacji Kurtza“. Czekałem.
Dla niego najwidoczniej Kurtz nie był jeszcze w grobie;
przyпускаjąc, że należał w jego oczach do nieśmiertel-
nych.

— „No!“ rzekłem w końcu, „niechże pan się wypowie.
Tak się złożyło, że jestem — niejako — przyjacielem
Kurtza“.

— Oznajmił mi na to w sposób wielce formalny, że
gdybyśmy nie należeli do „tego samego zawodu“, byłby
zachował tę całą sprawę dla siebie bez względu na konse-
kwencje. Podejrzewa, że ci biali żywią w stosunku do
niego jakieś złe zamiary —

— „Pan ma słuszość“, rzekłem, przypominając sobie
pewną rozmowę, którą dawniej słyszałem; „dyrektor uwa-
ża, że powinno się pana powiesić“.

— Zaniepokoiła go ta wiadomość, co mię z początku
ubawiło.

— „Lepiej zejść im spokojnie z drogi“, rzekł z powagą.
„Teraz nic już zrobić dla Kurtza nie mogę, a oni prędko
by znaleźli jakiś pretekst. Cóż ich może powstrzymać?
Placówka wojskowa jest stąd o trzysta mil“.

— „No, to doprawdy“, rzekłem, „może lepiej, aby pan
nas opuścił, jeśli pan ma przyjaciół wśród dzikich w tej
okolicy“.

— „Bardzo wielu“, odpowiedział. „To prości ludzie —
a pan wie, że ja nic nie potrzebuję“. Stał, gryząc wargi,
i dodał: „Nie chciałbym, aby coś złego spotkało tutaj
tych białych, ale myślałem naturalnie przede wszystkim
o dobrej sławie Kurtza — przy tym pan jest kolegą ma-
rynarzem, i...“

— „Dobrze“, rzekłem po chwili, „Dobrej sławie Kurtza
nie grozi z mojej strony żadne niebezpieczeństwo“. Nie
wiedziałem, jak dalece moje słowa były prawdziwe.

— Zniżywszy głos, poinformował mię, że to Kurtz ka-
zał zaatakować parowiec.

— „On czasem nie cierpiał myśli, że mogą go zabrać,
a potem znów... Ale ja tych spraw nie rozumiem. Jestem
prostym człowiekiem. Kurtz przypuszczał, że ten napad
was odstraszy, że zaniechacie tego wszystkiego myśląc,
iż nie żyje. Nie mogłem go powstrzymać. Och, ten ostatni
miesiąc był dla mnie okropny“.

— „Aha“, rzekłem. „Ale teraz już z nim jest lepiej“.

— „Ta-a-a-k“, odparł, widać nie bardzo o tym prze-
konany.

— „Dziękuję“, odrzekłem; „będę trzymał oczy otwar-
te“.

— „Ale nieznacznie, prawda?“ nalegał z niepokojem.
„Byłoby zgubne dla jego opinii, gdyby ktoś z tutaj obec-
nych — Obiecałem mu bardzo poważnie zupełną dys-
krecję. „Mam tu czółno i trzech czarnych, którzy czekają
nie bardzo daleko. No, już mnie nie ma. Nie mógłby mi
pan dać trochę naboji Martini-Henry?“ Mogłem to zrobić
i zrobiłem w należytej tajemnicy. Mrugnął na mnie poro-
zumiewawczo i wziął sobie garść mego tytoniu. „Między
marynarzami — pan rozumie — dobry tytoń angielski“.
Odwrócił się jeszcze od progu: „Proszę pana, czy pan nie
ma pary zbywających trzewików?“ podniósł nogę. „Niech
pan patrzy“. Podeszwy były przywiązane sznurkami do
bosych nóg jak sandały. Wygrzebałem jakąś starą parę, na
którą spojrział z podziwem, nim ją wetknął pod lewe ramię.
Jedna z jego kieszeni (jasnoczerwona) była wypchana na-
bojami, z drugiej (ciemnoniebieskiej) sterczały „Badania“
Towsona itd., itd. Zdawał się uważać siebie za świetnie
wyekwipowanego na nową walkę z puszcza. „Ach! Nigdy,
nigdy już takiego człowieka nie spotkam. Czemuż pan go
nie słyszał deklamującego poezje — i to jego własne, po-
wiedział mi to. Poezje!“ Przewrócił oczami na wspomnie-
nie owych rozkoszy. „Jak ten człowiek rozszerzył mój
horyzont!“

— „Do widzenia panu“, rzekłem.

— Uścisnął mi rękę i znikł wśród nocy. Pytam się
siebie czasami, czy go rzeczywiście widziałem — czy
spotkanie z takim fenomenem było istotnie możliwe!...

— Gdy się obudziłem wkrótce po północy, przyszła

mi na myśl jego przestroga i wzmianka o niebezpieczeństwie, które wśród tego gwiazdnego mroku wydało mi się tak realnym, że wstałem, aby rzucić okiem dokoła. Na wzgórzu paliło się wielkie ognisko, oświetlając od czasu do czasu krzywy węgiel stacyjnego budynku. Jeden z agentów wraz z kilku naszymi Murzynami, uzbrojonymi w tym celu, trzymał straż nad kością słoniową; a daleko w głębi lasu czerwone, chwiejne błyski — które zdawały się wznosić z ziemi i opadać wśród mglistych kolumnowych kształtów o głębokiej czerni — wskazywały dokładnie miejsce obozowiska, gdzie czciciele Kurtza odbywali swe niespokojne wigilie. Monotonne bicie w wielki bęben napełniało powietrze głuchymi uderzeniami i przeciągłą wibracją. Spokojny pomruk wielu ludzi, nucących każdy dla siebie jakieś niesamowite zaklęcia, płynął z czarnej, płaskiej ściany lasów jak brzęczenie pszczół z ula i wywierał dziwny, narkotyczny wpływ na moje wół rozbudzone zmysły. Zdaje się, że drzemałem, oparty o poręcz, póki nagły wybuch wrzasków, ogłuszający wybuch skupionego, tajemniczego szału nie zbudził mnie, oszołomionego zdumieniem. Ustał raptownie i cichy pomruk ciągnął się dalej, sprawiając wrażenie słyszalnej i kojącej ciszy. Zajrzałem mimochodem do małej kajuty. Paliło się tam światło, lecz Kurtza nie było.

— Sądzę, że byłbym krzyknął, gdybym wierzył swym oczom. Ale nie uwierzyłem z początku — wydało mi się to takie niemożliwe. Straciłem panowanie nad sobą, o władnięty prostym, bezmyślnym strachem, czystym, bezprzedmiotowym przerażeniem, nie związanym z żadnym wyraźnym kształtem fizycznego niebezpieczeństwa. Tym, co uczyniło moje wzruszenie tak potężnym, był — jakże mam to określić? — moralny wstrząs, któremu uległem, jakby na mnie spadło niespodzianie coś wręcz potwornego, nieznośnego dla myśli i przejmującego wstrętem duszę. Trwało to naturalnie najdrobniejszy ułamek sekundy, potem zaś pospolite uczucie zwykłego, śmiertelnego niebezpieczeństwa było zaiste pożądane i kojące; nie przejmowała mnie możliwość nagłego napadu i rzezi lub czegoś w tym rodzaju, co wisiało nad nami. Uspokoiłem się istot-

nie tak bardzo, że nie podniosłem alarmu.

— O trzy stopy ode mnie siedział na krześle, na podkładzie, agent zapięty w ulster po szyję i spał. Wrzaski go nie obudziły; chrapał lekko; zostawiłem go śpiącego i wyskoczyłem na brzeg. Nie zdradziłem Kurtza — było mi sądzone, abym go nigdy nie zdradził — było zapisane, że mam pozostać wiernym do końca zmorze, na którą padł mój wybór. Pragnąłem koniecznie rozprawić się sam na sam z tym cieniem — i do dziś nie wiem, dlaczego dbałem tak zazdrośnie o to, by nie dzielić się z nikim tym szczególnie posępnym przeżyciem.

— Stanąwszy na brzegu, zobaczyłem natychmiast ślad — szeroki ślad na trawie. Pamiętam uczucie triumfu, z jakim powiedziałem do siebie: „Nie może chodzić — pełza na czworakach — mam go“. Trawa była mokra od rosy. Szedłem szybko wielkimi krokami, zacisnąwszy pięści. Majaczyło mi się — tak mi się zdaje — że wpadnę na niego i porządnie wygarbuję mu skórę. Zresztą nie wiem. Przychodziły mi różne głupie myśli. Stara kobieta z kotem, robiąca coś na drutach, narzucała się mojej pamięci jako najmniej odpowiednia do tego, by tkwić u drugiego końca podobnej historii. Widziałem także szereg pielgrzymów, tryskających ołowiem w powietrze ze strzelb, trzymany u biodra. Przyszło mi na myśl, że nigdy nie wrócę już na parowiec, i wyobraziłem sobie, iż będę żył samotnie w puszczy — bez żadnej broni — aż do podeszłego wieku. No wiecie, takie różne głupstwa. I pamiętam, że bicie w bęben mieszało się z biciem mego serca i że mię cieszył spokojny jego rytm.

— Trzymałem się wciąż śladu — potem przystanąłem, by nasłuchiwać. Noc była bardzo jasna, ciemnobłękitna przestrzeń iskrzyła się od rosy i gwiazd; czarne jakieś kształty stały w niej bardzo spokojne. Wydało mi się, że dostrzegam, jakby coś się ruszało przede mną. Dziwnie byłem pewien wszystkiego tej nocy. Rzuciłem po prostu ślad i pobiegłem szerokim półkolem (zdaje mi się do prawdy, że po drodze chichotałem do siebie), aby zabić drogę temu czemuś, co się ruszało czy posuwało — jeśli tam coś istotnie dostrzegłem. Podchodziłem Kurtza, jakby

to była chłopięca zabawa.

— Dopadłem go, i gdyby nie usłyszał, że się zbliżam, byłbym się przewrócił o niego, ale się podniósł w porę. Dźwignął się niepewnie, długi, blady, niewyraźny, jak opar wyzionięty przez ziemię, i chwiał się z lekka przede mną, mglisty i milczący; z tyłu za moimi plecami ogień majaczyły wysoko wśród drzew, a gwar licznych głosów szedł z lasu. Zabiegłem mu zręcznie drogę, ale gdy już przed nim stanąłem, wydało mi się, że odzyskuję przytomność: ujrzałem niebezpieczeństwo w całej jego grozie. Nie minęło jeszcze bynajmniej. Gdyby tak Kurtz zaczął wołać? Choć ledwie mógł się utrzymać na nogach, głos jego miał jeszcze wciąż dużo siły.

— „Niech pan odejdzie — niech pan się schowa“, rzekł swym zwykłym, głębokim głosem.

— To było bardzo straszne. Obejrzałem się. Znajdowaliśmy się o trzydzieści stóp od najbliższego ogniska. Czarna postać podniosła się i wielkim krokiem przeszła na długich nogach przez jasność padającą od ognia, machając długimi, czarnymi ramionami. Miała na głowie rogi — zdaje mi się że antylopie. Był to z pewnością jakiś czarownik, jakiś zaklinacz: dość szatańsko na to wyglądał.

— „Czy pan wie, co pan robi?“ szepnąłem.

— „Najzupełniej“, odrzekł, podnosząc głos, aby wymówić to jedno słowo: zabrzmiało mi w uszach, niby dalekie, a jednak głośnie; miałem wrażenie, że Kurtz woła do mnie przez tubę. Jeżeli zrobi awanturę, jesteśmy zgubieni, pomyślałem. Nie była to oczywiście okazja do walki na pięści, nie mówiąc już nawet o tym, że czułem bardzo naturalny wstręt do bójki z tym Cieniem — z tą wędrującą i udreżoną istotą.

— „Pan się zgubi“ — rzekłem, „zgubi się pan bezpowrotnie“.

— Czasem, wiecie, oświeci człowieka taki błysk natchnienia. Powiedziałem właśnie to, co należało powiedzieć, choć Kurtz nie mógł zaiste być bardziej nieodwołalnie zgubiony niż właśnie w owej chwili, gdy powstawała nasza zażyłość — która miała trwać — i trwać — aż do końca — a nawet jeszcze dłużej.

— „Miałem olbrzymie plany“, mruknął niepewnie.

— „Tak“, odrzekłem; „ale jeśli pan zacznie wołać, roztrzaskam panu głowę —“ W pobliżu nie było nawet kija ani kamienia. „Zaduszę pana“, poprawiłem się.

— „Byłem już u progu wielkich rzeczy“, błagał głosem pełnym takiej tęsknoty, że krew zlodowaciała mi w żyłach. „A teraz przez tego idiotycznego łotra —“

— „Pańskie powodzenie w Europie jest w każdym razie zapewnione“, rzekłem spokojnie. Nie miałem najmniejszej ochoty go dusić, jak rozumiecie — przy tym byłoby to przyniosło zaiste bardzo małą korzyść realną. Usiłowałem rozproszyć czar — ciężki, niemy czar dziczy — który zdawał się przyciągać Kurtza do bezlitosnej piersi, budząc w nim zapomniane i brutalne instynkty, pojąc go wspomnieniami zaspokojonych, potwornych namiętności. Byłem przekonany, że to go jedynie gnało ku skrajowi lasu, ku puszczy, w stronę blasku ognisk, dudnienia bębnow, niesamowitego nucenia zaklęć; tylko to znęciło jego pozbawioną hamulców duszę poza granice dozwolonych dążeń. I, uważacie, groza położenia nie na tym polegała, że można było w łeb dostać — choć czułem bardzo żywo i to niebezpieczeństwo — ale na tym, iż miałem do czynienia z istotą, do której nie mogłem przemówić w imię niczego na ziemi — wzniosłego czy też niskiego. Musiałem, zupełnie tak jak Murzyni, wzywać Kurtza jak bóstwo — jego samego — wzywać jego własny ostateczny, niewiarygodny upadek. Nie istniało dla niego nic nad nim ani też pod nim, i ja o tym wiedziałem. Kopnął ziemię i odbił się od niej. Do licha z tym człowiekiem! Nawet ziemia rozpadła się od jego kopnięcia. Był sam, a ja, stojąc przed nim, nie wiedziałem, czy jestem na ziemi, czy też pływam w powietrzu. Powiedziałem wam, cośmy mówili — powtórzyłem wam zdania, któreśmy zamienili — lecz po co? Były to pospolite, codzienne słowa, znane dźwięki bez znaczenia, które wymieniamy każdego powszedniego dnia w życiu. Ale cóż z tego? Tkwiła w nich — ja to czułem — straszliwa wyrazistość słów we śnie słyszanych, zdań wypowiedzianych wśród nocnych majaków. Dusza! Jeśli kto zmagiał się kiedy z duszą, to ja się

zmagalem. A przy tym nie mialem do czynienia z szaleńcem. Możecie mi wierzyć lub nie, ale umysł Kurtza zupełnie był jasny — wprawdzie skupiony na własnych sprawach ze straszliwą intensywnością, lecz jasny; i w tym jedynie leżała moja ucieczka — wyjąwszy oczywiście możliwość zabicia go na miejscu, co nie było takie celowe ze względu na nieunikniony hałas. Natomiast dusza jego uległa obłąkaniu. Znalazłszy się w samotności wśród dziczy, zajrzała w głąb samej siebie i przebóg! mówię wam, że oszalała. Sądzę, że za swoje grzechy musiałem przejść przez tę próbę i zajrzeć Kurtzowi do duszy. Niczyja wymowa nie mogłaby być tak zgubną dla wiary człowieka w ludzkość, jak ten ostatni wybuch jego szczerości. A walczył także i z sobą. Widziałem to — słyszałem. Widziałem niepojętą tajemnicę duszy, która nie zna żadnego hamulca, żadnej wiary, żadnego lęku, a jednak walczy na oślep sama z sobą. Panowałem niezłe nad swymi nerwami, lecz gdy doprowadziłem wreszcie do tego, że Kurtz legł na tapczanie, obtarłem sobie czoło, a nogi się trzęsły pode mną, jakbym był szedł z tego wzgórza, dźwigając z pół tony na grzbiecie. A tymczasem jego tylko podtrzymałem; kościste ramię obejmowało mi szyję — nie o wiele był cięższy od dziecka.

— Gdyśmy ruszyli z miejsca następnego dnia o południu, tłum — z którego obecności za kurtyną drzew zdałem sobie wciąż dokładnie sprawę — wypłynął znów z lasu, zapełnił polankę, pokrył zbocze masą nagich, dyszących, rozedrganych, brązowych ciał. Skierowałem statek w górę, potem zawróciłem w dół rzeki i dwa tysiące oczu śledziły obroty dzikiego rzeczno demona, który wśród plusku i głuchych uderzeń bił wodę straszliwym ogonem i ział czarnym dymem w powietrze. Przed pierwszym rzędem tłumy trzech ludzi, umazanych od stóp do głów jasnoczerwoną ziemią, kroczyło niespokojnie wzdłuż brzegu tam i z powrotem. Gdyśmy znów zrównali się z nimi, obrócili się ku rzece, zaczęli tupać, kiwać głowami przybranymi w rogi, kołysać szkarłatnymi ciałami; potrząsali w stronę dzikiego demona rzeki pękiem czarnych piór i wyleniała skórą z wiszącym ogonem, wyglądającą jak zasuszona tykwa; jednocześnie zaś wykrzyki-

wali co pewien czas chórem szeregi zdumiewających słów, które nie były podobne do żadnych dźwięków ludzkiej mowy; a głęboki pomruk tłumu, urywający się nagle, brzmiał jak odpowiedzi jakiejś szatańskiej litanii.

— Zanieśliśmy Kurtza do domu pilota: było tam więcej powietrza. Leżąc na tapczanie, patrzył przez otwartą okiennicę. W masie ciał ludzkich na brzegu utworzył się wir i kobieta o włosach upiętych w kształt hełmu, o ciemnych policzkach, zbiegła aż na skraj wody. Wyciągnęła ręce przed siebie, krzyknęła coś i cała ta dzika tłuszcza podjęła jej okrzyk wrzaskliwym chórem, skandując go szybko, bez tchu.

— „Czy pan to rozumie?“ zapytałem.

— Patrzył wciąż ku brzegowi rozognionymi, spragnionymi oczami, z wyrazem pełnym tęsknoty i nienawiści. Nie odpowiedział, ale na jego bezbarwnych wargach zarysował się uśmiech — uśmiech o nieokreślonym znaczeniu, który po chwili ustąpił konwulsyjnemu skurczowi.

— „Jakżeby nie rozumiał!“ odrzekł powoli, chwytając ustami powietrze; zdawało się, że te słowa zostały mu wydarte przez jakąś nadnaturalną siłę.

— Pociągnąłem sznur od gwizdawki, gdyż zauważyłem, że pielgrzymi na pokładzie wydobyli strzelby, a wraz ich twarzy świadczył, iż cieszą się z góry jakimś dobrym kawałem. Niespodziewany gwizd wywołał poruszenie panicznej trwogi w zbitej masie ciał.

— „Cicho, cicho! Pan ich wszystkich odstraszy!“ krzyknął ktoś z pokładu strapionym głosem. Ciągnąłem za sznurek raz po raz. Rozsypywali się i biegli, skakali, pełzali, przechylali się, starając się ująć przed lotną grozą tego dźwięku. Trzech czerwonych drabów rozpląszczyło się twarzami w dół na brzegu, jakby ich ktoś zastrzelił. Tylko barbarzyńska, wspaniała kobieta nie drgnęła nawet i wyciągała za nami tragicznym ruchem nagie ramiona nad ponurą, iskrzącą się rzeką.

— A potem tamta głupia czereda na dolnym pokładzie rozpoczęła swą miłą zabawę i dym nie pozwolił mi już nic dojrzeć.

— Brunatny nurt płynął wartko z głębi ciemności, nie-

sąc nas w dół ku morzu dwa razy szybciej niż przedtem w górę rzeki; a życie Kurtza biegło też szybko, odpływając i odpływając z jego serca ku morzu nieubłaganego czasu. Dyrektor był bardzo spokojny; nie miał już teraz powodu do istotnych obaw i ogarniał nas obu przenikliwym, zadowolonym spojrzeniem: cała „historia“ skończyła się tak pomyślnie, jak tylko można było sobie życzyć. Widziałem, że zbliża się czas, kiedy z paczki zwolenników „niezdrowej metody“ zostanie sam jeden. Pielgrzymi spoglądali na mnie niechętnie. Zostałem już, że tak powiem, zaliczony w poczet nieboszczyków. To dziwne, jak się łatwo zgodziłem na to nieprzewidziane współnictwo, na ten wybór między koszmarami, narzucony mi w mrocznej krainie niepokojonej przez owe nędzne i chciwe widma.

— A Kurtz rozprawiał. Jakiż on miał głos! jaki głos! Dźwięczny, głęboki, aż do ostatniej chwili. Ten głos przeżył jego siły, aby skryć we wspaniałych zwojach elokwencji jałowy mrok jego serca. Och, jak ten człowiek walczył, jak walczył! Pustkę jego zmęczonego mózgu nawiedziały teraz mgliste obrazy — obrazy bogactwa i sławy, zjawiające się na zawołanie niewygasłego daru szlachetnej i wzniosłej wymowy. Moja narzeczona, moja stacja, moja kariera, moje pomysły — na te wszystkie tematy wypowiedział od czasu do czasu różne wzniosłe sentencje. Cień dawnego Kurtza nawiedzał płytkiego pozera, którego losem był grób w pierwotnym czarnoziemiu. Lecz zarówno szatańska miłość, jak zaziemska nienawiść Kurtza do tajemnic, które przeniknął, walczyły o posiadanie jego duszy, nasyconej pierwotnymi wzruszeniami, goniącej za kłamiwą chwałą, fałszywymi zaszczytami, za wszelkim pozorem powodzenia i potęgi.

— Czasami był dziecinny aż do śmieszności. Pragnął, aby królowie go spotykali po stacjach, gdy będzie wracał z jakiegoś upiornego Nigdzie po dokonaniu wielkich rzeczy.

— „Trzeba pokazać, że się ma w sobie coś, co może innym przynieść pożytek, a wówczas spotyka człowieka bezgraniczne uznanie“, mawiał. „Oczywiście należy zawsze zwracać uwagę na pobudki — słuszne pobudki — zawsze“.

— Długie wodne przestrzenie pomiędzy kolanami rze-

ki, identycznie do siebie podobne, monotonne zakręty, nie wyróżniające się niczym, przesuwały się obok parowca, zarośnięte gąszczem stuletnich drzew patrzących cierpliwie w ślad za tym umorusanym sadzą fragmentem innego świata, zwiastunem zmian, podboju, handlu, rzezi, błogosławieństw. Patrzyłem naprzód, kierując statkiem.

— „Niech pan zamknie okiennicę“, rzekł kiedyś Kurtz zniecierpliwiony; „nie mogę znieść tego widoku“. Usłuchałem go. Zapadło milczenie. „Och, dobiore ci się jeszcze do trzewi!“ krzyknął ku niewidzialnej puszczy.

— Statek się rozbił — jak tego oczekiwałem — i dla jego naprawy musieliśmy się zatrzymać u przylądka jakiejś wysepki. Dopiero ta zwłoka zachwiała po raz pierwszy ufnością Kurtza. Pewnego rana wręczył mi pakiet papierów i fotografię — wszystko razem związane sznurkiem.

— „Niech pan to dla mnie zachowa“ — rzekł. „Ten szkodliwy bałwan (miał na myśli dyrektora) gotów speścić w moich kufrach, kiedy nie patrzę“.

— Widziałem go znów po południu. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami; cofnąłem się po cichu, ale usłyszałem, jak mrucał:

— „Życie sprawiedliwie, umierać... umierać...“

— Nadstawiłem ucha. Nic już nie usłyszałem. Czy powtarzał przez sen jakąś mowę? a może fragment zdania z dziennikarskiego artykułu? Pisywał dawniej do gazet i znów miał zamiar to robić dla rozpowszechniania swoich idei. „To mój obowiązek“.

— Ten człowiek tkwił w nieprzeniknionym mroku. Patrzyłem na niego, jak się patrzy w dół na kogoś leżącego na dnie przepaści, gdzie słońce nigdy nie świeci. Ale nie mogłem mu dużo czasu poświęcać, bo pomagałem maszyniście przy rozbieraniu ciekących cylindrów, przy wyprostowywaniu zgiętego korbowodu i innych tym podobnych sprawach. Żyłem w piekielnym rozgardiaszu wśród rdzy opiłków, naśrubków, sworzniów, kluczyków naśrubkowych, młotków, wiertarek — rzeczy, których nienawidzę, ponieważ nie umiem sobie z nimi poradzić. Zajmowałem się naszą małą kuźnią — mieliśmy ją na szczęście na statku; pracowałem ciężko wśród nędznego śmietniska

— chyba że miałem za silne dreszcze, by się utrzymać na nogach.

— Pewnego wieczoru, gdy wszedłem do Kurtza ze świecą, przestraszyłem się słysząc, że mówi trochę drżącym głosem:

— „Leżę tu w ciemności i czekam na śmierć“.

— Światło znajdowało się o stopę od jego oczu. Zmusiłem się do szeptu: „Ale cóż znowu!“ i stałem nad nim jak wrośnięty w ziemię.

— Czegoś zbliżonego do zmiany, która zaszła w jego rysach, nigdy przedtem nie widziałem i mam nadzieję już nigdy nie ujrzeć. Och, nie czułem żadnego wzruszenia. Ale byłem wprost urzeczoną. Zdawało mi się, że zdarto z jego twarzy zasłonę. Dostrzegłem kolejno na tym obliczu z kości słoniowej wyraz ponurej pychy, bezlitosnej siły, przeraźliwego strachu — głębokiej i beznadziejnej rozpacz. Czyżby przez tę ostatnią chwilę zupełnej samowiedzy przeżył na nowo swe życie ze wszystkimi szczegółami pragnień, pokus, poddania się? Wykrzyknął szepcąc — zapewne na widok jakiegoś obrazu, jakiegoś widziadła — wykrzyknął po dwakroć szeptem, który nie był głośniejszy od tchnienia —

— „Ohyda! Ohyda!“

— Zdmuchnąłem świecę i wyszedłem z kajuty. Pielgrzymi siedzieli w jadalni przy obiedzie; zająłem zwykłe swe miejsce naprzeciw dyrektora, który podniósł na mnie pytający wzrok; zignorowałem to najzupełniej. Wówczas rozparł się w krześle z pogodą na twarzy i tym swoim szczególnym uśmiechem, pieczętującym bezdenną głębię jego pospolitości. Nieustanny deszcz drobnych muszek spływał na lampę, na obrus, na nasze ręce i twarze. Nagle boy dyrektora wetknął przez drzwi beczelną, czarną twarz i rzekł tonem obelżywej pogardy:

— „Pan Kurtz — on umrzeć“.

— Wszyscy pielgrzymi wypadli, aby zobaczyć. Zostałem i jadłem dalej. Sądzę, że mnie uznano za brutalnie nieczulego. Nie jadłem jednak wiele. Tam wewnątrz paliła się lampa — wiecie, światło — a na dworze było tak strasznie, strasznie ciemno. Już nie zbliżyłem się więcej do wybitnego człowieka, który wydał był wyrok na przy-

gody ziemskie swej duszy. Głos jego ucichł. Cóż tam było poza tym? Ale oczywiście wiedziałem, że pielgrzymi pochowali coś nazajutrz w błotnistej dziurze.

— A potem — bardzo niewiele brakowało, by i mnie pochowano.

— Jednakże, jak widzicie, nie poszedłem wówczas za Kurtzem. Nie. Zostałem, by prześnić ten koszmar do końca i by raz jeszcze wykazać swą lojalność w stosunku do tego człowieka. Przeznaczenie. Moje przeznaczenie! Śmieszna to rzecz, życie — owe tajemnicze kombinacje bezlitosnej logiki dla błahego celu. Co najwyżej można się spodziewać od życia odrobiny wiedzy o sobie samym — która przychodzi za późno i jest źródłem niewyczerpanych żalów. Zmagałem się tedy ze śmiercią. To najmniej zajmująca walka, jaką sobie można wystawić. Człowiek prowadzi ją wśród nieuchwytniej szarzyzny, wśród pustki, bez gruntu pod nogami, bez widzów, bez wrzawy, bez chwały, bez wielkiego pragnienia zwycięstwa, bez wielkiej trwogi przed klęską, wśród chorobliwej atmosfery obojętnego sceptycyzmu, bez wielkiej wiary w słuszność własnej sprawy, a z mniejszym jeszcze przekonaniem o słuszności przeciwnika. Jeśli taką ma być najwyższa mądrość, to życie jest większą zagadką, niż przypuszczają niektórzy. Byłem o włos od owej chwili, kiedy człowiek może się wypowiedzieć po raz ostatni, i przekonałem się z upokorzeniem, że prawdopodobnie nie będę miał nic do powiedzenia. Dlatego właśnie twierdzą, iż Kurtz był wybitnym człowiekiem. On miał coś do powiedzenia. On to powiedział. Odkąd sam poza krawędź wyjrzałem, rozumiem lepiej jego wzrok, który nie mógł dostrzec płomienia świecy, lecz dość był dalekosiężny, by objąć cały wszechświat, dość przenikliwy, by przejrzeć wszystkie serca bijące w ciemności. Kurtz zsumował — osądził. „Ohyda!“ Był to człowiek wybitny. Ten jego wyrok stanowił jednak pewnego rodzaju wyznanie wiary; miał w sobie szczerłość, przekonanie, miał drgającą nutę buntu w swym szeptcie, miał przerażające oblicze prawdy ujranej w przelocie — osobiliwe połączenie żądzy i nienawiści. I pamiętam najlepiej wcale nie swoją własną mękę — ową wizję bezkształtnej szarzyzny, przesiąkniętej fizycznym bólem i

niedbałą pogardą dla znikomości wszelkich rzeczy — nawet dla tegoż samego bólu. Nie! Mnie się wydaje, że to jego śmiertelną mękę przeżyłem. Prawda, że on zrobił ów krok ostatni, że krawędź przestąpił, podczas gdy mnie dozwolono cofnąć wahającą się stopę. I może na tym polega cała różnica; może wszystka mądrość i wszystka prawda, i wszystka szczerłość skupiają się właśnie w owej nieuchwytniej chwili, kiedy przekraczamy próg niewidzialnego. Może! Wolę przypuszczać, że nie byłbym zawarł swego stosunku do życia w słowie niedbałej pogardy. Lepszy jest okrzyk Kurtza — o wiele lepszy. Było to twierdzenie, moralne zwycięstwo okupione niezliczonymi klęskami, ohydny przerażeniem, ohydny dosytem. Ale to było zwycięstwo! I właśnie dlatego pozostałem wierny Kurtzowi aż do samego końca, a nawet i poza koniec; aż do chwili, gdy w długi czas później usłyszałem raz jeszcze głos — już nie jego własny — lecz echo jego wspaniałej wymowy, odrzucone przez duszę przeźroczystą, jak skała z kryształu.

— Nie, nie pochowali mnie wówczas, choć jest pewien okres czasu, który widzę niby przez mgłę, wzdrygając się ze zdumieniem, jakbym wspominał przejście przez jakiś świat niepojęty, wyzuty z nadziei i pragnień. Znalazłem się znów w mieście grobów, podrażniony widokiem ludzi spieszących ulicami, aby zwędzić jeden drugiemu trochę pieniędzy, aby pożerać haniebnie przyrządzone posiłki, łykać niezdrowe piwo, śnić głupie i błahe sny. Narzucali się natrętnie moim myślom. Wiedza tych intruzów o życiu była dla mnie irytującym pozorem, ponieważ czułem z całą pewnością, że nie mogą wiedzieć tego, co ja wiedziałem. Ich zachowanie, które było po prostu zachowaniem pospolitych indywiduów, zaprzątniętych interesami i przekonanych o swym zupełnym bezpieczeństwie, drażniło mnie jako niesłychana chępliwość głupoty w obliczu groźnych okoliczności, których owa głupota nie jest w stanie zrozumieć. Nie chciało mi się bynajmniej uświadamiać tych ludzi, ale wstrzymywałem się z pewną trudnością od parskania śmiechem w ich twarze, tak pełne tępego zrozumiałstwa. Może nie czułem się wówczas bardzo dobrze. Chodziłem po ulicach chwiejnym krokiem —

musiałem pozalać różne sprawy — strojąc gorzkie miny wobec różnych wielce szanownych osób. Przyznaję, że moje obejście było nie do darowania, ale też i temperaturę rzadko miewałem normalną w tych czasach. Wyśiłki mej drogiej ciotki, usiłującej mię podtrzymać na siłach, mijały się zupełnie z celem. To nie moje siły potrzebowały pokrzepienia; należało ukoić moją wyobraźnię. Przechowywałem paczkę papierów powierzonych mi przez Kurtza, nie wiedząc właściwie, co z nimi zrobić. Matka jego umarła niedawno, pielęgnowana, jak mi opowiadano, przez jego narzeczoną. Jakiś człowiek w złotych okularach, starannie ogolony i odznaczający się bardzo oficjalnym obejściem, odwiedził mnie pewnego dnia i rozpytywał — z początku podchodząc do tej sprawy z daleka, a potem nalegając ze słodyczą — o to, co mu się podobało nazwać „pewnymi dokumentami“. Nie zaskoczył mnie tym, ponieważ jeszcze w Afryce miałem na ów temat dwie kłótnie z dyrektorem. Odmówiłem wówczas wydania najmniejszego skrawka z tej paczki i utrzymałem się na tym samym stanowisku wobec człowieka w okularach. Uciekł się w końcu do niejasnych gróźb i jał bardzo gorąco dowodzić, że spółka ma prawo do każdej bez wyjątku informacji o swych „terytoriach“.

— „Wiedza Kurtza o tych niezbadanych jeszcze okolicach“, powiedział, „musiała być z konieczności rozległa i szczególnie dokładna, dzięki jego wielkim zdolnościom i opłakanym warunkom, w których się znalazł; dlatego też —“

— Zapewniłem go, że wiedza Kurtza, aczkolwiek rozległa, nie dotyczyła zagadnień handlu lub administracji. Wówczas wezwał na pomoc naukę. „Byłoby stratą wprost niepowetowaną, gdyby“ itd., itd. Wręczyłem mu raport o „Tępieniu dzikich obyczajów“, oddarłszy przed tym postscriptum. Wziął go skwapliwie, a potem prychnął nań z pogardą.

— „To nie jest to, czego mieliśmy prawo oczekiwać“, zauważył.

— „Nie oczekujcie nic innego“, odrzekłem. „Reszta to tylko prywatne listy“.

— Wyszedł, zagroziwszy mi sądem, i już nie zobaczyłem go więcej; natomiast inny jakiś facet, mianujący się kuzynem Kurtza, ukazał się w dwa dni później i chciał koniecznie usłyszeć wszystkie szczegóły o ostatnich chwilach drogiego krewniaka. Mimochodem dał mi do zrozumienia, że Kurtz był właściwie wielkim muzykiem.

— „Były w nim możliwości, rokujące olbrzymie powodzenie“, rzekł ów człowiek, organista, jak mi się zdaje; gładkie, siwe jego włosy spływały na zatłuszczony kołnierz od ubrania. Nie miałem powodu wątpić o jego twierdzeniu; i do dziś dnia nie umiem powiedzieć, jaki był zawód Kurtza, czy w ogóle miał jakikolwiek — i który z jego talentów górował nad innymi. Wziąłem go z początku za malarza, który pisywał do gazet, czy za dziennikarza umiającego malować — lecz nawet jego kuzyn (zażywający tabakę podczas rozmowy) nie umiał określić ściśle zawodu Kurtza. Był to uniwersalny geniusz — zgodziłem się co do tego ze starym jegomościem, który wytarł nos hałaśliwie wielką bawełnianą chustką i wyszedł w starczym podnieceniu, unosząc kilka rodzinnych listów i jakieś mało ważne notatki. Wreszcie pojawił się u mnie dziennikarz, pragnący dowiedzieć się czegoś o losie „drogiego kolegi“. Poinformował mnie, że właściwą dziedziną Kurtza powinna była się stać polityka „w zakresie popularnym“. Ów gość miał krzaczaste, proste brwi, monokl na szerokiej wstążce, ostrzyżony był krótko na jeża, i wyznał mi w przystępie szczerości, że Kurtz w gruncie rzeczy wcale pisać nie umiał — ale dalibóg! jak ten człowiek umiał mówić! Potrafił zelektryzować duże zgromadzenie. „Była w nim wiara — rozumie pan? była w nim wiara. Potrafił wmówić w siebie wszystko — wszystko. Byłby został wspaniałym leaderem skrajnej partii“.

— „Ale jakiej?“ — zapytałem.

— „Jakiejkolwiek“, odrzekł. „To był człowiek — człowiek — krańcowy. Czy pan tego nie uważa?“ Przytaknąłem mu. „A czy pan wie“, zapytał z nagłym przeblyskiem zaciekawienia, „z jakiego właściwie powodu wybrał się do Afryki?“ „Wiem“, odrzekłem i podałem mu natychmiast znamienity „Raport“, dodając, że może go opubli-

kować, jeśli to uzna za stosowne. Przejrzał go pośpiesznie, mrużąc coś ciągle pod nosem, uznał, że „to wystarczy“ i wyniósł się wraz ze swą zdobyczą.

— Tak oto w końcu zostałem z cienką paczką listów i fotografią dziewczyny. Wydała mi się piękną — a raczej wyraz jej twarzy uderzył mnie swoją pięknnością. Wiem, że i blask słońca może stać się narzędziem kłamstwa, ale czuło się, iż żadna gra światła, żadna poza nie mogłaby nadać tym rysom tak subtelного odcienia szczerości. Zdawało się, że ta dziewczyna gotowa jest służyć bez żadnego zastrzeżenia, bez podejrzeń, bez cienia myśli o sobie. Wreszcie postanowiłem pójść do niej, aby jej oddać fotografię i te listy. Ciekawość? Tak; a może jeszcze jakieś inne uczucie. Wszystko, co należało do Kurtza, przeszło przez moje ręce: jego dusza, jego ciało, jego stacja, jego plany, jego kość słoniowa, jego kariera. Pozostawała już tylko pamięć o nim i jego narzeczona — a pragnąłem niejako przekazać to również przeszłości — wydać wszystko, co po nim zostało, na pastwę zapomnienia, które jest ostatnim słowem naszego wspólnego losu. Nie bronię się. Nie miałem jasnego pojęcia, o co mi chodzi właściwie. Może powodowała mną nieświadoma lojalność, a może było to wypełnienie owej ironicznej konieczności, która się czai w zdarzeniach ludzkiego życia. Nie wiem. Nie zdaję sobie sprawy. Ale poszedłem.

— Myślałem, że wspomnienie o Kurtzu podobne jest do wspomnień o innych zmarłych, które gromadzą się w życiu każdego człowieka — jako niejasne odbicie na mózgu cieniów, co padły nań przelotnie a nieodwołalnie; lecz u wielkich, ciężkich podwoi, wśród wysokich domów ulicy równie cichej i porządnej jak dobrze utrzymana cementarna aleja, ujrzałem wizję człowieka na noszach, otwierającego usta żarłocznie, jakby chciał pożreć całą ziemię wraz z całą ludzkością. Ożył w mych oczach; ożył jak najrealniej — ów cień niesyty wspaniałych pozorów i straszliwej rzeczywistości; cień mroczniejszy od cieniów nocy, udrapowany okazałe w zwoje pysznej wymowy. Zdawało mi się, że ta wizja wchodzi do domu wraz ze mną: nosze, ludzie dźwigający mare, dziki tłum karnych

czcicieli, mrok lasów, połysk rzeki wśród ponurych zakrętów, łoskot bębna, miarowy i głuchy jak bicie serca — serca zwycięskiej ciemności. Była to chwila tryumfu dzicy, gwałtowne jej, mściwe najście, które — tak mi się zdawało — musiałem sam odeprzeć dla zbawienia czyjejś duszy. A wspomnienie o tym, co Kurtz mówił mi tam daleko — gdy rogate postacie poruszały się w blasku ognisk za moimi plecami, pośród ciepłych lasów — wspomnienie owych urywanych zdań wróciło do mnie; usłyszałem znów słowa Kurtza w ich złowroziej, przerażającej prostocie. Uprzytomniłem sobie znów nędzne jego prośby, nędzne pogrożki, olbrzymi zakres jego nikczemnych pragnień, podłość, mękę, burzliwe cierpienia jego duszy. I wydało mi się, że słyszę znów słowa, które wypowiedział kiedyś spokojnie i apatycznie:

— „Ten transport kości należy w gruncie rzeczy do mnie. Towarzystwo za niego nie zapłaciło. Zebrałem go sam, wśród bardzo wielkich niebezpieczeństw. Obawiam się jednak, że będą go się domagali jako swojej własności. Hm. To jest trudna sprawa. Jak pan myśli, co mam robić, upierać się przy swoim? Co? Ja chcę tylko sprawiedliwości...“

— Chciał tylko sprawiedliwości — nic więcej; tylko sprawiedliwości. Zadzwoiłem u mahoniowych drzwi na pierwszym piętrze i czekałem, a on zdawał się patrzeć we mnie z błyszczącej mahoniowej tafli — patrzeć tym dalekosiężnym i wszechogarniającym wzrokiem, który obejmował, nienawidził, potępiał cały świat. Wydało mi się, że słyszę, jak wykrzykuje szeptem:

— „Ohyda! Ohyda!“

— Zmierzch zapadał. Czekałem w wysokim salonie o trzech długich oknach, sięgających od posadzki do sufitu, oknach, które wyglądały jak trzy jaśniejące, udrapowane kolumny. Wygięte, pozłacane nogi i oparcia mebli lśniły niewyraźnie krzywymi liniami. Wyniosły marmurowy kominek miał zimną, monumentalną białość. Masywny fortepian stał w rogu; płaska jego powierzchnia połyskiwała mrocznie jak ciemny, polerowany sarkofag. Wielkie drzwi otworzyły się — zamknęły. Wstałem z miejsca.

— Zbliżyła się, cała w czerni; blada jej głowa płynęła ku mnie w zmierzchu. Była w żałobie. Więcej niż rok upłynął od jego śmierci, więcej niż rok od czasu, gdy przyszła o tym wiadomość; zdawało się, że ta kobieta będzie go zawsze pamiętać i oplakiwać. Ujęła obie moje ręce szepcząc:

— „Uprowadzono mnie o pańskim przyjsciu“.

— Zauważyłem, że nie była bardzo młoda — to znaczy, nie wyglądała na dziewczátko. Czuło się w niej dojrzałą zdolność do wierności, do zaufania, do cierpienia. Miałem wrażenie, iż pociemniało w pokoju, jakby całe światło chmurnego popołudnia schroniło się na jej czole. Te jasne włosy, ta blada twarz, to czyste czoło były, rzekłbyś, otoczone szarą jak popiół aureolą, z której patrzyły ku mnie ciemne oczy. Spojrzenie ich było otwarte, głębokie, spokojne i ufne. Niosła swą bolejącą głowę, jakby była dumna ze swego bólu, jakby chciała powiedzieć: ja — ja jedna umiem oplakiwać tego człowieka tak, jak on na to zasługuje. Lecz w chwili, gdy nasze dłonie trwały jeszcze w uścisku, wyraz strasznej rozpaczyny pojawił się na jej twarzy i pojąłem, że ta kobieta należy do istot, które nie są ugraszką czasu. Dla niej on umarł zaledwie wczoraj. I zaiste! to wrażenie było takie potężne, że i mnie się również wydało, iż umarł zaledwie wczoraj — nie, w tej oto chwili. Ujrzałem i ją, i jego w tej samej minucie — jego śmierć i jej boleść — ujrzałem jej ból w momencie jego śmierci. Rozumiecie? Widziałem ich razem — słyszałem ich razem. Rzekła z głębokim westchnieniem: „Przeżyłam go“, a mój wytężony słuch zdawał się słyszeć wyraźnie — obok jej głosu, pełnego rozpaczliwej żalości — szept, w którym Kurtz zawarł wieczyste swe potępienie. Zapytałem siebie, po co tu się właściwie znalazłem i ogarnęta mnie taka panika, jak gdybym był zablądził i trafił do miejsca pełnego okrutnych i bezsensownych tajemnic, których ludzka istota oglądać nie powinna.

— Wskazała mi krzesło. Usiedliśmy. Położyłem paczkę delikatnie na małym stoliku, a ona nakryła ją dłonią...

— „Pan go znał dobrze“, szepnęła po chwili żałobnego milczenia.

— „Ludzie tam się prędko zbliżają“, rzekłem. „Znałem go o tyle, o ile człowiek może poznać drugiego człowieka“.

— „I podziwiał go pan“, rzekła. „Nie podobna było go znać i nie podziwiać. Prawda?“

— „Był to wybitny człowiek“, rzekłem niepewnie. I zniewolony nieruchomym, wymownym jej wzrokiem, który zdawał się śledzić dalsze słowa na moich ustach, dodałem: „Nie podobna go było — —“

— „Nie kochać“, dokończyła żarliwie; oniemiałem z przerażenia. „Jaka to prawda! jaka prawda! Ale niech pan pomyśli, że nikt go nie znał tak jak ja! Jego szlachetna dusza ufała mi bez granic. Ja go znałam najlepiej“.

— „Pani go znała najlepiej“, powtórzyłem.

— I może tak było istotnie. Lecz z każdym wymówionym słowem pokój się stawał mroczniejszy; tylko jej czoło, gładkie i białe, jaśniało niewyczerpanym światłem wiary i miłości.

— „Pan był jego przyjacielem“, ciągnęła. „Przyjacielem“, powtórzyła trochę głośnie. „Pan musiał być jego przyjacielem, jeśli panu to powierzył, jeśli pana do mnie przysłał. Czuję, że mogę do pana mówić — i — och, muszę do pana mówić! Chcę, aby pan — pan, który słyszał jego ostatnie słowa — wiedział, że byłam godna tego człowieka... To nie jest duma... Chociaż — tak! Jestem dumna z tej świadomości, że rozumiałam go lepiej, niż ktokolwiek inny na ziemi — sam mi to powiedział. A odkąd jego matka umarła, nie mam nikogo, nikogo — aby — aby — —“

— Słuchałem. Ciemność się pogłębiała. Nie byłem nawet pewien, czy Kurtz dał mi właściwą paczkę. Podejrzewam raczej, że chciał mi powierzyć inną plikę papierów, które widziałem po jego śmierci w rękach dyrektora przeglądającego je pod lampą. A dziewczyna mówiła dalej, dając folę swemu bólowi w przekonaniu, że jej współczuję; mówiła tak, jak człowiek spragniony pije. Wspominano mi, że jej rodzina sprzeciwiała się zaręczynom z Kurtzem. Nie był dosyć bogaty czy też coś w tym rodzaju. I rzeczywiście nie jestem pewien, czy nie cierpiał

niedostatku przez całe życie. Były pewne podstawy do przypuszczenia, że miał już dosyć tej względnej biedy i że właśnie to go wyгнаło tam daleko.

— „...czy można było nie stać się jego przyjacielem, jeśli go się choć raz słyszało?“ ciągnęła dalej. „Pociągał ludzi ku sobie tym, co w nich było najlepsze“. Patrzyła we mnie usilnie. „To właściwość ludzi wielkich“, mówiła, a jej niskiemu głosowi zdawały się towarzyszyć wszystkie dźwięki, które tam daleko słyszałem, dźwięki pełne tajemnicy, rozpaczy i smutku — szmer rzeki, szum drzew miotanych wiatrem, pomruk tłumów, słaby dźwięk niezrozumiałych słów krzykniętych z oddali, szept głosu odzywającego się z za progu wieczystej ciemności.

— „Ale pan go słyszał! Pan wie!“ zawołała.

— „Tak, wiem“, odrzekłem, czując w sercu coś na kształt rozpaczy, lecz pochyliłem głowę przed wiarą, która była w tej dziewczynie, przed jej wielkim i zbawczym złudzeniem, błyszczącym nieziemską jasnością wśród mroku, wśród tryumfującego mroku, przed którym nie byłbym mógł jej obronić — przed którym nie mogłem obronić nawet samego siebie.

— „Co za strata dla mnie — dla nas!“ poprawiła się ze szlachetną wspaniałomyślnością, po czym dodała szepcąc: „Dla świata“.

— W ostatnich przeblaskach mierzchnącego dnia widziałem blask jej oczu, pełnych łez — łez, które spłynąć nie chciały.

— „Byłam bardzo szczęśliwa — bardzo hojnie obdarowana przez los — bardzo dumna“, mówiła dalej. „Zbyt hojnie obdarowana. Zbyt szczęśliwa przez krótką chwilę. A teraz jestem nieszczęśliwa — na — na całe życie“.

— Podniosła się; jasne jej włosy zdawały się chwycić wszystko pozostałe światło i lśnić złotem. Wstałem także.

— „A z tego wszystkiego“, ciągnęła żałośnie, „ze wszystkiego, co zapowiadał, z całej jego wielkości, z jego wspaniałomyślnej duszy, jego szlachetnego serca nie zostało nic — nic prócz wspomnienia. Pan i ja — —“

— „Będziemy go zawsze pamiętać“, rzekłem pośpiesznie.
— „Nie!“ krzyknęła. „Nie podobna, aby to wszystko przepadło — aby takie życie zostało poświęcone, nie zostawiając po sobie nic prócz bólu. Pan wie, jakie rozległe miał plany. Wiedziałam o nich także — nie mogłam ich może zrozumieć — ale inni o nich wiedzieli. Coś musi pozostać. Jego słowa przynajmniej nie umarły“.

— „Jego słowa pozostaną“, rzekłem.

— „I jego przykład“, szepnęła do siebie. „Ludzie podziwiali go — dobroć jego jaśniała w każdym czynie. Jego przykład — —“

— „To prawda“, rzekłem. „Został też jego przykład. Tak, jego przykład. Zapomniałem o tym“.

— „Ale ja nie zapominam. Nie mogę — nie mogę uwierzyć — jeszcze nie mogę. Nie mogę uwierzyć, że nigdy go już nie zobaczę, że nikt go już nie zobaczy — nigdy, nigdy, nigdy“.

— Wyciągnęła ramiona, jakby za cofającą się postacią, wyciągnęła czarne ramiona ze splecionymi, bladymi rękami na tle światła mierzchnącego w wąskich oknach. Nigdy go już nie zobaczy. A ja widziałem go jednak wyraźnie. Będę widział to wymowne widmo, póki żyję, i ją będę widział także jako tragiczny i bliski Cień — podobny w tym geście do innego Cienia — również tragicznego, co pokryty bezsilnymi amuletami wyciągał nagie, brunatne ramiona nad połyskliwą, piekielną rzeką, rzeką mroku. Odezwała się nagle bardzo cicho:

— „Umarł, jak żył“.

— „Jego śmierć“, rzekłem, czując, że głuchy gniew podnosi się we mnie, „była pod każdym względem godna jego życia“.

— „A mnie przy nim nie było“, szepnęła.

— Gniew mój ustąpił uczuciu niezmiernej litości.

— „Wszystko, co tylko dało się zrobić — —“ mruknąłem.

— „Ach, ale ja w niego wierzyłam więcej niż ktokolwiek na ziemi — więcej niż jego własna matka, więcej niż — on sam. Potrzebował mnie! Mnie! Byłabym przechowywała każde jego westchnienie, każde słowo, każdy znak, każde spojrzenie“.

— Poczułem jakby zimny ucisk na piersi.

— „Niech pani przestanie“, rzekłem stłumionym głosem.

— „Przepraszam pana. Ja... ja tak długo opłakiwałam go w milczeniu — w milczeniu... Pan z nim był — do ostatka? Myślę o jego samotności. Nie miał przy sobie nikogo, kto by go rozumiał tak, jak ja go rozumiałam. Może nie było nikogo, kto by usłyszał...“

— „Byłem przy nim aż do ostatniej chwili“, rzekłem drżącym głosem. „Słyszałem jego ostatnie słowa...“ Zamilkłem, przerażony.

— „Niech pan mi je powtórzy“, szepnęła rozdierająco. „Potrzebuję — potrzebuję — czegoś — aby — aby — z tym żyć“.

— O mało co jej nie krzyknąłem: czyż pani tych słów nie słyszy? Zmierch powtarzał je naokoło uporczywym szeptem, szeptem, który zdawał się wzbierać groźnie jak szmer zrywającego się wiatru: „Ohyda! Ohyda!“

— „Ostatnie jego słowo — abym miała z czym żyć“, prosiła. „Czy pan nie rozumie, że ja go kochałam — kochałam — kochałam!“

— Opanowałem się i wyrzekłem powoli:

— „Ostatni wyraz, jaki wymówił, to było — pani imię“.

— Usłyszałem lekkie westchnienie i naraz stanęło mi serce, zatrzymane przez straszliwy krzyk uniesienia, krzyk niepojętego tryumfu i niewypowiedzianego bólu:

— „Wiedziałam — byłam pewna!...“

— Wiedziała. Była pewna. Słyszałem, jak płakała z twarzą ukrytą w dłoniach. Miałem wrażenie, że dom runie, nim zdołam uciec, że niebiosa zwałą mi się na głowę. Ale nic się nie stało. Niebiosa nie zapadają się dla takiej drobnostki: Ciekawym, czy byłyby się zapadły, gdybym oddał Kurtzowi sprawiedliwość, na jaką zasłużył? Czyż nie powiedział, że pragnie tylko sprawiedliwości? Ale nie mogłem: Nie mogłem jej powiedzieć. Byłoby się zrobiło za ciemno — beznadziejnie ciemno...“

Marlow umilkł i siedział na uboczu, niewyraźny i mil-

czący, w pozie zadumanego Buddy. Nikt się nie poruszył przez jakiś czas.

— „Straciliśmy początek odpływu“, rzekł nagle dyrektor.

Podniosłem głowę. Otwarte morze było zagrodzone czarną ławą chmur, a spokojny wodny szlak, wiodący do najdalszych krańców ziemi, ciągnął się, mroczny, pod zasępionym niebem, zdając się prowadzić w głąb niezmierzonej ciemności.

SŁOWNIK WYRAZÓW ŻEGLARSKICH

- Bak** — część przednia statku, wzniesiona nad górny pokład.
- Bant**, czyli **naszywka** — pas płótna, naszyty na żaglu dla umocnienia go w miejscach, gdzie się żagiel ociera o maszt lub olinowanie.
- Barka** — statek trzymasztowy żaglowy z rejami na pierwszych dwóch masztach; maszt trzeci bez rei. Także większa łódź bez pokładu, dla żeglugi przybrzeżnej, z jednym lub dwoma masztami i skośnymi żaglami.
- Boja** — pływak żelazny lub drewniany na powierzchni wody, zaopatrzony często w wiechę i utrzymywany na miejscu za pomocą kotwicy; służy do wskazywania mielizn. (Słownik morski M. Zaruskiego).
- Brasy** (bras) — liny idące od noków (końców) rei, służące do obracania ich w płaszczyźnie poziomej (Słownik morski M. Zaruskiego).
- Brasować** — obracać reje w płaszczyźnie poziomej.
- Buchta** — pewna ilość fałd żagla, ułożonych na rei przez każdego z marynarzy, zwijających żagiel.
- Gródź**, l. m. **grodzie** — ściany dzielące statek na części.
- Hulk** — kadłub statku wycofanego z żeglugi, ogolonego z masztów, maszyn itd. — obrócony na pływający skład.
- Illuminator** — okrągłe okienko na statku.
- Kil** — spodnia belka idąca wzdłuż całego okrętu, jak gdyby jego kręgosłup. (Słownik morski M. Zaruskiego).
- Kółkownica przymasztowa** — gruba deska, w której tkwią na wylot drewniane lub żelazne kółki; przymocowuje się do nich liny olinowania ruchomego.
- Koja** — łóżko na okręcie.
- Kotwica zawozowa** — kotwica, służąca do ściągania statku z mielizny; zawozi się ją w kierunku, w którym statek ma być ściągany z mielizny.
- Nadburcie** — część burty, wystająca nad górnym pokładem.

Reja — drewno poprzeczne na maszcie do rozpinania na nim żagla. (Słownik morski M. Zaruskiego).

Rufa — tylna część statku.

Sejzyng — lina, służąca do podciągania żagla do rei lub masztu podczas zwijania żagla.

Steward — służący na statku.

Śródokręcie — część pokładu między bakiem a rufą.

Takielunek — system lin i łańcuchów, służących do podtrzymywania omasztowania oraz manewrowania żaglami. (Słownik morski M. Zaruskiego).

Trap — schodki na statku.

Wanty — liny konopne lub stalowe, idące od burt statku do wierzchołków poszczególnych części masztów i umacniające maszty z boków. Połączone poprzecznymi linkami, tworzą drabinki do wchodzenia na maszty.

Wrak — zatopiony statek.

Żaglomistrz — starszy majtek, umiejący szyć i naprawiać żagle.

WYDAWNICTWA KSIĄŻKOWE

Wydziału Kultury i Prasy Dowództwa

Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie

- | | |
|--|-----|
| 1. Tadeusz Kościuszko a chwila obecna | mls |
| <i>Dr Edward Kosika</i> | 170 |
| 2. Anglia i Polska w polityce europejskiej | |
| <i>Jan Szuldrzyński</i> | 270 |
| 3. Bery i bojki śląskie | |
| <i>Stanisław Ligoń</i> | 150 |
| 4. Śląska ojczyzna | |
| <i>Praca zbiorowa</i> | 220 |
| 5. Otawa — Zbiór wierszy | |
| <i>Beata Obertyńska</i> | 140 |
| 6. U źródeł polskiej idei federacyjnej | |
| <i>Włodzimierz Bączkowski</i> | 50 |
| 7. Po Narwiku był Tobruk... | |
| <i>Janusz Jasińczyk</i> | 220 |
| 8. Trzy wyprawy | |
| <i>Juliusz Kaden-Bandrowski</i> | 150 |
| 9. Morze i Pomorze | |
| <i>Jerzy Smoleński</i> | 120 |
| W druku: | |
| Zycie polskie w dawnych wiekach | |
| <i>Władysław Łoziński</i> | |
| Puszcza jodłowa | |
| <i>Stefan Żeromski</i> | |
| Wszystko i nic | |
| <i>Stefan Żeromski</i> | |
| Mały przewodnik po Bejrucie | |
| Stosunki polsko-litewskie w dobie powojennej | |
| <i>Leon Wasilewski</i> | |
| Pod znakiem półksiężyca | |
| <i>Witold Rajkowski</i> | |

